

De. II 1.
TOM CCLXXX.

ROK 70.

SERYA 9.

ZESZYT 838.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PAŹDZIERNIK.

1910.

TOM IV.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.


—
1910.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. OPOKA (powieść),—przez <i>Kazimierza Żdziuchowskiego</i>	1
2. RZĄDY AUSTRYACKIE W GALICJI,—przez <i>Wacława Mejbauma</i>	21
3. FRYDERYK CHOPIN,—przez <i>Zdzisława Jachimckiego</i>	39
4. PAMIĘTNIK DEOTYMY.	55
5. POLITYKA KOZACKA W OSTATNICH LATACH ŻYCIA BOHDANA CHMIELNICKIEGO, —przez <i>Pr. Rawitę-Gawrońskiego</i>	76
6. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	94
7. JEDNA Z PIERWOTNIEJSZYCH GRUP LUDZKICH, —przez <i>K. Słotychę</i>	121
8. PIŚMIENNICTWO:	
MARIUS-ARY LEBLOND: „La Pologne vivante,“—przez <i>L. Włodka</i>	177
KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO „Nieznane poezye“ i D-R ALEKSANDER ŁUCKI: „Młodość Kazimierza Brodzińskiego,“ —przez <i>A. Drogoszewskiego</i>	181
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
W wirach polemiki. — „Spór z p. Grońskim.“ — Spór z p. Szarapowem.—Nie pogarda, lecz przeciwstawność.—Przegląd sił	190
10. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
ś. p. Józef Grajner i ś. p. Jan Gebethner,—przez <i>L. W.</i>	200
11. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	202

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.


Ogólnego zbioru Tom 280.



BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1910.—Tom IV.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1910.

WARSZAWSKA
BIBLIOTEKA



De II 1.

Vol. 100 - Jan IV.

OPOKA.

XIX.

U drzwi pałacu Mirskich Śniałowski spotkał hrabiego Tobiasza, który wracał z rannej mszy, a gdy ten nie poznał i chciał wyminąć, chwycił go mocno za ramię i prawie gwałtem zatrzymał. Hrabia Tobiasz stanął, w pierwszej chwili spłoszony, jak człowiek, któremu brutalnie przerwano zadumę. Przemknął mu po twarzy niepokój przypuszczenia, że to jest napad. Obejrzał natrętnego przechodnia, który ani ubiorem, ani wyglądem nie wzbudzał zaufania.

— Szedłem właśnie do pana... — głośno i niecierpliwie odezwał się bojowiec.

— Czego pan sobie życzy?...

Hrabia Tobiasz opanował już niechęć i nieufność, ale nie mógł przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widział tego młodzieńca.

— Chciałbym pomówić...

— Może pan wstąpi do mnie...

W milczeniu szli po schodach, potem przez salony, ciche o tej wczesnej godzinie, smutne w świetle pochmurnego poranku. Z za jakichś drzwi doleciał ich gwar dziecinnych głosów. W bibliotece hrabia Tobiasz przysunął krzesło gościowi, którego nazwisko wypłynęło naraz w pamięci. Ale Śniałowski nie usiadł. Postąpił kilka kroków ku gospodarzowi, stanął tuż przy nim, prawie pierś przy piersi.

— Zabiłem ordynata Obrońskiego—rzekł dobitnie i zamilkł.

Uczyniła się cisza, w której słychać było wesoły trzask ognia, palącego się na kominku, i wrzawę bawiących się w jakimś oddalonym pokoju dzieci. Hrabia Tobiasz stłumił odruch

odrazy, instynktową chęć cofnięcia się od mordercy, uważnem spojrzeniem badał przez chwilę gościa, żeby się przekonać, czy niema w tem strasznem wyznaniu chępliwego cynizmu, poczem powiedział krótko:

— Niech pan mówi!...

— Pamiętam rozmowę z panem — gorączkowo zaczął bojowiec — i dlatego przyszedłem tu... Wydało mi się wówczas, że pan zaświecił mi w oczy, jak latarką śpiącemu, światłem wysokiej, wyższej niż moja prawdy i skrył się... Chcę usłyszeć dziś... Była mowa o Bogu...

Śniałowski urwał, jakgdyby spodziewał się potwierdzenia czy odpowiedzi, patrzył natarczywie niespokojnymi oczami gospodarzowi w twarz. Ale ten wbił wzrok w ziemię, milczał i także czekał.

— Niezmierny cień Boga zabiegł mi drogę... Bóg jest... Doświadczyłem w sobie, wiem...

Urwał nagle, jak człowiek, którego myśl idzie na same dno, w głąb duszy. Po chwili bezładnie opowiadał:

— Napadliśmy na pociąg pocztowy... Gazety pisały o tem wiele, partya zazdrościła nam, władze struchlały... Polala się krew, widziałem trupy, widziałem okropne oczy, pełne przerażenia, żalu i nienawiści, przedśmiertne spojrzenia... Widzę je teraz jeszcze... Ale nie o tem chcę mówić... Z obfitym łupem, z wielu tysiącami rubli wracaliśmy... Zdawałoby się... Znalazłem się sam wśród pól, na wiejskim gościńcu w nocy... I wówczas to niezmierny cień Boga żywego... Nie zapomnę nigdy!... Pojąłem istnienie wiecznego Boga, ujrzałem Jego żyjącą Istność, zgłębiłem mękę grzechu... Z małego, lichego, znikomego człowieka zbrodnia czyni potęgę, która przeciwstawia się Bogu... Czy pan pojmuje to? Trwać, mieć nieśmiertelność, jako wiekuista pamięć, jako wieczna, tak samo wieczna, jak Bóg, świadomość zła!... Byłem atomem, byłem ziarnkiem piasku na pustyni, zmieszany z miliardem podobnych ziarenek. I wstałem z prochu, stałem się naraz ogromnym głazem grzechu, ażeby tkwić i urągać swoim ogromem... Człowiek w sobie przez dobro i złe poznaje Boga, w dobrem zarówno jak i w złem osiąga moc...

Oczy mówiącego, natrętnie wpatrzone w niemego gospodarza, chwilami jakoby złe, chwilami zaniepokojone lękiem wewnętrznym, płonęły, na czole uwydatniły się żyły, przykre zmarszczki nadawały wyraz bolesnego wysiłku. Głos był niecierpliwy i szorstki. Opowiadał, wspominał, przytaczał jakieś przykłady i przenośnie, często bez związku, plątał się w słowach, a gdy

gubił watek, albo gdy brakło mu wyrazu, gorącemi i drżącemi palcami tarł sobie czoło:

— To samo dziś... Błąkałem się za miastem, wśród pól, w ciemności... Tym, którzy w kamienicy zasypiają codziennym snem po załatwieniu powszednich spraw, wydaje się, iż ziemia jest takim sobie wygodnem pomieszkaniem dla społeczeństwa, że wystarcza mieć dobrą policję, sprawne sądy, wodociągi i kanalizację, parlament i odpowiedzialne ministerjum, trochę kościołów dla pospólstwa, galerye i teatry... I żyją ludzie gwarnie, tłumnio, wesoło, w stadzie, które je, pije, rozmnaża się, chodzą ze swoich mieszkań, z ulicy wygodnej, z ulicy szerokiej do biura, do magazynów, do klubu, na posiedzenia i koncerty, do kawiarni... byleby razem, byleby w tłumie i wśród wesołej wrzawy... byleby mijały dni... I nie widzą Boga żywego... Ja zaś doznałem, że człowiek jest sam, sam ze swoją duszą, ze swoim złem, z Bogiem, sam w obliczu Pana, który zappełnia świat. A oni Go nie widzą... Bo niema ani dobrych, ani złych... Letni są... A takich Pan „wyrzuca z ust swoich...” Przekraczają ustawy, przepisy policyjne, nakazy katechizmu, ale nie wiedzą, co jest grzech. Grzech jest wobec Boga żywego... I grzech idzie za nami, jak cień, trwa w pamięci na zawsze... I może człowiek jest tylko cieniem własnego zła... Próbowałem uciec, zapomnieć...

Rozejrzał się mimowoli po pokoju, jakgdyby pragnął przekonać się, czy przyszło za nim aż tu ono widmo, spojrzawszy w tryskający płomieniem kominek, dostrzegł tam jakąś dziwną, zjadliwie wykrzywioną, chichoczącą twarz... I wydało mu się, że to jest twarz, którą znał i widział nieraz, może na ulicy, może we śnie, może tej nocy, gdy odwracał się od kryjącej się pod drzewami postaci wysokiego mężczyzny z wyciągniętą dłonią... Gorącemi, trzęsącemi się palcami tarł sobie czoło i myślał, ktoby zacz był?... Po chwili zapanował nad halucynacją, odsunął przywidzenie...

— Służyłem — ciągnął dalej — nie programowi i nie partyi, ale idei, która jest wielką na ziemi. Alboż może być większa sprawa nad zaprowadzenie sprawiedliwości? Wysoki plan dojrzawał we mnie, przygotowywałem się przez lata do wzniesłego dzieła. I już nie mogę... Są ludzie, którzy potrafili przejść, jak po trupie, przez własne zło, ale ja nie zdołam. Nie dorosłem do miary meża silnego, który stwarza dzieje... Mnie drogę zabiegły dwa niezmierne cienie: cień Boga żywego i zło... I nie wiem już teraz...

W głosie zabrzmiały pytanie i prośba. Tymczasem gospodarz milczał. Stał ze spuszczoną głową, ze skrzyżowanemi na piersi rękami i patrzył w ziemię. Powieki kryły wyraz oczu, lecz twarz jego, zwykle spokojna, łagodna i trochę smutna, stała się surową. Odrza, stłumiona na razie, wracała. Hrabia Tobiasz nie mógł chwilami zapanować nad wstrętem, który budziły w nim spowiedź, postawa trybuna, mimo wszystko, zuchwała, widok mordercy, jego czarna bluza, jego ręce nerwowe, suche, niespokojne. Wyznanie było szczere i w słowach odzywał się niekiedy głęboki a rzetelny ból, ale Śniałowski zanadto przywykł przemawiać do tłumów i dlatego, porwany wymową, wpadał czasami w ton patetyczny i treść topił w płytkim potoku frazesów. Niecierpliwiło to hrabiego Tobiasza, który sam mało-mówny i prosty, nie znosił wszelkiej sztucznej pozy. Miałby ochotę przerwać, położyć kres przykrej wizycie i pójść do dzieci, których szczęśliwe szczebiotanie dochodziło tu z odległego pokoju, żeby odpocząć wśród słodkiego gwaru, zapomnieć, dać wytchnienie oczom, zmęczonym i znękanym odrażającym przymusem oglądania zabójcy. A wówczas powtarzał sobie: „i ja, i ja...” — i słuchał dalej cierpliwie, ważąc każdy wyraz.

— Czytałem nieraz w książkach — opowiadał znowu bojowiec — o Bogu i o tem, że jest dobro, alem nie widział. Są kościoły, w których modlą się co niedziela tak zwani wierni, i jest Bóg w katechizmie, w kodeksie, w konserwatywnym organie, na papierze... Utały się niektóre wyrazy, niegdyś żywe, dziś martwe... Powtarzają je ludzie, ludzie, którzy są ani zimni, ani gorący, letni... Innych już niema... Na krzywdzie, na bezprawiu urządzono istnienie, wygodne, przyjemne, a zwłaszcza bezpieczne. Minęły czasy ognia, wojen, moru i głodu. Wojska, cyrkuły, sądy, od biedy i księża strzegą dostatków, spokoju, higieny... Zbudowano trochę szpitalów, trochę szkół, ochronek i przytułków, jest ofiarność publiczna, płynąca cienką strugą z poczucia obowiązków społecznych, i jest opinia publiczna, która potępia morderców, złodziei, podpalaczy... Cywilizacja, kultura, oświata i postęp... Wśród tej kwitnącej cywilizacji i powszechnie cenionego postępu szukałem ideału *dobra*, nie enót, dobrych uczynków, mdłej, tchórzliwej, pokornej dobroci, której jest poddostatkiem, ale *dobra*, które objawia się mocą, które tworzy i odradza — i nie znalazłem. I postanowiłem rozpędzić zło, uczynić człowieka silnym w walce, zniszczyć podłe zadowolenie, zatruć nikczemny spokój, wstrząsnąć duszami... Chciałem przejść przez tę ziemię, jako pożoga ognia, jako niedola miecza... Niechby ujrzeli ci, którzy śpią, owi letni,

piekło... Nienawidziłem... Płomieniem nienawiści pragnąłem spalić!... Z popiołów mogłoby wyrosnąć inne, wyższe szczęście... Gdyby pojawił się mąż o wielkiej mocy... Był człowiek posłany od Boga... Marzyło mi się posłannictwo... Chciałem być wielkim na ziemi, wielkim w obliczu Boga — dodał cicho, wstydzając się tych słów, dawniej drogich, dziś nieprawdopodobnie dalekich.

— Nie znalazłem w duszy — wyznawał jeszcze—dość wiary w siebie... Z tych, których uczyły dzieje, niejeden szedł po trupach i krwawymi rękami zdobywał... Zapatrzeni w gwiazdy, oskrzydleni wiarą mknęli w przyszłość... Parskały ich rumaki bojowe. Gdybym dążył mimo wszystko i zwyciężył, nazwanoby mnie sławnym imieniem... Nie mogę... I z planów, z marzeń, z pragnień wynikły tylko rabunki, zamachy, morderstwa... Powstrzymała mnie niemoc... Ze snu, w którym oglądałem ogromne dzieła twórczych czynów, obudziłem się w podłym błocie zbrodni... Nie braknie mi odwagi, żeby umrzeć... — urwał, popatrzał dziwnie na swoje ręce, milczał chwilę.

— Ukazało mi się oblicze Pana — kończył cicho—widziałem Boga żywego... Bóg jest... Przyszły myśli, których nie znałem przedtem, myśli o życiu... Chcę pytać—i dlatego szukałem pana... Chociaż nie wiem, czy dla mnie... czy jakakolwiek prawda...

Mówił coraz wolniej i obojętniej, w głosie, na początku niecierpliwym, szorstkim, prawie krzykliwym, brzmiała apatya, spojrzenie, którem przedtem natrętnie i niespokojnie badał gospodarza, zsunęło się z twarzy i zawisło w przestrzeni. Znać było, iż stracił ochotę do rozmowy, że zadaje sobie przymus. Przemagało zmęczenie. Usiadł na fotelu przy kominku, zapatrzył się w płomień, który tryskał wesołą strugą, huczał, strzelał, paraskał, śpiewał kędyś, igrał, i popadł w senliwy dobrobyt. Rozweselający trzask ognia, ciepło, cisza, wygoda, śmiech dzieci, sprawiały mu spokojne, przyjemne, obojętne na wszystko zadowolenie. Mógłby długo siedzieć tak i zabawiać oczy widokiem młodocianej, radosnej uciechy płomieni... nie myśleć o niczem, nie wiedzieć, nie pamiętać...

Trwało milczenie. Hrabia Tobiasz przeszedł się po pokoju, był pod oknem, wracał. Niespodziane wtargnięcie bojowca przerwało mu spokój, psuło radość rannych godzin, poświęconych dumaniu nad księgami wschodnich mistyków, medytacyi, pracy wewnętrznej. W tej samej bibliotece mijały mu codziennie te dobre, najlepsze chwile. W ciepłym blasku ognia, który migotał smugą figlarnego światła na żółkłych kartach starych ksiąg, oglądał święte żywoty wielkich mężów istotnej wiedzy, zagłębiał się

w tajemnicie najwyższych dusz, z utęsknieniem poznawał... Czasami dzieci przybiegały, żeby usiąść mu na kolanach, przewracać stronice, pytać... Lubił ich słodkie głosy, szczęście ich życia... Dziś.. Z gniazda grzechu, z tłumu zaślepionych przyszedł do niego ten niepotrzebny gość, zakłócił ciszę zadumy wrzawą słów próżnych a szumnych, wyznał mu swoją niedolę, ukazał siebie, a w sobie nieprawość i nędzę życia, złe ziemi, o których on pragnął zapomnieć, od których odwracał zamyślane nad tajemnicą rzeczy wiecznych spojrzenie... Przyszedł prosić o pomoc, czy może, żeby znękać mu sumienie przemocą zła, wyrwać chępliwie wiarę jego? Co dla niego uczynić? Któż wyratuje zapatrzonego we własną wielkość, wsłuchanego w brzęk mowy swojej? Niechby odszedł...

Hrabia Tobiasz z odrazą spoglądał na natrętnego przybysza, który grzał się u kominka, w senliwą twarz jego, na ręce, które zwisły, i wypychał go za drzwi wzrokiem pełnym niechęci. Ale sam cofał się do okna i tam toczył dalej walkę. Spowiedź, w której klóciły się z sobą szczerłość cierpienia z patosem, skrucza z młodzieńczą pychą, pragnienie wiary z cynicznym przeczeniem, nie usposobiła go przychylnie dla Śniałowskiego. Myśl, że ten oto pan w czarnej bluzie, o niskim i upartem czole, o suchych i drobnych rękach, wymowny, ciskający górnymi słowy, temi suchymi i drobnymi rękami zamordował wczoraj ordynata, budziła trudny do przewyciężenia wstręt. Ohydna zbrodnia kładła na nim swoje straszne piętno, stawała za plecami jego, jak widmo, wyryła jakgdyby przepaść, wzniecała odruchową chęć ucieczki. Człowiek złamany i niezmiernie nieszczęśliwy nie wywoływał w sercu litości, a przerażał jako symbol zła, uosobienie przestępstwa, przestawał być bliźnim, był tylko zabójcą.

Hrabia Tobiasz znał oną wielką, bolesną, nieprzebytą dla wielu odległość między ukochaniem Boga, a miłością ludzi, zmierzył ją w trudzie dni swoich, nieustannie pracował nad skróceniem przestrzeni... Zmagał się i teraz.

„I ja także, i ja także“ powtarzał sobie tam pod oknem, usiłując wzbudzić w duszy pokorę, czystość i prawdę uczuć, miłującą dobroć. A pod postacią pokory pokusa szeptała mu, że on sam ułomny, pełen smutku, niewiedzy, nie nawróci, nie poradzi, że oddawna wyrzekł się próżnych usiłowań nauczania, że zamknął się w pustelnicznej celi, żeby poznawać i doskonalić się. I zapalały się potem w sercu przelotne błyski złej radości, gdy zastanawiał się nad upadkiem idei, którą próbował zwalczać przed rokiem, nad pogniębieniem zuchwałych zapaśników złej sprawy, nad

karzącą mocą Boga. Widok niedoli Śniałowskiego cieszył go, jako przepowiednia blizkiej klęski całej partii, wrogiego obozu, groźnej i zachłannej do niedawna potęgi. Tam, u kominka, w przyjaznym i gościnnym blasku ognia siedział nie tylko morderca, ale i przeciwnik, przedstawiciel nieprzyjaznego, nienawidzonego niegdys stronnictwa...

Ale zgasły rychło płomyki zjadliwej uciechy, przebrzmiały słabe echa dalekich, dawno zwyciężonych, ziemskich uczuć, towarzyszących niegdys walce na gwarnych ulicach życia o władzę, o przewodnictwo nad duszami.

Gość milczał, gospodarz patrzył przez okno, przechadzał się po pokoju cicho i wolno. W pewnej chwili stanął przed Śniałowskim.

— Jeżeli pan szuka dobra, nie znalazł go pan tu — rzekł cicho — i ja także w młodości... W wielkim i ciężkim grzechu zbiegły moje lata... Nie posiadam i prawdy. Któż z ludzi? Mam tylko wiarę...

Zatrzymał się, dotknął gościa przelotnem, niechętnem spojrzeniem.

— Słuchałem pana uważnie — ciągnął dalej — i nie wiem... Przyznaje się pan do błędu, a żyją jeszcze te same żądze... Gdyby zapewniono powodzenie, wróciłby pan na dawne drogi... Pragnienie chwały, ubóstwienie człowieka, miłość ziemi i życia... Zazdrości pan tym, którzy krwawymi rękami zdobywali.

Śniałowski nie zaprzeczał i zdawało się, nie słuchał. Odpoczywał, dorzucał drew do kominka, zabawiał oczy rozweselającym widokiem ognia, który to cichł i żarząc się czerwono, strzelał ze zwęglonej szczapy wątlym, niebieskim płomykiem, to buchał na nowo huczącą strugą. Mowa hrabiego Tobiasza brzmiała mu jakoby z oddalenia, jakgdyby zwrócona do kogo innego. Wyczerpany po tylu dniach szamotania się z sobą i z życiem, nie chciał przerywać tej jednej, rzadkiej i krótkiej, niezaznanej od dawna chwili dobrobytu. Przyjazne ciepło ognia, migotliwe blaszki, przelewające się u stóp jego na podłozę, spokój wielkiego i dostatniego mieszkania, głosy dzieciune sprawiały mu złudzenie, że to jest jakaś godzina, skradziona przeszłości, że on znajduje się pod dachem rodzinnego domu, wśród swoich...

— Złamał pana grzech wieku — padały tymczasem suche i chłodne słowa — zakładaliście królestwo człowieka, zamierzaliście ustanowić nieprzerwane święto nasycenia i użycia... Duch ziemi rządził... Rozpętane zwierzę ludzkie, obróci w niwecz wszystko... Oszołomiła umysł wrzawa czczych wyrazów... Zdeptano ducha,

żeby wyzwolić ciało. Pan mówił o krzywdzie, o uciemieniu, pan pytał, skąd złe? Jakaż może być sprawiedliwość wśród ludzi ułomnych, zbłąkanych, zaślepionych, złych? Odpowiem także, że może trzeba, ażeby znękanie daremnym oczekiwaniem i tęsknotą kładły się do mogił wiekuiście smutne pokolenia. Niedola życia, nieprawość ziemi, cierpienia... Może z wszechmądrej Myśli i Woli... Może tak trzeba... Od początku dziejów młodzi wykreślają programy szczęścia, próbują przekształcać i kopią nogą nieposłuszny świat i Boga...

Senna obojętność gościa, który nie odpowiadał, który zapewne nie słuchał, znieczepiwiła hrabiego Tobiasza. Powiódł po nim niechęconym wzrokiem.

— Czego pan przyszedł tu?—spytał twardo—czy żeby przynieść chępliwą opowieść o zbrodni i swoich cierpieniach i ukazać pogiębioną wielkość duszy, upojonej szumnemi słowy? dla uciechy przeczenia?

Pohamował szyderyczy ton i zimno przekładał dalej:

— Prawdy nie posiadam i dobra niema tu... Mam wiarę tylko. Mówiłem już. Nie będę nauczał. Na marneby poszły kazania... któż złamie upór pychy? Żeby znaleźć, trzeba wprzód wyprzeć się i zabić w sobie dawnego człowieka, dawną mowę...—skończył sucho.

Śniałowski podniósł na niego spojrzenie, patrzył dziwnie, jakoby ze smutnym wyrzutem.

— Mam już iść? — powiedział cicho.

Nastało milczenie. Wtem otwarty się drzwi i do pokoju wbiegło dwu chłopców, siedmioletni Maciek i mały Staś. Na twarzach ich jaśniały uśmiechy figlarne i przekorne, trochę niewyraźne, w które dzieci ubrajają się dla pozyskania z góry czyjejs łaski, potrzebnej im w trudnej przeprawie, gdy grozi kara za nieposłuszeństwo.

— Madame mówi, że nie można iść na spacer, mama nie pozwala... my do wujka... wujek powie, że można...

Garnęli się do wuja, obejmowali go za kolana i niepewni przyjęcia, przebiegle a ujmująco patrzeli w niego, zadzierając do góry główki. Nie zauważyli jeszcze gościa.

— Czemu wujek nie czyta? Gdzie tamta książka z barankiem i złotym aniołem? Wujek pokaże.

— *Montrez moi le livre* — szeplecił Staś.

Hrabia Tobiasz stał z uśmiechem i szczypiąc im policzki, tłumaczył, że spaceru nie będzie, bo zimno, że książka w szafie, że Madame czeka, że on sam zawoła ich za godzinę. Śniałowski

poruszył się na krzesło, żeby wstać. Wówczas dopiero chłopcy spostrzegli nieznanego pana. Starszy oglądał go ze zdumieniem, wahał się i chciał cofnąć się, ale Staś bez ceremonii potupał małymi nóżkami w kierunku kominka. Zatrzymał się w pewnym oddaleniu i stamtąd przypatrywał się.

— Co pan tu robi? — spytał.

A otrzymawszy zamiast odpowiedzi przyjazne spojrzenie gościa, zbliżył się do niego.

— Jakie pan ma włosy! — dziwił się — takie długie jak u Netki... — i wyciągnął rękę, żeby dotknąć.

Śniałowski pochylił głowę, a ośmielone dziecko poufale zanurzyło we włosach paluszki, bawiło się niemi, pieściło je i targano. Staś zapomniał już o niepowodzeniu w sprawie spaceru i książki i oddawał się z całym weselem nowej ucieście. Śmiał się, gwarząc. Bojowiec uśmiechał się także, zniżał głowę coraz bardziej, poddawał się pieszczotom. Powiało nań wspomnieniem domu, przeszłości, godzin, gdy bawił się z siostrami, radowało się serce.

— Idźcie już, idźcie! Stasiu, nie dokuczaj panu! — strofował hrabia Tobiasz.

A gdy to nie pomagało, wziął obu chłopców za ręce i wyprowadził ich za drzwi. Przyjacielska rozmowa Stasia z gościem, najbardziej zaś widok krwawych, złych, wstrętnych rąk zabójcy, które dotykały dziecka, sprawiały mu przykrość.

Gdy wrócił, zauważył, że Śniałowski siedzi ze zwieszoną głową, tak samo jak wówczas, gdy zniżył ją do pieszczot chłopca, i że po twarzy toczą się łzy.

Była długa chwila milczenia.

— Pójdę już! — szepnął Śniałowski i wstał.

— Dokąd pan pójdzie?

— Nie wiem jeszcze...

— Niech pan zaczeka...

I znów zapadło milczenie.

Bojowiec obojętnym, osowiałym spojrzeniem patrzył w przestrzeń. Dobre mgnięcia spoczynku, dobrobytu, rzewnej radości, którą wzruszyły go pieszczoty dziecka, minęły, spłynęły jak krople dżdżu po prostopadłej ścianie skały. Widział przed sobą życie, niby ciemne wejście do lochu, żałował, że przyszedł tu, gnany niepokojem i bałamutną nadzieją, niedorzecznym urojeniem. Cóż może uczynić dla niego człowiek, chociażby święty, chociażby silny i mądry? Trzeba odejść stąd, wrócić do mieszkania Pa-

wła, do owego znienawidzonego pokoju, na otomanę i czekać, a potem cokolwiek...

— Schwycą pana—odezwał się hrabia Tobiasz—i będzie koniec. Młody pan jest... Umrzeć łatwo... Ale nie po to danem jest życie, żeby je zniszczyć. Pomyślę...

Słowa były, jak zwykle, zwięzłe i suche, ale głos brzmiał łagodnie i oczy, dawniej chłodne a niechętne, patrzyły życzliwie.

— Nie moja rzecz sądzić i potępiać, albo rozgrzeszać — dodał po chwili. — Są drogi pokuty, skruchy, poprawy. Życie długie i, kto wie, jakie jego przeznaczenie. Zawiozę pana, ukryję...

— Mam bezpieczne schronienie... Nie po to przyszedłem... — gorzko zauważył Śniałowski.

— Tak?... — hrabia Tobiasz zawahał się wobec łatwej możliwości pozbycia się troski.

— Zmieni pan warunki życia, spędzi wiele czasu w samotności, rozważy. Obcowanie z człowiekiem bożym, do którego chcę zaprowadzić, dopomoże... Zresztą ja nie narzucam bynajmniej swojej opieki — zaznaczył z pośpiechem.

— Wątpię, żeby dla mnie cokolwiek... Zapóźno jest. Ale trzeba gdzieś iść — ze zniechęceniem wyznawał Śniałowski.

Hrabia Tobiasz wahał się jeszcze.

— Niech pan poczeka tu na mnie... zaraz wrócę... — rzekł.

Bojowiec został sam. Ogarnął spojrzeniem pokój pełen ci-szy, dostatku i tradycyi, ciemne i jakgdyby tajemnicze szafy z książkami, ustawione pod ścianami, portrety, wysokie, obite skórą fotele, które, zdawało się, czekały tylko, żeby usiedli na nich poważni i mądrzy ludzie dla wytrawnej rozmowy, spojrzął w migotliwe i jasne oblicze ognia, który przestał go rozweselać... Z każdego miejsca spoglądało na niego zasepienie. Przeczulonemi nerwami odczuwał teraz chłód i niechęć obcego otoczenia. Żałował, że zjawił się tu niepotrzebny i nieproszony, żałował szczer-nych słów swoich... Zresztą i to było mu obojętnem. Był, uczynił spowiedź przed człowiekiem zimnym i nieprzyjaznym, pójdzie gdzieś z nim—wszystko jedno. Ciężki smutek, niby wieko trumny, przykrył mu serce. Jak w owej chwili, gdy dostrzegł z od-dali miasto, rozumiał, że niema ręki, któraby zdjęła z niego straszliwe brzemię, że skończyło się i przeminęło wszystko prócz twardej niedoli. W zmęczonej głowie snuły się sennie jakieś bez-nadziejne, ociężałe a niewyraźne myśli, niby one stroskane opary, które wstają nad ziemią w jesiennie poranki po dżdżystej nocy przed słotnym dniem.

Hrabia Tobiasz wrócił niebawem już w palcie i razem zeszli na dół. Siedli do dorożki, w milczeniu jechali. Śniałowski nie zadawał pytań co do celu tej wycieczki. W pierwszej chwili onieśmieliły go spojrzenia ludzi na chodniku i jadących powozami, zdawało mu się bowiem, że wszystkie są skierowane na niego. Doznał tych samych wrażeń, co wigilią w kawiarni. Były to lęk pomieszany ze wstydem i chęć ukrycia się, a zarazem uczucie odrazy do tłumu. Cieszyła go myśl, że zamkną go gdzieś, że nie zobaczy ludzi, ani ludzie jego, że nic nie wiąże go już z miastem, że będzie sam, że zapomną o nim, sprawiało ulgę złudzenie, któremu nie mógł się oprzeć, iż ta jazda jest ostatnią, że zbliża się rozwiązanie i odwraca się w życiu nowa stronica. Wśród apatyi, która pochłonęła jego duszę, świeciło chwilami cienkie pasemko wątej nadziei...

Zatrzymali się za miastem przed kościołem, weszli przez furtkę, minęli rozległy cmentarz, otoczony drzewami, na którego przeciwległym krańcu stała stara, smutnie odrapana i splukana przez deszcze z tynku kamienica.

— To ja mam zamieszkać tu? — spytał Śniałowski, zdziwiony, prawie rozśmieszony przypuszczeniem, iż wypadnie mu zostać pod dachem plebanii, pod skrzydłem proboszcza.

— Tak — odparł hrabia Tobiasz i zadzwonił.

Otworzył im drzwi staruszek, w którym łatwo było odgadnąć zakrystyana i prowadził wązkimi krętymi schodami z niemalowanego drzewa na górę. Tam hrabia Tobiasz znikł za jakimiś drzwiami, stary służący ulotnił się także. Śniałowski czekał cierpliwie. Patrzył przez okno na gałęzie, które chwiały się i nieustannie zaważały o szybę, na dach kościoła, na pusty cmentarz, przechadzał się po korytarzu, który biegł wzdłuż całego domostwa, wodził spojrzeniem po pobielanych ścianach, słuchał echa własnych kroków, skrzypienia desek, dziwnego stuku gałęzi, bijących po szkłe... Czas dłużył się. Pomysł hrabiego Tobiasza wydawał mu się tak niedorzecznym, że chwilami brał to wszystko za żart, ale postanowił nie sprzeciwiać się. Było tu cicho i pusto, było daleko do miasta, i tylko perspektywa codziennego obcowania z księdzem stanowiła przykry przymus. Sądząc z kilku słów hrabiego Tobiasza, a głównie powodując się uprzedzeniem, spodziewał się ujrzeć fanatyka o szpiegowskiem wejrzeniu, ze wścibską ciekawością, z natrętnemi słowy na ustach, który rzuci się na niego, jak na zbłąkaną owieczkę, pochwyci w gorliwe szpony i zajmie się gwałtownem nawracaniem, albo typ przebiegłego jezuitę. Tymczasem ksiądz, który zjawił się wreszcie,

zgotował mu niespodziankę. Wyglądał na człowieka znużonego i nieśmiałego, był prosty w obejściu i nie miał w sobie nic napastniczego. Nizki i szczupły, o twarzy zwyczajnej, której zamysłone oczy nadawały może wyraz smutku, należał do kategorii ludzi, którzy zacierają się łatwo w pamięci, którzy przechodzą niepostrzeżenie. Przywitał bojowca obojętnym, bez od-cienia ciekawości wzrokiem, jakgdyby najbardziej pospolitego gościa, zadał jakieś pytanie—i natychmiast o nim zapomniał. Zadu-mane oczy jego oglądały w dalszym ciągu myśl, którą przy-niósł tu z sobą. Trwało parę chwil kłopotliwe milczenie. Potem ksiądz zaprowadził Śniałowskiego do przeznaczonego pokoju, po-wiedziało znowu parę zwyczajnych słów i znikł za drzwiami.

— Zabawi pan tu — odezwał się hrabia Tobiasz — ile panu będzie się podobało. Odwiedzę pana kiedyś... teraz pójdę...

Śniałowski uczynił z przyzwyczajenia ruch, żeby podać rękę na pożegnanie, ale zauważywszy, że tamten zawałał się, ukłonił się z daleka. Hrabia Tobiasz wyszedł. Przez chwilę słychać było skrzypienie desek na korytarzu, tupot kroków na schodach, po-tem nastąpiła cisza. Śniałowskiego zwykła na nowem miejscu cie-kawość popchnęła do okna. Wyrżał. Było i tu kilka drzew, które chwiały się i bezlistnymi gałęziami trącały o szybę, potem szmat pola zoranego, sterczącego brzydko kilku badyłami ostu, nowy z czerwonej cegły dom, który stał samotnie, rzekłbyś na wygnaniu, i dalej pusta przestrzeń. Wrócił spojrzeniem do po-koju, obejrzał skromne łóżko, nad którem wisiła fotografia Chry-stusa w cierniowej koronie z młodego obrazu Guido Reni'ego, stół z przyborami do pisania, krzesło, umywalnię — usiadł.

W apaty i zniechęceniu, które uspiły duszę, nie przedstawiała wątplym głosem odzywać się jakowaś niewyraźna nadzieja.

XX.

Tymczasem hrabia Tobiasz wchodził do kościoła. W smutku, który zatroskał mu duszę, szukał spokoju i pocieszenia. Ukłękł przed ołtarzem, ukrył twarz w dłoniach, nisko pochylił głowę i korzył się duchem. Gorącym zdrojem trysnęła z serca żarliwa modlitwa bez słów, modlitwa skruchy i miłości. Nękały go wyrzuty sumienia. Radosna cisza, z którą dziś rano odecho-dził był od ołtarza, którą przyniósł do domu, rozwiła się, jak

biały obłok, który wypływa niekiedy na posępne tło burzliwej chmury, a potem wsiąka w nią i ginie bez śladu. Zabrzmiały natomiast zgrzyty niezadowolenia, odezwały się echa dawnych, zwalczonych, zdawało się, uczuć, z pod łudzącej mgły podniosłego nastroju, który usiłował utrzymać w sobie, ukazała się twar- da, chropowa powierzchnia chłodnej, a oschłej niechęci do ludzi. Oskarżał siebie, wspominając złość, z którą przywitał gościa, zjadliwe wyrazy, któremi sztychował z niego, odruch odrazy, którego doznał, gdy zabójca bawił się z dzieckiem, albo gdy ten chciał podać mu rękę na pożegnanie, chęć pozbycia się nieproszonego przybysza i powrotu do ulubionych zajęć. Zawinił podwójnie, stoczył się, upadł nisko, a w żalu, który go zasepił, najgłośnie- j odzywała się gorzka myśl o niezmiernem oddaleniu duszy od źródła miłości, o zmarnowanym trudzie lat, o martwej wierze, która nie mogła zamienić się w czyn, o drzewie, rodzącem złe owoce... Przychodziło zniechęcenie. Daremnymi wydawały się dążenia, pragnienia, nieustanna praca ducha, pożądającego dosko- nałości. „Omnis homo mendax“ — przypominało się bolesne we- stchnienie psalnu i zestawiał je z twardej słowy Janowego listu apostołskiego: „Jeśli by kto rzekł, iż miłuje Boga, a brataby swe- go nienawidził, kłamcą jest. Albowiem, kto nie miłuje brata swego, którego widzi, Boga, którego nie widzi, jako może mił- wać?“ A ze zniechęconego smutku wynikał nie gorliwy zapal do dalszych usiłowań, ale pragnienie ucieczki, myśl porzucenia męczącej ulicy życia, tęsknota do pustelni, do spokoju niezakłó- conej niczem kontemplacji rzeczy wiecznych. Widział tylko grzech i niezdatność własną, strwożony łatwym upadkiem wyrzekał się podjętego dzieła, uciążliwej pracy nad odrodzeniem ducha w na- rodzie, marnymi wobec odwiecznych zadań duszy wydawały mu się cele ziemskie i zabiegi ludzkie, i postanawiał strzedz wyłącz- nie własnej drogi. Pełen pokory, wstydu i żalości, powtarzał sobie, że uniosła go pycha, że nie poznał dostatecznie nędzy swo- jej, że nie jest przygotowany do trudnego posłannictwa naucza- nia innych, że trzeba mu zdjąć z wątych, jak pokazało się, ra- mion zbyt ciężkie brzemię społecznej pracy i usunąć się w zaci- sze medytacji... Ale radość, której doznawał, gdy tak zwalniał siebie od ciężaru obowiązków, niepokoiła czujne sumienie obawą, zali one myśli pokory nie są podszeptem pokusy. Więc nie pod- dawał się, rozważał pilnie, zmagął się z sobą... Co jakiś czas jakaś godzina stawała się godziną pokusy i próby, wątpienia i nie- pokoju. Walczył był niedawno z takim samem zniechęceniem — trzeba było walkę rozpocząć na nowo.

Hrabia Tobiasz modlił się, ale odczuwał, że coraz niżej opadają skrzydła, że modlitwa nie jest już kojącym zjednoczeniem się, że nie płynie gorącą strugą ekstazy, że zastąpiły ją słowa coraz zimniejsze, coraz bardziej mechaniczne. Wargi szeptały łacińskie wersety psalmu: „Beati immaculati in via,“ on zaś słuchał ich obcy i obojętny. Podnosił chwilami oczy do góry, zwracał się do Boga w ołtarzu, a spostrzegał tylko świece, ozdobione sztucznymi kwiatami, lichtarze, krzyż i złą kopię brzydkiego Wniebowzięcia. Słyszał miarowy takt zegara, rozróżniał powonieniem ów specyficznie pobożny zapach, wypełniający puste świątynie w dniu powszednie, zapach, na który składają się: wilgoć murów, pleśń rzeczy nigdy nie przewietrzanych i swąd zgaszonych świec. Błahe i niepotrzebne wrażenia sprawiały mu roztargnienie. Odczucia zmysłowe i związane z nimi pospolite myśli mąciły podniosły nastrój, który umiał zwykle obudzić w sobie, gdy znajdował się w kościele. Napróżno chował twarz w dłoniach, przywierał powieki i zaczynał rozmyślać podług wskazówek, zaleconych przez świętego Ignacego. W oschłym sercu panował chłód, dusza zapadła w martwe uśpienie. Przed oczami zaś nie przestawały przesuwać się obrazy świata zewnętrznego, do uszu dochodziły dźwięki i snuły się wciąż wspomnienia. Nad duchem czującym i czuwającym przewagę miało leniwe ciało i jego władze. Im usilniej pragnął je spętać, zwalczyć niski stan i zbliżyć się do słodkiego szczęścia, którego kosztował w chwilach, gdy na rozpiętych skrzydłach pławił się w błękiecie bytu, tem zwiększała się tylko niecierpliwość i wznagał się rozstrój, a ociężałość nie mijała. Cofnął się wreszcie od ołtarza, usiadł w jakiejś ławie, znekanem spojrzeniem patrzył. Odczuwał straszliwy smutek próżni w kościele i w duszy. Pokusa zamknęła tajemny przybytek, który nawiedzają i rozświetlają promienie łaski, stargała cenną nić łączności człowieka z Bogiem, zasłoniła owe wewnętrzne oczy, które widzą, oglądają, czują żywą obecność... I dusza, pozbawiona naraz nadprzyrodzonej zdolności, nie mogła znaleźć Boga, tak, jak dotknięty głuchotą, nie może usłyszeć dźwięków. Daremnie hrabia Tobiasz sztucznie podniecał w sobie wiarę i powtarzał słowa psalmu, którymi dawniej przemawiał do Pana. Świątynia była pustą i kościół bez Boga tłoczył swoim niepotrzebnym ogromem, przerażał martwym milczeniem, niepokoił sztucznością panującej w nim ciszy, raził brzydotą. Spojrzenie błąkało się bezczynnie wśród naw, dotykało ścian, ołtarzów... Ze sklepień, pokrytych nowożytnymi freskami, spoglądały na hrabiego Tobiasza: Bóg-Ojciec, krzepki starzec z brodą, trzymający coś w potężnej

prawicy, wątlę Chrystus, powiewający czerwonym sztandarem, gołębicą Ducha Świętego, apostołowie, ustawieni sztywnie w nie-naturalnych pozach. Nieudolne malowidło, jaskrawe chorągwie z przeraźliwymi poprostu wizerunkami świętych, feretrony, papierowe kwiaty, stacye na ścianach, gipsowe ornamenty w stylu niesmacznego baroka—to wszystko ukazało się dziś poraz pierwszy w całej ohydnej szpetocie hrabiemu Tobiaszowi, którego oczy pamiętały surową prostotę i piękno świątyń romańskich, którego oczy nieustannie tęskniły tak, jak i dusza, do onych czasów żywej wiary. Nasuwały się pomimowoli uwagi o obniżeniu się i rozkładzie uczuć religijnych w wieku, który tak ozdabiał swoje kościoły, w którym twórczość żarliwych serc zastąpiły szkaradne fabrykaty taniego przemysłu, a mężką wiarę—dewocya, karmiona lichą symboliką. Z tych spostrzeżeń wysnuły się potem posępne myśli, które tłumił zwykle i rozpraszał, które wciąż niepokoiły. Z utęsknieniem wspominał precudne brzaski, czysty poranek ery chrześcijańskiej, wonne kwiaty średniowiecza, zestawiał przeszłość z obrazem współczesnej szarzyzny — i smucił się. Znał i pamiętał wszystkie zarzuty, którymi nowożytna nauka obciążyla tak zwany metafizyczny okres, a mimo to żałośnie tęsknił do czasów, gdy społeczeństwa pożywały i szukały jedynie prawdy wiecznej, gdy wyrastali wśród nich mężowie, których życie było rozkwitaniem duszy do Boga, a „śmierć drogą w obliczności pańskiej.“ I wydawało mu się, kiedy tak spoglądał w dzieje, że historia jest długim pasmem upokorzeń i klęsk, stopniowym upadkiem kościoła, a z drugiej strony nieprzerwanem zwycięstwem pychy ludzkiej, materji, ducha ziemi...

Z ziarn apostołskich wyrosło rozłożyste drzewo i cieniem swoim pokryło świat... Zdawało się, że sprawdzi się przepowiednia o jednym pasterzu w jednej owczarni, że blizkim jest przyjscia Syna Człowieczego... Oczekiwały w uniesieniu ludy... Tymczasem stulecia podcinały konar po konarze, robactwo zagnieżdziło się w krzepkim pniu—i usycha drzewo. Znikły z powierzchni ziemi kwitnące kościoły Afryki i Azji, odpadły i odpadają kraje, państwa, narody... Rozwiała się, jak mgła, potęga kościoła, zbladła jego chwała... Z władczyńi świata i doli ludzkiej czemże stała się religia? Mieszanią kłócących się, niechętnych sobie wyznań tolerowanych przez rządy, jako zakorzeniony przeżytek minionych epok albo jako środek wychowawczy dla dzieci i pospólstwa. Mężna i mężka wiara, rodząca czyny, zamieniła się w obrzędy i dogmaty, w karne spełnianie przepisów, albo ekliwą, odświątną pobożność... Były lata buntu i walk, wątpienia scepty-

cyzmu, szyderczej niechęci, aż przyszło najgorsze zło: zupełna obojętność. Urodził się bezbożny człowiek współczesny, zarozumiały, pewny siebie, zmysłowy i łakomy, pragnący szczęścia na ziemi i użycia, człowiek rozumny i chłodny, mierny i przeciętny, zapatrzony w postęp, w naukę i ludzkość, człowiek bezpieczny i kulturalny, który nie umie się obejść bez państwa, policyi, stronnictw, gazet i kawiarni... I zgasła w życiu myśl o Bogu...

Hrabia Tobiasz dotknął z kolei ukrytej a najboleśniejszej rany: zła w samym kościele, które spostrzegął, które trwożyło go, na które nie umiał znaleźć rady. Pragnął powrotu do źródeł Nauki, nieskażonych zapewne, ale poniekąd zmaconych przyprawą apologii, egzegiezy, scholastyki, powrotu do pierwotnych form współżycia, do gminy ewangelicznej, rozgrzania miłości, rozpalenia światła wiedzy wyższego lotu, czynnej wiary, pragnął odrodzenia, naprawy i poprawy, wierzył w możliwość pozyskania na nowo umysłów i serc przykładem świętych cnót, marzył o zgromadzeniu rozproszonych i zbłąkanych w przestronnej o oknach otwartych na świat Boży świątyni, zbudowanej na opoce Piotrowej. I karmił w sobie chęci sądzenia, zapal surowej krytyki, bał się grzechu pychy, usiłował ukorzyć się i milczeć. Ale płynęły takie smutne uwagi...

— Dla czego — chciałby potem pytać — zamiast potężnego drzewa, które splotem gałęzi okryło niegdyś świat, rośnie jedynie żałobny cyprys rzymski, ocieniający grób minionej wielkości? Dla czego dzieje są zaprzeczeniem prawdy i obietnic Syna Człowieczego? Dla czego dalekiem i coraz dalszem jest Królestwo Boże, a Ten, który „daje śnieg jako wełnę, a mgłę rozsypuje jako popiół,“ nie posyła słowa Swego, ażeby roztopić zimno i nie czyni wiosny?... Zgasły cudne słowa Syna Bożego... Zapowiedział blizki powrót i zwycięstwo, a nieukazał się w obłokach w chwale swojej, nie zajaśniał jako błyskawica... Przetrwała wiara burzę czasów, czy przetrwa napaść nauki, podkopy badań krytycznych, nieufność współczesnego rozumu, chłodną obojętność serc??! I zdało mu się, że rozległ się po kościele cichy, zjadliwy chichot... To może śmiały się szyderczo zawiedzione w oczekiwaniu swoim wieki i śmiały się może znękanе pokolenia, których nagie czaszki szczyrzyły się pod ziemią w okropnym śmiechu śmierci. Jak szelest wody, ściekającej po ścianach, rozlegał się w milczących nawach cichy chichot...

Hrabia Tobiasz słuchał głosu ciszy, dumął, ogarnięty posępny niepokojem. A myśl przeczenia ryła coraz głębszy podkop, pracowała skrycie, zapuszczała się coraz dalej i podważała ostat-

nie fundamenty. Aż przyszła chwila zwątpienia. Nie obawiał się jej. Po długim trudzie lat ze zmagania się rozumu z wolą ducha, z mozolnych badań, gorliwych rozważań, głębokich rozmyślań, z walki, stoczonej z szyderczą niechęcią czasu, wynikła dzielna wiara jego i nie mogły wywrócić jej przelotne trwogi. Więc czując teraz, że traci jak gdyby grunt pod nogami, grzęźnie i zapada się, że chwieje się cały gmach, szukał kamienia węgielnego budowy, punktu oparcia, wspominał pracowitą drogę, którą wstępował na wzgórze poznania Boga, przetrząsał dowody, sięgał, pewny siły swojej, żeby wypróbować jej, po dogmaty. Ale dogmaty, z których, niby krew z przeciętej arteryi, uszła wiara, wydały się czczemi formułami, widział gwałt, który zadawały rozumowi kruchość zawitych wiązań, niezwykłość wyniosłej budowy, nieopartej na żadnym widzialnym, dotykalmym fundamencie, niedorzeczność nieudowodnionych twierdzeń, sztuczność bezprykładnej łamigłównki. Brał je po kolei, oglądał rozsądkiem, przekonywał się, że treść ich umykała, jak promień z ręki. Głośno zaś zagadwały naraz wszystkie zarzuty współczesnej nauki i sprzymierzyły się z wątpiącym rozumem, przypomniały się wyniki nożożytnych badań, godzące w autentyczność świętych ksiąg.

— A jeśli istnienie Boga—odezwała się trwożna, znana, nasuwająca się często myśl—jest złudzeniem wszystkich wieków i pokoleń, próżną nadzieją dusz, daremną tęsknotą serc? Jeśli Bóg jest tylko wyrazem mowy ludzkiej, wymysłem, który pisze się z wielkiej litery, urojeniem filozoficznym, jak przyczynowość i celowość?

W pustym kościele, w którym uśpionej duszy nie objawił się Bóg, ukazał mu się, niby straszliwe widzenie podczas snu, beznadziejny obraz wszechświata, w którym nie było Boga. Ujrzał bezmierne przestwory kosmosu, wirujące słońca, ogrom światów, zanurzonych w nieskończonej nocy, rozpaczłą nicość rzeczy niezmiernych a bezcelowych, bezmyślnych i niepotrzebnych, ujrzał otchłan ciemności i próżni, a na dnie nieobjętej otchłani—znikomą, patrzącą ku niemu dwojgiem ciekawych i niespokojnych oczu mysz, która gryzła orzech: myśl, karmiącą się wiedzą ludzką.

Przeniknęła go bojaźń. W wyniosłej budowie dogmatów mieszkala wiara jego, a wiara była osią życia. Cóż zostało? Usychający liść w rękę? Jak goście z gwarne go letniska przed zimą, znikaly po kolei w życiu jego pozór szczęścia, pozór sławy, pozór wiedzy, był sam w pustym domu swoim z Bogiem. Czyżby zabrakło wiary? Wśród przepaści mroku chaos zjawisk... Czemże będzie smutne życie jego na schyłku? Ponurym cieniem bólu

duszy, daremnie pożądającej prawdy i doskonałości? Nasyceciem zmysłów i nudą? pogonią za radością? alboż można zatrzymać odbicie obłoku w wodzie? biegnie rzeka i płynie po niebie obłok... Zabawą z orzechem wiedzy? Zdobywaniem chwały? Pieści grobową płytę dawno zmarłego promień słońca od czasu do czasu... Pracą nad pomnożeniem dóbr ziemskich, tworzeniem przemysłu, dźwiganiem rolnictwa? Nie wiele pomogą krajowi, ubogiemu duchem, bogactwa... Co uczynić z usychającym liściem życia?... A smutek stuleci, poszarpanych wojną, głodem, morem, krzywdą, bezprawiem, okrucieństwem, niedolą pokoleń, które spodziewały się i przeszły? Jaka zapłata i gdzie jest cel albo kres nędzy życia? Cierpi i nieprzestaje czekać, szukać i pragnąć ludzkość... I znowu zdało mu się, że słyszy podobny do szelestu ściekającej po ścianie wody cichy, zjadliwy chichot... Usłyszał przerywaną szyderczym śmiechem odpowiedź:

— Nie może być dowodem istnienia Boga smutek doli twojej, której niepotrafiłeś napelnić zadowoleniem, użytecznością, uciechą, nędza ziemi, niedorzeczność bezcelowych cierpień człowieka. Umysł, posłuszny zakorzenionemu nałogowi, szuka celu i przyczyny, zamiarów i kresu. Pragnienie prawdy stwarza prawdę, z tęsknoty wynikają złudzenia... Żyjesz dziś—umrzesz kiedyś, istnieje wszechświat—przemienie. I wówczas skończy się to, co nazywają ludzie boleścią, religią, Bogiem, dobrem, prawdą, nauką... W otchłani mroku umilknie szmer, który czyni znikomy chaos zjawisk...

W pustej świątyni wśród milczących naw rozlegał się cichy, szyderczy śmiech.

Jak piłka, silnie podrzucana, uderza o sufit, spada, odbija się od podłogi i znowu wraca pod powałę, tak myśl hrabiego Tobiasza przebywała wciąż przestrzeń między wiarą a wątpliwością. Nękały go, upokarzały i bolały częste powroty tych godzin niepokoju, chwiejności i zaćmienia, w których rozum ziemski brał przewagę nad duchem, prawda wieczna znikwała mu z przed oczu, jak gdyby zakryta nagle obłokiem, i świat widzialny, którego nie spostrzegał, o którym zapominał, który wydawał mu się znikomy, niegodnym uwagi cieniem, odzywał się naraz dobitnym głosem, wyrastał wyraźny, dosadny i doniosły i niby ściana zasłaniał tamten niewidzialny... Tak turkot dorożek na bruku zagłusza muzykę... Kołatał do duszy i szukał w niej pocieszenia i owej stanowczej wiedzy, którą przeżywała, usiłował wzbudzić się, jak ptak, ponad chmury, zając obsłonę zjawisk w wysokiej strefie bytu.

— Jakże słabą i niedostateczną okazywała się wiara jego, jeśli znikoma mysz, nasyciona orzechem, mogła podważyć cały gmach! I jak kłamczem było zapewnienie, że posiada wiarę, które dawał zarozumiale dziś rano! Każdy bywa kuszony, ale nie każdy upada. Wola silnego ducha tłumi wrzawę zmysłów, omamienie świata... Czegoż mu potrzeba? Znak na niebie albo na ziemi, jak tym, którzy nie wiedzą?—myślał, przypatrując się bezczynnym spojrzeniem brzydkim wizerunkom świętych na chorągwiach, ołtarzom i smutnym szeregom zgaszonych świec, szkaradnym freskom.

Tu przypomniał się hrabiemu Tobiaszowi bolesny, szczery, pełen trwogi okrzyk Śniałowskiego, że cień Boga żywego zabiegł mu drogę, że groźne oblicze Pana ukazało się w mroku zbrodni... Kto wie, może ten, którym pogardzał, od którego odwracał ze wstrętem wzrok, głębiej poznał, lepiej posiadał? może zgnębionej duszy przestępcy skuteczniej objawiła się łaska?

Fala pokory zalała serce. Bił się w piersi i korzył się, wspominając grzech pogardy, pychy i niechęci wobec bliźniego, grzech chwiejności, sądzienia i trwogi.

„A jeśli który z was potrzebuje mądrości — szeptał — niech prosi od Boga, który obficie wszystkim dawa, a nic nie wymawia, a będzie mu dana. A niech prosi z wiarą, nic nie wątpiąc. Bo kto wątpi, podobny jest wału morskemu, którego wiatr wzrusza i tam i sam nosi... A bądźcie czynicielami słowa a nie słuchaczami tylko, oszukiwającymi samych siebie. Bo jeśli kto jest słuchaczem słowa a nie czynicielem, ten podobny będzie mężowi, przypatrującemu się obliczu narodzenia swego w zwierciadle...“

— Niech prosi z wiarą, nic nie wątpiąc — powtarzał hrabia Tobiasz. Jakże mogła być daną duszy, którą nieustannie mącił wiatr niepokoju, mądrość? Alboż zdobywa kiedy szczęście i pokój wiedzy ten, który tylko przypatruje się w zwierciadle oblicza narodzenia swego, który jest słuchaczem słowa a nie czynicielem?

Dumał, rozważając treściwe słowa apostoła, i coraz niżej pochylał głowę pod ciężarem zarzutów, którymi smagał sumienie, w smutku, którym napełniał go widok własnego życia. Wydawało mu się, że dotychczas przyglądał się sobie w lustrze i szukał na obliczu swoim piękna doskonałości, że niema czynów ani uczynków, któreby usprawiedliwiały i dawały świadectwo wierze, nazywał siebie najlichszym i najbardziej niegodnym i głęboko wstydił się pychy, która kryła się gdzieś, w jakimś zakątku, a wypływała na powierzchnię, gdy zstępował do ludzi i porównywał siebie z nimi.

Nurt skruchy i żalu zagarniał coraz głębiej serce. I z wolna otwierała się skruszona dusza, ażeby zajaśniała w niej spokojnem światłem prawda, która zmogła duch przeczenia, lęk i boleść, i wyrosła w duszy wyniosła budowa wiary, urągająca zarzutom rozumu, szyderczej wrzawie zmysłów. Zarzuty rozumu stały się właśnie dowodami potwierdzającymi. Wystarczyło wznieść się ponad chmurę przemijających zjawisk, rozbić zapórę świata widzialnego — i oczy ujrzały na nowo blask trwałej wiedzy. Prawda, którą nadaremnie usiłował zbadać i usprawiedliwić umysł, przeciw której podniosły bunt zmysły, prawda, przed chwilą straszliwie daleka i niewiarogodna, przemówiła znanymi wyrazy, odbiła się w duszy i świeciła jasno, jak słońce, a to, co było prawdą dla ducha, nie mogło podlegać wątpieniu i trwało, chociażby naprzekór prawom oczywistym, doświadczeniu, niespokojnym domaganiom się myśli ludzkiej i zaprzeczeniom rozumu tak, jak dźwięki istnieją i brzmią, mimo że tłum na sali koncertowej składa się z samych głuchych, którzy, nie mogąc ani dotknąć, ani spostrzedz wzrokiem muzyki, nie chcą wierzyć, żeby ona brzmiała.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

RZĄDY AUSTRYACKIE W GALICJI

pomiędzy wojną roku 1809 a 1812.

Mocą traktatu wiedeńskiego utraciła Austria na rzecz Księstwa Warszawskiego t. zw. okręg Zamoyski i Krakowski; było tego wszystkiego razem 961 mil. kw. i 1,531,560 dusz. Z Galicji zaś Wschodniej po przewlekłych, północnych układach cesyjnych zabrała Rosya tak nazwany kraj Tarnopolski, obejmujący 121 mil kw., z ludnością wynoszącą nominalnie 400,000 faktycznie zaś 349,015 głów.

Zatrzymała więc Austria więcej niż połowę swych pierwotnych zaborów, z dawnego ich obszaru 2,346 mil kw. aż 1,264 mil kw., z 5,181,771 aż 3,301,156 mieszkańców. Pozostała przy monarchii część Galicji, najgęściej zaludniona, w czasie wojny w całości prawie zajęta przez armię rosyjską, zamierzony nabytek Rosyi; tworzyły ją cyrkuły myślenicki, bocheński, sądecki, jasielski, sanocki, samborski, tarnowski, rzeszowski, przemyski, żółkiewski, złoczowski, lwowski, brzeżański, stryjski, stanisławowski i śniatyński. Był to już tylko ułamek dawnego zaboru, zawsze jednak jeszcze $\frac{1}{12}$ część terytorium Rzpltej.

Stan posiadania w Polsce trzech mocarstw rozbiornych uległ w czasie dwóch ostatnich lat znacznej zmianie. Powstało Księstwo Warszawskie. Prusy utraciły $\frac{3}{4}$, Austria zaś prawie połowę swych polskich nabytków. W posiadaniu ich pozostawały w stosunku do całości Rzpltej nieledwie skrawki tylko, Prusy miały jeszcze 660 mil kw., Austria 1,264 mil kw. i około 3,000,000 ludności. Natomiast powiększyła swój zabór Rosya, zabierając w roku 1807 Prusom okręg Białostocki (200 mil kw.) a Austrii

w roku 1809 kraj Tarnopolski (121 mil kw.). Ona też posiadała obecnie prawie $\frac{2}{3}$ obszaru Rzpltej, bo aż 8,563 mil kw. i przeszło 8,000,000 ludności. Połowę tej ludności, niespełna 4,000,000, a jedną trzecią część tego terytoryum, 2,821 mil kw., obejmowało Księstwo Warszawskie.

Siłą więc rzeczy stawało się ono ośrodkiem i punktem wyjścia polskich dążeń państwowo-twórczych, jako polska organizacja państwowa, jako największa po krajach zabranych część Polski, wreszcie jako terytoryum dla ziem Rzpltej geo- i etnograficznie centralne.

Galicya zostawała w sferze wpływów Księstwa Warszawskiego od chwili jego utworzenia. Obecnie, po zwycięskiej wojnie, po niezławionem powstaniu, po przyłączeniu prawie połowy kraju do Księstwa, kiedy z wojskiem polskim opuściło Galicyę tysiące jej mieszkańców, kiedy nie było prawie rodziny szlacheckiej, któraby w armii warszawskiej nie miała kogoś bardzo blizkiego, nie było niemal szlachcica, któryby tam nie miał krewnych, przyjaciół, znajomych—stosunki Galicyi z Księstwem były ciągłe, stałe, codzienne, wpływ jego na nią decydującym.¹⁾

Szlachta, gdy tylko mogła, wychowywała młodzież swą w szkołach warszawskich,²⁾ matki synów, żony mężów wysyłały do służby wojskowej i cywilnej w Księstwie. Gazety warszawskie powszechnie były w Galicyi czytowane, każdy świstek, każda broszura tam wydana natychmiast była tu ogólnie znaną. Przewożono je przez granicę, przemycano w listach, największe wysiłki rządu, aby temu przeszkodzić, były daremne.

Wymiana listów była bardzo żywa, odbywała się ona, żeby uniknąć kontroli rządu, na drodze przemycnictwa, wozili druki

¹⁾ Por. Goess do Brezany 25 Juli 1810, do Haagera 17 April. „...setki młodzieży uciekło do Księstwa, nie jestem w stanie wymienić tych wszystkich, którzy opuścili Galicyę wraz z armią warszawską, jest ich tak wielu, że zestawić wyczerpujące wykazy jest niewykonalne.“ 12 Aug., 6 November 1810; Haager do Goessa, Wien 27 März 1810; Baum do Goessa, Wieliczka 20 Januar 1811; cyrkule do Landes Pr., niezupełne wykazy, tłómaczą się z niemożności wykrycia tych wszystkich, którzy do wojska polskiego wstąpili. Wykazy obejmują tylko właścicieli dóbr, nie będących sujets mixtes. Goess do ks. Reuss, generała komend., 8 Jan. 1811, wykaz byłych oficerów austryackich, zbiegłych do armii warszawskiej, oznaczony jako niezupełny. (Arch. Namiestnictwa we Lwowie).

²⁾ Por. Goess do cyr. Jasło, 28 Aug. 1810, do Haagera, 4 Septem. 1810; Haager do Goessa, 8 Octob. 1810 (Arch. Nam.).

i listy specyjalni posłańcy i Żydzi, posyłano je sobie przez znajomych i krewnych „okazyją.“¹⁾

Naturalnym organem wpływów Księstwa na Galicyę byli *sujets mixtes*. Traktat pokoju wiedeńskiego zapewniał im wolność przebywania w służbie warszawskiej, wyjeżdżania i wracania każdej chwili do Galicyi, dawał im wszystkie prawa obywatela Księstwa, ograniczał obowiązki poddańcze wobec Austrii. To też Galicya pełna była oficerów warszawskich, przyjeżdżających i wyjeżdżających ustawicznie, bawiących miesiącami nieraz całymi po miastach i dworach szlacheckich u rodzin swych, krewnych lub przyjaciół. Po ukończonej kampanii karnawał we Lwowie huczny był i wesoły, na salach balowych, na redutach i kuligach, jak kraj długi i szeroki, roiło się od barwnych mundurów warszawskich, właściciele ich byli bohaterami dnia; że zdobywali serca pięknych „galicyanek“ z równą łatwością, jak pół roku temu kraj, nikt wątpić nie będzie; koło nich skupiało się życie towarzyskie i polityczne Galicyi, oni nadawali mu ton, oni urabiali i organizowali opinię, niecili zapał i entuzjazm dla sprawy polskiej, krzewili kult Napoleona i wolnej, niepodległej Rzpltej. Byli dumą i radością ojców, ideałem i wzorem dorastającej młodzieży, marzeniem kobiet, a postrachem austriackich urzędników i oficerów.²⁾

Tych ostatnich z junacką fantazyą i zuchwalstwem wyparli z redut i zabaw publicznych. Stosunki między przedstawicielami obu armij tak się zaogniły, że przychodziło już nietylko do ciągłych pojedynków, ale do bójek, w których uczestniczyło po kilkadziesiąt osób.³⁾

Z oficerami warszawskimi zjeżdżali do Galicyi w charakterze ich służących prości żołnierze, zwykle chłopcy galicyjscy, ci

1) Landes Pr. do cyr. Złoczów, 13 März 1810, do Banca Administr., 25 Juni, 2 Septemb. 1810. Goess do Haagera, 30 maja 1810; cyr. Złoczów 20 Septemb. i cyr. Żółkiew 29 Octob. do Landes Pr.; agent do Goessa, Sokal 30 Octob. 1810; Haager do Goessa, 27 April 1810 (Arch. Nam.).

2) „...Oficerowie warszawscy zjeżdżają tłumnie, wszędzie ich pełno, wywierają wpływ bardzo szkodliwy, utrzymują społeczeństwo w rewolucyjnem napięciu, podsycają wiarę w blizkie odzyskanie Polski...“ Goess do Haagera, 31 Mai 1810; Landes Pr. do cyr. Żółkiew 22 Febr., do cyr. Złoczów 25 Novemb. 1810. Haager do Wurmsera, Wien 23 Januar 1810: „S. M. empfehlen zugleich eine vorzügliche Aufmerksamkeit auf jene warsch. Officiere, die durch ihre falschen Ausstreungen Kleinmuth verbreiten und die Köpfe in Gährung erhalten...“ (Arch. Nam.). Cyr. Żółkiew do Landes Pr. 14 Juni 1810 (Arch. Nam.).

3) Por. Goess do Haagera, 7 März; Haager do Goessa, 18 März 1810 (Arch. Nam.).

krzewili ideę polską, budzili podziw dla broni polskiej i Napoleona, a nienawiść do Austrii i Rosyi wśród najszerszych warstw ludu miejskiego i wiejskiego.¹⁾ Niejednokrotnie też przybywali ludzie, którzy do Galicji wracać nie mogli, gdyż zbiegli do legionów lub wojsk warszawskich przed rokiem 1809, przyjeżdżali za paszportami fałszywymi albo zgoła bez nich. Zwłaszcza do dworów, niedaleko granicy położonych, wpadali oficerowie Księstwa na kilka dni, na kilka nieraz godzin, często gromadnie, a straż graniczna czasem ich nie widziała, czasem widząc zatrzymać nie miała odwagi.²⁾

Trudności paszportowe, czynione przez gubernium mieszkańców Galicji, zamierzającym udać się do Księstwa, najczęstsze nieudzielanie ich, o ile żądający nie był sujet mixtes, nie osłabiło ani zmniejszyło wyjazdów, granicę przejeżdżano bez paszportów i to masowo. Tłumnie przekradała się przez kordony szlachta, ustawicznie jeździli do byłej Galicji Zachodniej kupcy i mieszczanie w sprawach handlowych i procesowych.³⁾

Kraków i Lublin pełen był ciągle galicyjskiej szlachty, latem zdrojowiska na Podkarpaciu, szczególnie Lubień i Krynica, — Niemcy jeździli do Szkla, — przez rok cały kontrakty we Lwowie, Krakowie i Lubieniu i jarmarki były miejscami jakby walnych zjazdów szlachty z tej i z tamtej strony kordonu.⁴⁾

Wśród takich warunków wpływ Księstwa Warszawskiego na Galicyę był decydujący; wspólność dążeń i pragnień, wspólność przyjętego systemu politycznego, ciągłe, bezpośrednie, wzajemne czucie czyniły poniekąd Galicyę i Księstwo jednostką moralną; nigdy nie był przedtem i nigdy potem kordon graniczny w życiu Galicji rzeczą tak małego znaczenia, jak w tym świetnym okresie lat 1809—1815.

¹⁾ Por. Landes Pr. do Gener. Komendy, 26 Mai 1810: „...z oficerami przyjeżdżają, jako ich służący, podoficerowie i żołnierze, często dezterterzy i chłopci galicyjscy, chodzą w mundurach, demoralizują lud.“ (Arch. Nam.).

²⁾ Por. Generalna Komenda do Landes Pr., 13 Mai 1810; cyr. Rzeszów do Landes Pr., 12 Mai 1810; Goess do Haagera, 10 Aug. 1810. Zakrzewski, pułkownik 13 pułku piechoty Księstwa Warszawskiego, do br. Wunscha, dowódcy trzeciego kordonu granicznego. Zamość, 18 kwietnia 1810 (Arch. Nam.).

³⁾ Goess do Brezany i cyrkułów, 10 Mai 1810. Okólnik w sprawie ustawicznego jeżdżenia galicyjskich obywateli do Księstwa bez paszportów. Goess do Haagera, 31 Decemb. 1811; cyr. Złoczów do Landes Pr., 3 Aug. 1811; Haager do Goessa, 16 Aug. 1812 (Arch. Nam.).

⁴⁾ Goess do Haagera, 14 Juni, 21 Juli, 29 Juli 1810; Haager do Goessa, Wien 11 Juli 1810 (Arch. Nam.).

Po wypadkach roku 1809 władze galicyjskie utraciły wszelką nadzieję, ażeby Galicya kiedykolwiek być mogła wierną i uległą prowincją austryacką. Naczelnicy cyrkułów, dyrekcyja policyi, przygodni obserwatorzy, wszyscy, rozpatrując udział jej we wojnie, godzili się na jedno w konkluzjach ostatecznych, „rząd nie może mieć najmniejszej nadziei pozyskania kiedykolwiek przychylności tego, z natury swej niepodległościowego i niewdzięcznego narodu, choćby największemi odznaczeniami, dobrodziejstwami i ofiarami.“ ¹⁾

„Długo jeszcze przed wybuchem nieszczęśliwej wojny między Rosyą, Prusami a Francją—pisał Brezany do Haagera—kiedy mieszkańcy Galicyi nie mieli żadnej nadziei, któraby pozwoliła im ujawnić nienawiść do c. k. rządu, już pragnienie odbudowania Królestwa Polskiego uwidoczniło się tak powszechnie i rażąco, iż nie mogło ująć uwagi nawet najbardziej powierzchownego obserwatora... I gdy już wówczas tliły iskry niezadowolenia i buntu pod ziemią, to pokój w Tylży rozpałił je pełnym, jasnym płomieniem. Księstwo Warszawskie zamieniło życzenie w głośną, pewną nadzieję. Zachowanie się Wschodniej i Zachodniej Galicyi w czasie ostatniej wojny, która tak doskonale rozwinęła usposobienie i nastrój zwrócone przeciw Austryi, dostarczyło jaskrawych dowodów tej nienawiści...“ Pokój wiedeński zwrócił Austryi Wschodnią Galicyę, „ale nie osłabił jej nadziei... Bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, liczy teraz szlachta na rychłe swe połączenie z Księstwem Warszawskiem i na zamianę tegoż w Polskie Królestwo.“ ²⁾

A gubernator Galicyi orzekął: „Jeśli przeszło trzydziestoletnie przyzwyczajenie do otrzymanej organizacyi państwowej i przeświadczenie o staraniach rządu, podjętych celem podniesienia kultury i dobrobytu kraju do stopnia ich rozwoju w innych częściach monarchii, nie zdołały zniszczyć ciągle żywnego, choć starannie skrywanego pragnienia niezawisłego bytu państwowego, to obecnie nastrój ten musiał stać się silniejszym tylko i bardziej jeszcze niezniszczalnym.“ ³⁾

¹⁾ Por. Brezany do Haagera, 5 Febr. 1810; Wurmser do Haagera 9 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern. we Wiedniu). Haager do Goessa, posyłając mu raport „przygodnego podróznego,“ Wien 19 März 1810 (Arch. Nam.). Bornschein, Geschichte von Pohlen. Lemberg, 1810.

²⁾ Por. Brezany do Haagera, 5 Febr. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

³⁾ Goess do Haagera, 15 Febr. 1810. Koncept Heidera (Arch. Nam.).

Co do istotnego, beznadziejnego położenia Austrii w Galicji nie łudził się także i hr. Wurmser,¹⁾ znał on kraj i nastrój polityczny mieszkańców znakomicie, świadek naoczny powstania, a teraz nadworny, pełnomocny komisarz dla spraw cesyjnych i restytucyjnych, miał tak dokładny przegląd wypadków ubiegłego roku, jak nikt inny; miał urobiony sąd o ludziach i rzeczach, podziw i nienawiść dla narodu polskiego; podzielał wprawdzie poglądy biurokracyi na bieżący stan rzeczy w Galicji, razem z nią nie wątpił o bezskuteczności i daremnym trudzie wszelkich wysiłków, zmierzających do zgnębienia lub osłabienia ruchu niepodległościowego i znalezienia wśród społeczeństwa najsłabszego choćby oparcia; jednakże tylko w latach najbliższych, natomiast w perspektywie dalszej przyszłości widział możliwość wyłonienia ze społeczeństwa galicyjskiego elementów, które odpowiednio wychowane, stałyby się silnymi wiązaniami austriackiej państwowości. Na tej nadziei oparł Wurmser program polityczny, czy też na tym programie nadzieję, jedno zaś i drugie na żywej, bystrej obserwacji społeczeństwa, na dokładnej znajomości jego charakteru, jego struktury narodowej i socyalnej, na rysujących się już antagonizmach społecznych, acz nie ujętych jeszcze i nie uświadomionych. Z łatwością spostrzegł, zestawiając bilans powstania, że biernie wobec niego zachował się kler gr.-kat. i chłop, że ani jeden, ani drugi nie posiada aspiracji narodowo-państwowych, a sprawa polska jest mu całkowicie obcą i obojętną. Przyczyn tego zjawiska szukał i znajdował je nie w różnicach plemiennych, ale społecznych, w ucisku ekonomicznym chłopca, w nędzy i pozycji socyalnej i towarzyskiej kleru gr.-kat., do nizin niedoli chłopskiej straconego. I tak stanęła przed nim kwestya włościańska i ruska w pierwotnych swych załączkach, na nich się oparłszy, naszkicował Wurmser program polityczny, nazajutrz po pokoju wiedeńskim, program rzezi roku 1846 i kontrrewolucyi ruskiej roku 1848.

„...I tak pozostają w tym kraju — powiada Wurmser — dla rządu dwie wielkie podpory, chodzi tylko o to, żeby je bardziej jeszcze umocnić, a potem całkiem na nich się oprzeć. Mam na myśli poddanych i kler gr.-kat. Rząd powinien przyjąć, jako zasadę, że przy nakładaniu ciężarów publicznych zwraca się szczególną uwagę na stan tutejszego poddanego i całe ich brzemie, co najmniej w przeważającej części, ponosić się każe dworom... Na-

¹⁾ Wurmser do Haagera, 9 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

stępnie przyjdzie już do tego, że się w tym kraju utworzy porządny system poddaństwa, chłopów się uwłaszczy, roboczną według *małego* wymiaru ureguluje, jej zamianę na daninę w pieniądzach lub naturaliach (!) składanej ułatwi. Jeśli będzie rząd w myśl takich zasad konsekwentnie działał, to serce ludu prostego, głównej siły państwa, są dla niego na zawsze zdobyte...“¹⁾

Nie tak jasno i dobitnie ujmował Wurmser kwestyę ruską, można powiedzieć, że ją raczej przeczuwał, niż przewidywał.

Rząd austriacki zajął się klerem gr.-kat. od chwili zaborów bardzo gorliwie, starał się polepszyć jego położenie materyalne, pracował usilnie nad jego wykształceniem. Przewodnią myślą jednak tych zabiegów około ekonomicznego i kulturalnego podniesienia duchowieństwa unickiego był lęk przed propagandą prawosławia w Galicyi i na Węgrzech i idącą za nią polityczną agitacyą rosyjską. Nie tyle obawa przed Polską, ile przed Rosyą, kazała Austrii zająć się klerem gr.-kat., utworzyć w Wiedniu instytut teologiczny, który w latach późniejszych, pod wpływem ambasady rosyjskiej, będzie wylęgarnią ruchu „moskalofilskiego“ w Galicyi, ustanowić w r. 1808 metropolię we Lwowie, a seminarjum duchowne, pod kierunkiem Angełłowicza a później Harasiewiczza, uczynić szkołą antyrosyjskich agitatorów w Galicyi i na Węgrzech.

Wytyczną polityki rządu wobec cerkwi było, kler unicki uczynić wierną służką państwowości austriackiej, kościół gr.-kat. jak najsilniej przeciwstawić prawosławiu i propagandzie rosyjskiej na wschodnich kresach monarchii. Duchowieństwo unickie, nie umiejące czytać ani pisać po rusku, „pospółstwo ruskie,“ przemawiające do władz austriackich w języku polskim, nie mogło nikomu nasunąć myśli o istnieniu lub tworzeniu narodu ruskiego. Powszechnie nie odróżniano Rusinów od Rosyan, nie rozróżniał ich rząd, nie rozróżniali przygodni podróżnicy niemieccy, którzy słysząc o nienawiści polsko-rosyjskiej dziwili się, przyjechawszy do Galicyi, że oba narody w najlepszej żyją zgodzie, do Austrii równą zieją nienawiścią, z tą samą tęsknotą wyczekują niepodległej Polski.²⁾

¹⁾ Por. Wurmser do Haagera, 9 Mai 1810 (Arch. Minister. des Innern.).

²⁾ Por. Angełłowicz do Goessa, 4 Januar 1811. Kilkanaście rewersów nowo-mianowanych proboszczów, po polsku zredagowanych, „gdyż wystawiciel nie umie ani po niemiecku, ani po łacinie.“ (Arch. Nam.). Baczyński do Goessa, 15 Juni 1810. Przekłada dowody swej niewinności, wśród tych pisma probosz-

Dopiero lojalne stanowisko większości kleru gr.-kat. podczas powstania wykazało, że duchowieństwo unickie jest dla rządu wartością pierwszorzędną nie tylko jako narzędzie w walce z propagandą Rosyi, ale także w zmaganiu się z dążeniami niepodległościowymi społeczeństwa polskiego.

To też Wurmser w programie swym zalecał otoczenie kleru gr.-kat. jak najżyczliwszą opieką, jako jedynej obok chłopa możliwej podpory austriackiej państwowości tu na dalekich kresach monarchii, na linii tarć polsko-rosyjskich, w dzierzawach tak mocno równocześnie zagrożonych przez Księstwo Warszawskie i Rosyę.¹⁾

Takim był program Wurmsera, odpowiadał on nastrojowi galicyjskiej biurokracji i poglądom ministerium policyi, nie zupełnie jednak godził się nań nowomianowany u schyłku r. 1809 gubernator Galicyi, hr. Piotr Goess.

Hr. Piotr Goess obejmował rządy kraju bez uprzedzeń, obcą mu była nienawiść Wurmsera do szlachty, nie podzielał zapatrywań biurokracji, że wszelka praca nad pozyskaniem części jej dla rządu i państwa jest daremną, znajdował się jeszcze pod świeżym wpływem świetnych swych rządów w Dalmacyi, którymi zdobył sobie miłość ludności i łaskę monarchy; Galicyi nie znał, nie rozumiał też, dlaczegoby metody działania, których używał tak skutecznie na południowych, miały zawieść tu, na północnych kresach monarchii. Zbyt był niewątpliwie i przywiązany do stworzonego przez siebie systemu rządów, aby go nie zastosować na nowym posterunku, wbrew zapatrywaniom i naleganiom otoczenia. Program Wurmsera nie odpowiadał także istotnym właściwościom jego charakteru, wrodzonej dobroduszości i głębokiemu poczuciu sprawiedliwości. Na tych właściwościach własnego charakteru i na doświadczeniu zdobytym w Dalmacyi, nie na znajomości kraju i jego mieszkańców, oparł Goess swój program polityczny.

Spodziewał się, że uda mu się pozyskać dla rządu część szlachty, a kraj cały przywiązać do państwa, podnosząc go ekonomicznie i kulturalnie; sądził bowiem, że dobry, sprawiedliwy

czów jego dekanatu, kleryków, „pospólstwa ruskiego miasteczka Wielkie Mosty,“ wszystkie zredagowane w języku polskim (Arch. Nam.). Anonym do Haagera, 19 März 1810: „...Bey euch glaubt man und nint es für ausgemacht wahr an, dass zwischen den Russen und Pohlen ein eingewurzeltes Hass bestehe. Hierauf ist nun nicht eine Silbe wahr; beide Nationen sind innig vereint...“ (Arch. Namiest.).

¹⁾ Por. Wurmser do Haagera, 9 Mai 1810 (Arch. Minist. des Inneren.).

rząd musi zdobyć zaufanie i miłość ludności. Łudził się przez pewien czas, że w przyłączonej do Księstwa Galicji Zachodniej, nękaney wielkimi podatkami, wyniszczanej znacznymi ciężarami państwowymi, powstanie żal za utraconem szczęściem „łagodnych“ rządów austryackich, że marnotrawna prowincya zechce wrócić do Austrii, w której istnieje większy dobrobyt, a ludność nie dźwiga tak wielkich ciężarów publicznych, jak w Księstwie; sądził bowiem, że szczęście kraju zależy od dobrobytu i dobrej państwowej administracyi. Raporty jednak agentów, wysyłanych do Księstwa dla sprawdzenia tych jego nadziei, szybko złudzenia te rozwiały,¹⁾ nie zachwiały natomiast zasadniczych jego poglądów na stosunek ludności do państwa, typowych poglądów urzędnika oświeconego a wkrótce zaciemnionego absolutyzmu.

Sam Goess urodzony w prowincyach włoskich, z pochodzenia Portugalczyk, a z powołania austryacki mąż stanu,²⁾ nie rozumiał dlaczegoby i ta szlachta, urodzona w Galicji, z pochodzenia polska, nie mogła z powołania stać się austryacką. To też, ku oburzeniu biurokracyi i Haagera, jak sam twierdził, nie znał ani Polaków, ani Niemców, tylko poddanych cesarza,³⁾ a jak twierdził Brezany, szlachtę polską kokietował;⁴⁾ w rzeczywistości starał się ją koło siebie skupić, z całym szeregiem magnatów nawiązał towarzyskie stosunki, często bardzo gościł ich u siebie, a w czerwcu podejmował szlachtę, która tłumnie zjechała do Lwowa na kontrakty, wielkim gubernatorskim bale.

Goess, w stosunkach osobistych bardzo łatwy, czynił wszystko możliwe, aby na gruncie pożycia towarzyskiego wytworzyć przy sobie koło „dobrze myślącej“ szlachty, rychło jednak doznał bolesnego zawodu; wśród biurokracyi wywołał żywe oburzenie, naraził się na silne niezadowolenie ministeryum policyi, a wśród bywającej u niego szlachty znalazł adoratorów swej siostry, ale nielicznego koła zaprzędanych rządowi magnatów nie powiększył.⁵⁾

A tymczasem szły ze Lwowa do Wiednia anonimowe denuncyacye,⁶⁾ oskarżające Goessa o przyjacielskie, towarzyskie pożycie z ludźmi, którzy w roku 1809 kierowali powstaniem i znani

¹⁾ Por. Baum do Goessa, 4 Aug. 1810 (Arch. Nam.).

²⁾ Por. Wurzbach.

³⁾ Goess do Haagera, 4 Juni 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

⁴⁾ Brezany do Haagera, 12 Aug. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

⁵⁾ Haager do Franciszk^a I, 1 Septem. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

⁶⁾ Anonim do Haagera, Lemberg 1 Septem. 1810 (Arch. Minist. des

byli ze swych niepodległościowych dążności, słyły oględnie stylizowane raporty dyrektora policyi Brezany,¹⁾ żalące się, że gubernator dla Polaków zbyt grzeczny i usłużny, że utrzymuje osobiste stosunki z wybitnymi wrogami państwa i rządu; Goess musiał tłumaczyć się i usprawiedliwiać.²⁾

Doznane niepowodzenia i towarzyszące im przykrości ze strony Haagera i otoczenia znacznie uśmierzyły początkowy jego zapał jednania sobie i państwu polskiej szlachty, myśli tej jednak całkowicie się nie wyrzekł, niejednokrotnie będzie do niej wracał, do końca zaś swych rządów utrzymywać będzie żywe stosunki z kilku magnatami, snując wraz z nimi projekty ekonomicznego i kulturalnego podniesienia kraju, będzie z Borkowskim układał plany Towarzystwa Emulacyi Narodowej, mającego znowu skupić w sobie ową legendarną już szlachtę, która z rządem pracowaćby chciała nad ekonomicznym rozwojem Galicji i daremnie starać się będzie w Wiedniu o pozwolenie zawiązania takiego lub podobnego stowarzyszenia, którego zresztą jedynem zadaniem byłoby utrzymywać szkołę rolniczą.

Zgodnie ze wskazaniem Wurmsera starał się Goess jak najbardziej oszczędzać lud przy rozkładaniu ciężarów publicznych, które były ogromne, czynił to jednak z innych pobudek, aniżeli czynić zalecał tamten, nie aby zniszczyć materialnie szlachtę, ale żeby nie doprowadzać do ostatniej nędzy chłopca; wobec rządu centralnego skarżył się ustawicznie na nadmiar ciężarów państwowych, które kraj ekonomicznie rujnują i prowadzą do zupełnej dewastacyi, protestował gorąco przeciw wielkim poborom rekruta, które tysiące rąk z kraju zabierały, podczas gdy setki morgów ornej ziemi leżało dla braku sił roboczych ugiorem — wszystko to oczywiście nie miało żadnego skutku.

Tak więc plany Goessa gospodarczego podniesienia kraju, przywiązania ludności do państwa przez troskliwą opiekę i serdeczną pracę nad jego dobrobytem — spełzły na niczem. Ruina finansowa Austrii, rozwijające się wypadki dziejowe, ogromne koszta wojen napoleońskich — zaiste, nie były to warunki, wśród których ekonomicznie kraj mógł się rozwinać, przeciwnie Galicja za rządów Goessa materialnie podupadała coraz bardziej.

W czasie rządów swych starał się Goess zrzęcznie opanować opinię polityczną społeczeństwa, w tym celu posługiwał się

¹⁾ Brezany do Haagera, 12 Aug. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

²⁾ Goess do Haagera, 30 Octob. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

i osobistymi stosunkami wśród szlachty i naczelnikami cyrkułów, którym dawał obszerne instrukcje, jak mają organizować korzystne a zwalczać niebezpieczne „nastroje“ wśród ludności, wreszcie bardzo sprytnie redagowaną „Gazetą Lwowską.“

Ponieważ zaś znaczny wpływ na opinię w kraju wywierać mogły osoby, zajmujące stanowiska publiczne, przeto dążył konsekwentnie Goess do usuwania z nich ludzi politycznie niepewnych. Zwłaszcza magistraty i probostwa, jako instytucje od rządu bezpośrednio niezależne, przedstawiały w tym względzie wartość pierwszorzędą, uczynić je ośrodkami rządowej w kraju opinii, obsadzić ludźmi zaufanymi a przepędzić z nich wszystko to, co dostatecznej rękojmi wiernopoddaństwa nie dawało, było stałą wytyczną działalności gubernatora.

Magistraty bez trudności obsadził rząd swemi kreaturami, trudniej było z parafiami, tu musiał się ograniczyć do większych i lepszych, te powierzał za pośrednictwem powołanych mu i ślepo uległych arcybiskupów, Kickiego i Angełłowicza, księżni zupełnie sobie oddanymi, w większości jednak probostw, oczywiście łacińskich, z przykrością zmuszony był tolerować ludzi, zaufania jego niezupełnie godnych, wpływy ich jednak niesympatyczne na tworzenie się opinii politycznej unieruchomił ścisłym dozorem policyjnym i ciągle zawieszoną nad nimi groźbą suspenzyi. Niezależnie od tego prowadził rząd środkami administracyjnymi i policyjnymi zaciętą walkę z wpływami Księstwa Warszawskiego, nastrojami politycznymi i dążeniami niepodległościowemi społeczeństwa.

Tutaj posiadanie dobrej i rozgałęzionej służby wywiadowczej było pierwszym zadaniem, a że trzeba było, wobec rozlewności i powszechności ruchu niepodległościowego w Galicji, dozór policyjny rozciągnąć nad całym społeczeństwem, zaś środki finansowe dla opędzenia kosztów tajnej policyi stosunkowo były nieznaczne, więc trudności sprostania temu naczelnemu zadaniu zdawały się być nie do przewyciężenia.

W istocie jednak nie brak odpowiednich funduszków, ale opinia publiczna w Galicji i moralna dzielność społeczeństwa, wyśiłki rządu w znacznej mierze unieruchomiła.

Trudności finansowe usunął rząd, powołując do pełnienia tajnej służby wywiadowczej dziesiątki pensyonowanych i setki czynnych urzędników¹⁾ wszelkich kategorii, zwłaszcza skarbowych

¹⁾ Goess do Kortuma 16 Juni 1810, do cyrkułów 6 Febr. 1811, Kortum do Goessa 18 Septem. i 14 Decemb. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, 25 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

i cłowych, dalej burmistrzów, urzędników magistratów,¹⁾ wreszcie oficerów.²⁾

W ten sposób społeczeństwo w jednej chwili spowiła gęsta sieć szpiegów i denuncyantów. Ozka jej jednak były tak słabe, że niczego złowić nie były w stanie. Większe już usługi świadczyli naczelnicy cyrkulów, obowiązani do składania miesięcznych raportów o tem, „co myśli, mówi i robi“ ludność ich okręgów. Zawodowych tajnych agentów³⁾ posiadała policya niewielu, czterech do sześciu, a wśród nich jednego „Polaka,“ Krużelewskiego, zabitego w r. 1812 w tajemniczy sposób podczas jednej z wycieczek służbowych do Księstwa, po śmierci zaś owego szlachcica drugiego takiego, mimo znacznych wysiłków, Brezany już nie znalazł. Prócz tego kilkunastu faktorów i kelnerów za wielkie pieniądze pełniło służbę wywiadowczą w zajazdach i gospodach.⁴⁾

Wszystkie te środki były niedostateczne, ani setki urzędników, ani naczelnicy cyrkulów, ani kelnerzy i faktorzy nie byli w stanie dostarczyć potrzebnych informacji, gdyż wszyscy oni stali na zewnątrz społeczeństwa, jego życie utajone było dla nich zamkniętą księgą.

Rozumiał to rząd, używał też wszelkich sposobów, żeby znaleźć agentów wśród samej szlachty, a przynajmniej wśród ludzi, którzy stali w ośrodkach jej życia lub o nie się ocierali. Wszelkie jednak rozwinięte w tym celu i przez Brezanę, i przez organizatora tajnej policji, v. Persę,⁵⁾ starania były bezowocne. Tajnych wywiadowców nie znaleźli oni nietylko już wśród szlachty samej, ale nawet w najbliższem jej otoczeniu wśród lekarzy, nauczycieli, oficyalistów dworskich, francuskich guwernerów i guwernantek, których pełne były większe dwory szlacheckie, nie doszukali się ich także wśród służby.⁶⁾

Braki ogromne, jakie skutkiem tego wykazywała organizacya tajnej policji, starano się zastąpić poruczaniem służby wy-

¹⁾ Haager do Goessa, 25 Mai 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

²⁾ Goess do ks. Reuss, 8 Juni 1810; General. Komenda do Landes Pr., 26 Aug. 1810; Landes Pr. do cyr. Złoczów, 25 Novemb. 1810 (Arch. Nam.).

³⁾ Żołd ich miesięczny wynosił 25 fl. do 30 fl.

⁴⁾ Wyczerpujący raport Brezany o stanie i potrzebach tajnej policji. Por. Brezany do Haagera, 21 April 1810 (Arch. Nam.).

⁵⁾ Persa, były dyrektor policji w Krakowie.

⁶⁾ Por. Brezany do Haagera, 21 April 1810 (Arch. Nam.).

wiadowczej niektórym urzędnikom politycznym, mającym wśród szlachty rozległe stosunki; była to spekulacya na naiwność, gadulstwo i lekkomyślną niedyskrecyę tłumy szlacheckiego.

Taką służbą wywiadowczą rozporządzał rząd. Za jej pomocą nie usłyszał każdego słowa, ale zobaczył każde poruszenie „źle myślącego narodowca“; żadne zebranie towarzyskie, żaden zjazd sąsiedzki nie uszedł uwagi rządu. Naczelnik cyrkułu wiedział dokładnie, kto u kogo bywa, gdzie i kiedy wyjeżdża. Częste wyjazdy, duże stosunki zwłaszcza ze szlachtą innych cyrkułów wystarczały, aby dany osobnik znalazł się na liście bardzo podejrzanych, a wówczas, jeśli nie był sujet mixtes, nie dostał paszportu, nie otrzymał listu nieprzeczytanego.¹⁾

Że tajemnica listowa nie istniała, nie było dla nikogo tajemnicą, pocztą się też szlachta przeważnie nie posługiwała, listy wysyłano przez unyślnych posłańców lub przez „okazyę.“ Tej tajnej korespondencyi, bardzo w kraju rozpowszechnionej, rząd nie mógł przeszkodzić. Od czasu do czasu schwytano gdzieś chłopca lub Żyda, niosącego paczkę listów i druków, odbierano je i doznawano srogięgo zawodu, nie było bowiem w nich nic takiego, coby świadczyć mogło o istnieniu jakiegoś spisku lub tajnej organizacyi.²⁾

Dla śledzenia ruchu przejezdnych zaprowadzono na pocztach dzienniki, nikt nie dostał koni, jeśli nie wykazał się potrzebnymi papierami, w razie nasunięcia poczmistrzowi jakichkolwiek podejrzeń, odstawiany był do najbliższego cyrkułu.³⁾ Tak więc i poczta stała na usługach policyi.

Bardzo usilnie starał się rząd mieć dobre i dokładne informacje o działalności władz i nastrojach w Księstwie Warszawskiem. Posiadanie dobrej służby wywiadowczej w Księstwie, wy-

¹⁾ Goess do Brezany i cyrkułów 7 Januar, 19 März, 29 April, 13 Sept. 1810; Goess do cyr. Przemyśl, 27 Decemb. 1810 i 6 Juni 1811; do cyr. Stanisławów, 26 Juli 1810; do cyr. Złoczów, 15 Mai 1811; do cyr. Kołomyja, 24 Aug. 1810 i t. d. (Arch. Nam.).

²⁾ Goess do cyrkułów i policyi, 24 Novemb. 1810; Goess do Brezany, 20 März 1810, 14 Juni 1811; Goess do Grubera w Brodach i Strzechy w Jeziernej 17 Mai, 15 Juni 1810, Goess do cyr. Brzeżany 20 März, do cyr. Żółkiew 24 Novem. 1810; Brezany do Goessa 14 Juni i 29 Octob. 1811; poborca cłowy, Stark, do Landes Pr., Stojanów 17 Febr. 1811 (Arch. Nam.).

³⁾ Brezany do Goessa, 4 Juni 1810; Goess do Brezany, 17 April 1810 (Arch. Nam.).

wierającym tak przemożny wpływ na Galicję, było państwową koniecznością. Dla zbierania potrzebnych wiadomości używano urzędników nadgranicznych, agentów, wysyłanych od czasu do czasu do Warszawy, wreszcie starano się i posiadano tam stałych, płatnych korespondentów.¹⁾

Pierwszorzędne tutaj usługi oddawał Antoni br. Baum, syn nieślubny Sułkowskiego; posiadał on rozległe osobiste stosunki wśród szlachty, szerokie znajomości zwłaszcza w Krakowie, w którym ongi rezydował jako starosta; relacje swe przedstawiał gabinetowi wiedeńskiemu, gubernatorowi posyłał tylko odpisy; był najpoważniejszym źródłem informacyjnym w sprawach warszawskich; chwilami urastał do rozmiarów referenta i pierwszego znawcy kwestyi polskiej; spełniał też wiele zadań agencji dyplomatycznej, której rząd wiedeński nie tworzył w Warszawie w przewidywaniu, że rząd warszawski ustanowi wówczas taką samą agencję we Lwowie.²⁾

Ale, gdy w r. 1812, mimo wszystko Austria będzie zmuszoną wysłać agenta dyplomatycznego do Warszawy, to misję tę bardzo trudną powierzy Baumowi, jego też w czasie kongresu, gdy będą rozstrzygały się losy Księstwa i sprawy polskiej, znajdziemy w Wiedniu.

Na razie siedział Baum w Wieliczce i stąd z zapartym oddechem śledził idące wypadki dziejowe, rodzące się fermenty drugiej wojny o Polskę, rozmierzał natężenie wpływów Księstwa na Galicję i z rosnącym niepokojem patrzył w przyszłość.

Baum nie ograniczał się do dostarczania informacji o wypadkach w Księstwie, niejednokrotnie przekładał wnioski, podawał inicjatywę. Na wniosek jego, w pierwszych zaraz miesiącach r. 1810 podjął rząd starania celem wyłączenia galicyjskiej części z biskupstwa krakowskiego, a to, „żeby biskup Gawroński żadnego szkodliwego wpływu więcej na galicyjskie cyrkule nie wywierał.“³⁾ Punktem zaczepienia był w sprawie tej list pa-

¹⁾ Brezany do Haagera, 21 April 1810; Goess do Haagera 5 i 28 März 1811 (Arch. Nam.).

²⁾ Goess do Bauma, 4 Mai 1810; Baum do Goessa, 27 Mai 1810; Goess do Haagera, 4 Juli 1810 (Arch. Nam.). Goess do Metternicha, 17 Novem. 1810 (Haus, Hof und Staat Archiw we Wiedniu). W sprawie utworzenia agencji w Warszawie por. Goess do Metternicha, 8 Octob. 1810 H., H. und St. Arch.). Haager do Goessa, 4 Novemb. 1810 (Arch. Nam.).

³⁾ Baum do Haagera, Wieliczka 19 März 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

sterski Gawrońskiego, polecający modły dziękczynne z powodu przyłączenia Galicyi Zachodniej do Księstwa; list ten wprawdzie, jak naczelnicy cyrkułów tu interesowanych stwierdzili, w Galicyi czytany z kazalnicy nie był, ale mimo to posłużył rządowi jako znakomity pozór do usunięcia walnego czynnika wpływu Księstwa na kraj, jakim była przynależność trzech jego cyrkułów do biskupstwa krakowskiego. Austria podjęła w sprawie tej usilne starania u kurji papieskiej, zanim jednak ta ostatnia miała czas i możność uczynić zadość życzeniu gabinetu wiedeńskiego, rząd zmusił biskupa Gawrońskiego przez uniemożliwienie mu sprawowania władzy swej w Galicyi do tymczasowego powierzenia rządów biskupich w galicyjskiej części swej dyciezyi metropolie lwowskiemu. Układy w sprawie tej prowadził na rozkaz gubernium Kicki, ciągnęły się one rok, przez cały ten czas galicyjska część krakowskiego biskupstwa stała bezrządem. W pierwszych wreszcie dniach grudnia uczynił Gawroński zadość życzeniu Kickiego i rządu; na zlecenie Goessa z trzech galicyjskich cyrkułów utworzył Kicki odrębny wikaryat, wikaryuszem zaś, na żądanie Goessa, mianował proboszcza w Sączu Bayera, znanego popiecznika biurokracyi, powszechnie w kraju, jako kreatura rządu, nieawidzonego.¹⁾

Rząd austriacki, jak mógł, łamał wpływy Księstwa w Galicyi. A więc nadewszystko utrudniał styczność osobistą mieszkańców obu krajów, pobyt oficerów w Galicyi i udział „Galicyan“ w służbie wojskowej i cywilnej Księstwa. Wszystkie te jednak starania rozbiły się zwłaszcza o licznych *sujets mixtes*, o drugi ustęp X artykułu traktatu wiedeńskiego.

Daremne były wszystkie żalose raporty Goessa, nieustanne skargi na zuchwałość bawiących w kraju oficerów warszawskich, na wyzywające, pełne lekceważenia zachowywanie się ich wobec armii i władz austriackich.²⁾ Nic nie pomogły, bo pomódz nie mogły długie elaboraty ślone do Wiednia, w których szczegółowo gubernium lwowskie wykazywało, że oficerowie Księstwa podszy-

¹⁾ Ugarte do Goessa, Wien 25 Januar, 15 März, 7 Juni 1810 (Arch. Nam.). Goess do Ugarte 23 Febr., 21 April 1810; do cyr. Myślenice 18 März, do Gawrońskiego 28 Juni 1810; Goess do Kickiego 28 Juni, 22 Juli, 26 Aug., 9 Sept., 10 i 17 Decem. 1810 (Arch. Nam.).

²⁾ Goess do Haagera, 15 März 1810; Haager do Wurmsera, Wien 27 Febr. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, Wien 31 Aug. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

cają nienawiść do Austrii, potęgują ruch niepodległościowy, obniżają autorytet rządu i państwa wobec ludności. Wszystkie propozycje Goessa zarządzenia opłakanemu przez naczelników cyrkułu i policję stanowi rzeczy — nie zostały przyjęte.¹⁾ Pozostawały środki policyjne, drobne szykany; używano też ich w całej rozciągłości.

Udzielał więc rząd paszportów *sujets mixtes* na każde żądanie, ale za najdrobniejsze przekroczenie, przy pierwszej sposobności z kraju ich wydalał; musiał pozwalać na pobyt w Galicyi oficerom Księstwa, którzy byli tylko poddanymi warszawskimi, ale czynił to w ostatecznej konieczności, gdy nie było już pozoru dla odmówienia lub dalszej zwłoki.²⁾

Skutkiem tego oficerowie i obywatele warszawscy przybywali do Galicyi często bardzo bez paszportów, przejeżdżając bez trudności źle strzeżoną granicę. Rząd, by temu przeszkodzić, robił co mógł; straży cłowej i granicznej, naczelnikom cyrkułów i dyrekcji policji surowo nakazywał, żeby natychmiast chwyciły i wydalały z kraju oficerów, nie mogących się wykazać odpowiednimi paszportami, na dwory, udzielające im gościny, nakładał wysokie kary pieniężne, do władz wojskowych Księstwa wnosił zażalenia.³⁾

Nie mógł też rząd zakazać noszenia w Galicyi mundurów warszawskich, chociaż mundury te, zdaniem Goessa, wywierały bardzo szkodliwy wpływ na ludność. Ukochanie Księstwa przez mieszkańców Galicyi ujawniało się rzeczywiście jaskrawie w ogromnej popularności jego mundurów, droga do serca pięknej „Galicyanki“ wiodła najpewniej przez szlify i ostrogi żołnierzy księcia Józefa; chodzili też w Galicyi w mundurach wojsk warszawskich nie tylko czynni i byli ich oficerowie, ale także osoby, które w szeregach polskich nigdy nie służyły. Gubernium, nie mogąc zabronić noszenia mundurów armii Księstwa czynnym jej członkom i *sujets mixtes*, zakazało chodzić w nich tym, którym mogło,

¹⁾ Goess do Haagera 31 Mai, 10 Juli 1810; do Ugarte 24 Novemb. 29 Decemb. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, Wien 14 Novemb. 1810 (Arch. Minist. des Innern). Haager do Metternicha, Wien 11 Octob. 1810 (H., H. und St. Arch.).

²⁾ Goess do General. Komendy 25 Mai, do cyrkułów 10 Juni, 25 Sept. 1810; Goess do Brezany 3 April i 10 Juni; do Haagera 6 Juni 1810; Haager do Goessa 24 Septem., Reuss do Goessa 3 Mai 1810 (Arch. Nam.).

³⁾ Goess do Brezany 8 Mai, 30 Juni 1810; do cyrkułów 9 März 1810 (Arch. Nam.).

a więc wyłącznym poddanym austriackim, którzy nie służyli w wojsku warszawskim w chwili bieżącej.¹⁾

Nie mniej zażartą walkę prowadził rząd z zalewającą kraj broszurą i gazetą warszawską. Na zapytanie Haagera, czem tłumaczyć należy brak zupełny próśb z Galicyi o pozwolenie czytania gazet warszawskich, odpowiedział Goess—ogromną łatwością dostania ich w kraju, równocześnie zaś zapewnił, że najlepsza straż graniczna w Galicyi nie przeszkodzi, aby książki i pisma nie były do niej przemycane.²⁾

Rząd polecił straży granicznej jak najdokładniejsze rewidowanie przejezdnych, cyrkułom chwytywanie posłańców, którzy przewozili druki i listy od dworu do dworu, z cyrkułu do cyrkułu i pociąganie wysyłających do surowej odpowiedzialności. W skuteczność owych nakazów i zarządzeń nikt zresztą nie wierzył, ani ci, którzy je wydawali, ani ci, którym je przyszło wypełniać.³⁾

Równie bezowocne były starania podjęte przez gabinet wiedeński, ażeby przeszkodzić wydawaniu i rozsprzedaży broszur o tendencyach wrogich dla Austrii w Księstwie. Wprawdzie interwencya dyplomatyczna w Dreźnie i Paryżu powiodła się i władze warszawskie nakazały przeprowadzić po księgarniach rewizyę i zniszczyć nakłady znalezionych pamfletów na zaprzyjaźnione mocarstwo, ale w tem sęk, że ani jednego egzemplarza poszukiwanych broszur nie znaleziono.⁴⁾

Może najskuteczniejszym jeszcze środkiem walki rządu z prasą warszawską i jej wpływami w kraju była od marca r. 1811 w tym celu wydawana przez koncepcistę guber. Krattera, typowego gadzinowego dziennikarza, „Gazeta Lwowska,“ która redagowana była bardzo sprytnie, nie przeciwstawiała się nigdy wprost

¹⁾ Goess do Haagera, 10 Juli 1810; do cyrkułów, policji i Gener. Komendy 25 Septem. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Goessa, Wien 13 Sept. 1810 (Arch. Minist. des Innern.).

²⁾ Haager do Goessa 28 Aug. 1810; Goess do Haagera 12 Septem. 1810 (Arch. Nam.).

³⁾ Goess do cyrkułów i policji 2 Mai, 5 Juli 1810 (Arch. Nam.); Haager do Goessa 7 Mai 1810 (Arch. Nam.).

⁴⁾ Baum do Haagera, Wieliczka 26 Juni 1810 (Arch. Minist. des Innern.). Haager do Metternicha, 5 Juli 1810; Ugarte do Haagera, Wien 26 Juli 1810 (H., H. und Staat Arch.). Baum do Goessa, Wieliczka 14 Aug. 1810 (Arch. Nam.). Haager do Metterraicha, Wien 25 Febr. 1810 (H., H. und Staat Arch.).

nastrojom społeczeństwa, nie drażniła jego uczuć, przeciwnie, do nich się dostrajała.

Starali się o to, aby „Gazeta Lwowska“ czytelnika niczem nie raziła i redaktor jej, któremu zależało bardzo na jej finansowem powodzeniu i Goess, który pragnął, aby była jak najbardziej poczytną i jak największem cieszyła się wśród ludności polskiej zaufaniem.¹⁾

WACŁAW MEJBAUM.

¹⁾ Haager do Goessa 23 April 1810; Goess do Haagera 22 Mai 1810 i 4 Januar 1811; do Brezany 7 Juli 1810; Brezany do Goessa 18 Mai 1810, podanie Krattéra (Arch. Nam. 4⁵/₆ 1811); Haager do Goessa 2 Febr. 1811 (Arch. Nam.).

FRYDERYK CHOPIN.

To był cud jeden, który przypominał
Duchowi memu niewidzialne rzeczy...

„Król Duch,” *Rapsod IV, pieśń I.*

Przenośnie poetyckie, choćby najsubtelniej pomyślane, wytłómaczenia racjonalistyczne i najsumienniejsze przeprowadzone analizy techniczne, łączą nas ze sztuką Chopina słabemi niemi, rwącemi się za pierwszym uderzeniem serca, kiedy weń wpadnie, jak własnej jego krwi kropla, jeden takt muzyki Chopina. Sztuka Chopina przynosi nam dźwięczącą realizację wszystkich afektów, wszystkich błąkających się w duszy idei, które w pojęciach słownych nie znajdują swej treści, drogą zmysłu oddaje naszej jaźni to, czego ona wyrazić nie mogła... Muzyka jego była odwiecznym postulatem człowieczeństwa, nie samej historii, poza której nawiasem Chopin stanął, niczem niemal przez nią do wielkiej swej misji nie przygotowany, bez prorocstwa, bez nauczycieli, samorodny, genialny. Duch jego ogarnął oba bieguny rozwoju muzyki: w zamierzchłej przeszłości, z mroków świątyń snuł przedsięwzięcie natchnienia w niejednym dziele, współczesność jego — to on sam — przyszłych po nim epok stał się najśmielszym prognozem. Jeśli wiedziony uczuciem narodowym tworzył, był czwartym naszym wieszczem, historyzofem tryumfów i klęsk narodu, dramaturgiem wielkich momentów dziejowych, lirycznym poetą, nastrojonym na ton pejzażu naszych pól, łąk i lasów, epikiem tej części narodu, która z nadzieją niesie naszą „arkę przymierza.“

Kult Chopina, mający u nas powody wyjątkowe, byłby w świecie całym mniejszym od tego, jaki w istocie istnieje, gdyby sztuka jego była *in extenso* specyficznie narodową. Chopin

nie przestał być w polonezach i mazurkach „wszechludzkim,“ we wszystkich innych kompozycjach jest nim więc tem bardziej. Artystyczny stopień jego muzyki tak wysoki, że najlepszą syntetyczną definicyą jej będzie—najśmielsze ze wszystkich—porównanie z obrazem Monny Lisy Giocondy. Współgenialność łączy portret z tą muzyką, uśmiechniętą tajemniczo i boleśnie, jak twarz, którą malował Leonardo. Porównanie istotnie najodważniejsze; dla *Jamesa Hunekera* miało ono znaczenie poetyckiego dopowiedzenia przy analizie ballady *f-moll*, dla nas nabiera wartości wyższej i ogólnej. W muzyce Chopina zauważamy to Leonardowskie dążenie do stworzenia typu, w którym płci zlewają się w aliaż, mający cechy zarówno męskie, jak kobiece. Tak wygląda twarz św. Jana Leonarda, ślady tego dążenia wykazuje nawet Lisa Gioconda. W sztukach plastycznych była idea Leonarda odwróceniem przykładów natury, która nie zdobyła się na typ, odpowiadający abstrakcyjnemu pomysłowi wielkiego geniusza Odrodzenia. Muzyka jedynie przedstawia pole odpowiednie do przeprowadzenia idei tej przy pomocy elementów analogicznych. W epoce Odrodzenia, w czasach niezupełnie uświadomionych fenomenów harmoniczných, nie możemy szukać przykładów takich. W latach klasycyzmu i romantyzmu przeciwstawiano partyom *maioro* ustępy *minoro*, dwupłciowość więc istniała w harmonii, mając rysy wybitne. Chopin ideę zjednoczenia spełnił w sposób genialny; w zdaniach poświęconych harmonii jego kompozycyj zajmieny się tematem tym obszerniej.

Muzyka Chopina stwarza w nas stany czystego liryzmu, zarówno jak rojenia malarskie pełne poetyczności. Dalekie od wszelkiego założenia programowego, nie narzucając słuchaczowi niemuzycznych pierwiastków *à priori*, są kompozycje Chopina zarodkiem programu ściśle uczuciowego, który ukształtowanie się zależy od stopnia możliwości współtworzenia z ideą — natchnieniem kompozytora. Różnorodność tematów poetyczno-malarskich w dziełach Chopina jest tak wielka, że zamknąć je można w granicach wyznaczonych nazwiskami: Słowackiego, Byrona, Musseta, Mickiewicza, Corota, Watteau'a, Turnera, Segantini'ego.

Najczulszy ze wszystkich poetów zdobywał się Chopin na efekty tytanicznej wprost siły, na momenty tragicznej grozy i namaszczenia majestatycznego. Do uświadomienia ogólnego, że w sztuce Chopina momenty takie znajdujemy w wielkiej ilości, do usunięcia przesądu, że muzyka jego była tworzona dla umysłów niewieścich, pomóż nam mogą słowa Roberta Schumanna: „kompozycje Chopina—to wśród kwiatów ukryte armaty.“ Wy-

buchy siły w kompozycjach Chopina nie mają w sobie elementarnej, kinetycznej potęgi, lub brutalności silnej muskulatury — są raczej aktami woli w najwyższym napięciu, emanacjami twórczego ducha. Oderwane od materialnych warunków, idealnie pojęte fragmenty takie z dzieł Chopina mają w sobie najwyższą dostojność artystyczną, rysują się łukiem dumnym jak tęcza, myśl pnie się w nich ku zenitowi świata. Takim, dla przykładu, jest tęczowy pomost akordów zawieszonych na długiej nucie pedałowej w *Scherzu cis-moll*.

Podobnie—jak w tym właśnie kierunku—wymagają korekty pojęcia ogółu o zmyśle formalnym Chopina, znacznego zaś pogłębienia i naukowych wskazówek zapatrywania na harmoniczną stronę jego kompozycji.

Chopin, jak każdy prawdziwy geniusz, stworzył w sztuce swojej karmę duchową nie tylko dla ciasnych kół wybrednych smakoszków i poważnych specjalistów, ale dla wszystkich, co mają serce i umieją w nie patrzeć. Dzieła jego są źródłem najgłębszych zachwyków nawet wśród ludzi niemuzycznych z natury, lub takich, którzy nie znając żadnych kryteriów muzycznego arcyzmu, intuicyjnie cenią je nadewszystko. Gruntownie wykształcony muzyk znajduje w kompozycjach Chopina takie mnóstwo motywów harmoniczných i elementów wyrazu muzycznego, skłaniających go do wyczerpującej analizy, że cała sztuka jego przedstawia się mu jako jeden wielki problem. Chopin był nauczycielem harmonii całego XIX wieku. Kto szedł naprzód w swej twórczości, ten na muzyce jego musiał się oprzeć, dalej zaś dojść nie mógł, jeśli był wyznawcą tych samych pojęć o pięknie w muzyce, które głosiły kompozycje Chopina. Liszt i Wagner są epigonami harmoniki Chopina, do skarbu przez niego stworzonych modulacyj i dyssonansów nie dodali wiele. Obaj utrzymali tonalność swoich dzieł w ramach wyznaczonych przez Chopina. Ponad jego chromatykę nie wysubtelnili wyrazu muzycznego, w pomyślach akordowych mieli w dziełach Chopina najbogatsze przykłady. Wystarczy wspomnieć, że harmoniczny obraz muzyki w „Trystanie i Izoldzie,” w dramacie więc, oznaczającym kulminacyjny punkt twórczości Wagnera, znajdujemy wyraziście zarysowany w młodzieńczej, dziecinnej prawie sonacie *c-moll* op. 4 Chopina, wydanej dopiero po śmierci kompozytora, gdyż nie uważał jej za utwór dojrzały. W ustępach, gdzie Wagner nie pokazuje swojej germańskiej twarzy, napotykamy liczne reminiscencye z Chopinem, które świadczą o pokrewieństwie w sposobie wyrażania się obu genialnych kompozytorów. Wagner znał muzykę Chopina

dobrze, choć o nim w pismach swoich tak rzadko wspomina. Poznał ją zaś w smutnej epoce swego życia, w latach paryskich 1839 — 1840. Berlioz, Liszt i Chopin, których nazwiska kreśliła nerwowa ręka Wagnera na kartce ze spisem osób w „Rienzim,” byli mu przewodnimi duchami w sztuce, Liszt opiekunem w życiu. Trudno wytłómaczyć sobie, dlaczego sztuka Wagnera natrącała na tak zaciekły spór u ludzi, którzy przyjęli już Chopina na własność duchową? Dlaczego razita ich tonalność muzyki Wagnera tak bliska tonalności Chopina?

Pierwszym, który na zjawiskowe znaczenie Chopina dla harmonii, z punktu teoretycznego widzenia, zwrócił baczniejszą uwagę, był hrabia *F. P. Laurencin* w wydanej w r. 1861 broszurze p. t. *Die harmonik der Neuzeit*. Laurencin wyznaczył Chopinowi wybitne miejsce w historii umysłowości, dopatrując się w sztuce jego muzycznej odpowiedzi na filozoficzny system Hegla... Kwintesencją zapatrywań Laurencina na muzykę Chopina są następujące zdania: „Chopin jest w tworzeniu zwięzłych form jednym z najwybitniejszych umysłów wszystkich czasów. Cały człowiek tonów — jest jedną z najgenialniejszych natur wyjątkowych, jakie w historii i życiu tonów zjawily się kiedykolwiek.” Indywidualne cechy harmoniki Chopina określa Laurencin, patrzący dość sceptycznie na muzykę swoich czasów i nawet dość negatywnie ujmujący przedmiot swoich uwag, słowami: „o tak zwanych opóźnieniach albo cofniętych następstwach akordów, o zwodniczych krokach, o długo wytrzymanych, przeważnie nawet nieprzygotowanych postęпах dyssonansowych nie można mówić u Chopina wyjątkowo, ale jako o regule. Rozwiązania tych węzłów są, wbrew oczekiwaniu, albo długo ciągnącym się punktem organowym, z piętrzącym się nad nim wałem uprzedzeń, synkop, opóźnień, ruchów wstecznych, lub jakkolwiek inaczej mogą się nazywać te ciężkie westchnienia i krwią zalane łyzy duszy, ciągle podniecone, albo jest trójdźwiękiem *par dépit*.” Ostatecznie konkluduje Laurencin: „Chopin jest — że użyję tego wyrażenia — nieprzerwanem, brzmiałem *inganno*. Jest jednym z tych, którzy nie mogą się nigdy wyczerpać i opróżnić. Jego muza jest najszersza i zarazem najbardziej samorodna, jaka kiedykolwiek nastąpiła się do artystycznego badania. Chopin jest muzycznym progonem wszystkich dotychczasowych progonów.”

Chopin, stawszy się wychowawcą młodszego pokolenia bezpośrednio przez swoje kompozycje, przodując ciągle w rozwoju muzyki niedoścignionem bogactwem pomysłów, późno przeszedł do podręczników nauki harmonii. Dopiero w latach ostatnich

zwrócono się do dzieł jego, jako do źródła wiedzy teoretycznej i idealnych przykładów. W znanej książce *Johannesa Schreyera* „*Von Bach bis Wagner*“ poświęcone są całe rozdziały harmonice Chopina; zawiłe modulacyjnie miejsca poddano wyczerpującej analizie. Praktyczny, znakomicie opracowany podręcznik harmonii *Louisa i Thuille'go* cytuje przykłady z dzieł Chopina we wszystkich etapach nauki, wyzyskując je w sposób racjonalny szczególnie w lekcjach końcowych. Dziesiątki najciekawszych harmonicznie momentów z muzyki Chopina znalazły się w rozprawie p. t. *Neue musikalische Theorien und Phantasien* (autor kryje się pod anonimem „jednego z artystów“). Niemniej także zajmują się ostatnie monografie o Chopinie w sposób bardziej wyczerpujący harmoniczną stroną jego dzieł, niż prace dawniejsze. Na pierwszym miejscu w tym kierunku stoi monografia *H. Leichtentritta*, pisana z gorącym uwielbieniem muzyki Chopina i naukowo — lubo przystępnie — traktowana. *Leichtentritt* nie zaniedbał żadnej sposobności, aby wykazać całą, szeroką sieć wpływów Chopina, podkreślając szczególnie podobieństwa z Wagnerem. *Hugo Riemann* zaznaczył w swojej „Historii muzyki XIX-go wieku“ w kilku bodaj przytoczonych taktach zadziwiającą oryginalność harmonicznym pomysłów Chopina. *Niechts*, jak wiadomo, nie zamieścił w monografii swojej ani jednego przykładu muzycznego, przez co pozbawił ją do reszty naukowego charakteru. *Huneker* harmonicznej strony w pięknej swojej książce o Chopinie nie wyczerpał. W naszej zaś literaturze brak dziś jeszcze monografii, któraby przedstawiła Chopina w świetle prawdziwie naukowego badania.

Kategoryczną niemal potrzebą jest rozprawa taka, a zniewała do niej ten, w przeciwieństwie do zwykłego porządku rzeczy stojący, fakt, że wpływ Chopina z dnia na dzień rośnie. Po Griegu, który głośno przyznawał się do tego, że Chopin nauczył go być narodowym, po Massenecie i Saint-Saënsie, weszła pod dominujący wpływ Chopina muzyka młodych Rosyan. Rymskij-Korsakow, Czajkowski, Areński, Skrjabin, Ljadow i Rachmaninow — oto szereg niewątpliwych epigonów jego sztuki. Nierzadko spełnia się i przepowiednia pani *George Sand*, że: „nadejdzie czas, kiedy dzieła Chopina będą instrumentowali“ — bo zaczarowany w dźwiękach fortepianu koloryt orkiestralny jego kompozycji niepokoi i zniewała do zrealizowania tego, co tak barwnie w wyobraźni się tworzy. *Suita* Głazunowa miała inspirację artystyczną, *Orefice'go* osławiona opera może w uczuciu pietyzmu powstała, niech więc ono rozgrzeszy w naszych oczach jej twórcę.

Nareszcie i do rodzinnego kraju zajrzało światło jego geniuszu, wskazując drogę dalszego rozwoju. Pokolenie, które muzykę Chopina przyjęło niemal z własnych jego rąk, kochając ją i wielbiąc, nie leciało w kompozytorskich swoich natchnieniach farysowymi jego szlakami. Może brakło sił w talentach naszych pseudoklasyków i wątplych romantyków, aby do wyżyn jego dzieł dotrzeć, a za to winić ich nie można; czuć jednak można żal do nich, że tych, których wprowadzali w świat, jako kierownicy ich wykształcenia muzycznego, odwracali od zbawczego wpływu Chopina, skierowując zaś na tory akademizmu, kładli tem samem ciężki hamulec na leniwie toczące się koło naszego życia muzycznego. Nie tu miejsce na traktat o pierwiastkach polskości w muzyce; w pojęciach melomanów naszych głęboko zakorzeniły się błędy w tej sprawie, stając się wytyczną żądań, aby młoda muzyka polska miała znamiona im odpowiednie. Polskość jej byłaby wtedy urojona, stopień artystyczny równałby się aspiracyom dość prymitywnym. Nowa epoka w historii muzyki polskiej, której przoduje duch Chopina, zaczyna się z fortepianowemi kompozytami Paderewskiego. Do tego—Chopinowskiego przez ideały przewodnie — kierunku należy: Melcer, w części Stojowski, ś. p. Karłowicz, Różycki i Szymanowski.

Nawet to, co w dzisiejszej muzyce uchodzi za ostatni wyraz rewolucyjnych dążeń i rozpostarte do cech manierycznych daje surogat sztuki R. Straussa, znajdziemy w embryonalnym niejako stanie w muzyce Chopina. Wspomnę tylko te dziwne w swoich dysonansach takty 34 — 36 pierwszej części koncertu *f-moll* (od wejścia fortepianu). A miejsc takich, podobnie śmiało skonstruowanych, wiele się kryje pośród tej najświetniejszej galeryi pomysłów harmonicznyc. Niemniej jak kombinacyom dyssonansowym, przygotował Chopin pole nowoczesnym środkiem wyrazu muzycznego, tłumaczącym — zdaje się bez reszty — różnorodne stany psychiczne. Ekspulsywne, strzeliste frazy płomiennych zachwyków, żarliwych namiętności — nieznanne były muzyce przed Chopinem. On je stworzył w formach nieprzekraczalnie doskonałych. Przegrajmy z Polonezu-fantazyi op. 61 takty 38 — 40 przed końcem kompozycyi i porównajmy je bodaj ze sceną Chryzotemidy w „Elektrze“ Straussa, a przekonamy się, w jak wysokim stopniu przypomina scena ta wspomniane takty. Weźmy choćby ostatnie preludyum (op. 45 *cis-moll*), w którym, jak wąż, ciągnie się smuga najtkliwszych pomysłów melodyjno-modulacyjnych; każdy atom jej odnajdziemy w najbardziej podziwianych modulacyach Straussa.

Debussy i jego egzotycznie brzmiąca harmonika ma w Chopinie swojego proroka w niejednej kompozycji. Identyczne niemal sposoby harmonizacji spotykamy już w młodzieńczej kompozycji „Wielka fantazyja na melodyach narodowych pieśni polskich“ op. 13, gdzie na nucie pedałowej *cis* rozwinął Chopin tak dalekie od założenia tonalnego barwy.

Krótko mówiąc, przedstawia muzyka Chopina w granicach systemu dyatoniczno-chromatycznego wszystkie zjawiska melodyjne i harmoniczne, jakie tylko dadzą się pomyśleć.

Od czasów Matthesona wesoło pogrzebane tony kościelne nie zjawiają się w muzyce XVIII wieku w symfonii lub operze. Chopin wskrzesza twardą ich dyatonikę. Obok wysubtelnionych zwrotów chromatycznych wydają się one jak echa zamartwych stuleci. Nieporównanie wielka intuicyja Chopina pozwoliła mu dokonać tego, czego falanga uczonych nadaremnie starałaby się wprowadzić w świat życia. Hugo Riemann pomieścił w jednym z tomików swoich: *Praeludien und Studien* artykuł p. t. *Über einige seltsame Noten bei Brahms und Andern*, zajmując się w nim specjalnie „kościelnem“ przejściem harmonicznem w temacie *andantina* symfonii *e-moll* Brahmsa. Znakomity uczoney zapomniał, że w kompozycjach Chopina znajdujemy przejścia, należące teoretycznie do tonalności kościelnej w wielkiej ilości i najrozmaitszych formach, np. w polonezach (w pierwszym) lub mazurkach. Oto nowy dowód niesłychanego bogactwa materiału harmonicznego, którym operował Chopin.

Od dyatoniki kościelnej rozciągał się zmysł harmoniczny Chopina aż do sfery *enharmonii*. Najdelikatniejsze powiewy melodyjne, jakie można z instrumentu wydobyć, te ledwie pod kontrolę zmysłu podpadające, minimalne różnice w natężeniu jakiejś barwy, osiąga Chopin za pomocą środków natury enharmonicznej. Jako jeden z typowych przykładów enharmonii Chopina cytuję takt 9 nokturnu *H-dur* (op. 9 nr. 3). Figura piątkowa przewija się przez interwały najczulej pomyślane, jak błysk błędnego ognika (*dis-f-e-cisis-dis; d-e-dis-cis-d*). Przy pomocy enharmonicznie wyglądających figur umiał Chopin nadać jakiemuś utworowi zupełnie odrębny koloryt, niekiedy jakby orientalny charakter. Momenty takie znajdujemy w mazurku *a-moll* nr. 13, które niemal usprawiedliwiają przydomek tego utworu.

Takiej subtelności w pomysłach muzycznych, kojarzącej się z tą przedziwną świetnością stylu i architektoniki, nie miał w przybliżeniu nawet żaden kompozytor. Obok miliardowego istic bogactwa harmonii w kompozycjach Chopina, w równym stopniu

wielkiem jest bogactwo pomysłów figuracyjnych, równie wielka moc malarsko-muzycznych pierwiastków. Warto przytoczyć piękne słowa R. M. Breithaupta: „Stinks fortepianu znalazł w Chopinie swego tłumacza. W granicach jednego instrumentu nie pomyslano nigdy nic większego, z dźwięków nie wysnuto nic bardziej czarownego... Ulotne arabeski podobne są do perł rosy w kielichach czarnych aksamitnych róż. Jego skale i pasaże są wyrazem nastrojów i często mają w sobie wielkość i śmiałość. Tak samo elementami nastroju są fioritury; przedstawiają one przeważnie istotną, głęboką wartość melodyjną. Ale główny urok jego stylu tkwi w niezmiernej sile i oryginalnie ukształtowanej rytmice.“ Materyalny fakt, że Muzyka Chopina pisana była dla fortepianu, nie wpływa na wielkość jego koncepcyj muzycznych obniżająco. Fortepian był dla niego *mikrokosmem* świata tonów, jego sztuka stała się życiodajnem słońcem „muzyki przyszłości.“ Pomysły Chopina z naturą instrumentu tak nieporównanie zestrojone, jak żadne inne w wyższym stopniu, tak do dna wyczerpujące wszystkie środki techniki fortepianu, że dalej nie mógł już dojść żaden kompozytor, mają swoje *czysto muzyczne* walory w stopniu wyższym jeszcze. Przez dzieła Chopina wzbogaca się melodyka i figuracja muzyki instrumentalnej wogóle o wszystkie te formy, które on stworzył. Charakter konturów melodyjnych Mozarta i Haydna, Beethovena, Webera i Schuberta, formy akompaniamentu w muzyce monodycznej były z gruntu odmienne niż u Chopina. Twórcy etud jak Clementi, Cramer lub Czerny narzeczcie Hummel, który wirtuozyjny styl fortepianowy przed Chopinem najpełniej wyzyskał, nie zdołali snuć pomysłów, w ujęciu fortepianowem tak elastycznych i świetnych. Styl fortepianowy Chopina przypomina nam najrozmaitsze materiały, z których plastyk korzysta: obok dostojnego złomu marmuru, lekka girlanda złota, jaskrawa mozaika nęci na chwilę, mieniąca się białość perły sennie nastroja, lub budzi blask brylantu... czujemy śliskie jedwabie, muskamy ręką po miękkich aksamitach. A wszystko nie w nieładzie, lub bez smaku porzucone czy sklecone, lecz najbardziej jednolite, lub najharmonijniej skombinowane. *Etudy* Chopina, ta prawdziwa ewangelia muzyki fortepianowej, niejako idealna synteza jego stylu i techniki, zdobyły sobie jedno, wspólne wszystkim, zapatrywanie: że one jedne wystarczyłyby na nieśmiertelność ich twórcy. Jedyne i zgoła niepowtórzone jest w nich zbratanie się najszczytniejszych problemów technicznych z poetycznością inspiracji, nastrojoną na ton niedościgły. Niemniej od Preludyów, Nokturnów, Ballad i Scherz wynosi się

z *Etud* nastroje liryczne o przenikającej mocy; tak znaczne kontrasty w nich uderzają, że kiedy z jednych lecą kaskady śmiechu i jakby połyski kryształów, drugie jęczą w rozpaczem cierpieniu lub grzmią potęgą buntu, inne—np. etuda *es-moll*—zdają się szeptać cudne słowa Michała Anioła, napisane o postaci nocy z grobów Medyceuszów:

Non veder, non sentir m'e gran ventura
Però non mi destar; deh! parla basso!

Paradoksalny na pozór, ale tyle słuszności kryjący w sobie aforyzm *Oskara Wildego*, że przeważna ilość dzieł—w różnych formach—powstała jedynie z powodu istnienia odpowiednich form, traci w stosunku do Chopina niemal zupełnie rację bytu. Do form klasyków wiedeńskich, sonaty lub rondo, uciekał się Chopin rzadko, wszystkie zaś kompozycje jego utrzymane w formie sonaty spotykały się przeważnie z zarzutem, że nie odpowiadała ona indywidualności Chopina, który nie umiał nagiąć się do reguły wysnutej z tyłu dzieł Haydna, Mozarta, Beethovena oraz ich epigonów. O ile słusznymi mogły być zdania, że sama struktura pierwszych części sonat Chopina nie zawsze odpowiada schematowi klasycznemu, o tyle dziwią uwagi, że sonaty jego powinny się nazywać raczej „kaprysmi,“ bo pod wspólną firmą „łączył Chopin właśnie czworo z jego najbardziej szalonych dzieci“—jak pisał Schumann. Dziwią nas one istotnie, bo zadaniem kompozytora w sonacie, w części pierwszej, jest przeprowadzenie logicznego rozwoju dwóch myśli tematycznych, wyzyskanie tkwiących w nich kontrastów uczuciowych i formalnych; w cyklu zaś czterech ustępów sonaty rozwinięcie jakiejś idei poetycznej, nie objawiającej się koniecznie w temacie wspólnym. Chopin, jak my to dziś silnie czujemy, był w sonatach prawdziwym poetą dramatycznym; w ustępach sonaty *b-moll* lub *h-moll* obserwujemy jedną nić myśli, rysuje się przed nami jakaś abstrakcyjna akcja uczuć, której poszczególne fazy przedstawiają dla nas żelazną konsekwencję. Biegowi tej muzyki poddajemy się, jakby kierował nami jakiś rozkaz tajemny, jakby współczucie dla bohatera—idei kazało nam identyfikować się z jego jaźnią, pałać jego namiętnościami i uleść z jego upadkiem.

W genjuszu Chopina dość było pewnie zasobów do uzyskania szkolarskiej poprawności w formie, lub pisania znakomitych bodaj fug. Nie robił tego wiedziony wyższymi ambicyjami, lekceważąc przesady, zdolny do tworzenia bez przykładów dzieła naj-

doskonalsze. W kompozycjach Chopina jest forma identyczna z treścią muzyczną. Wyłączyć jedno pojęcie z drugiego niepodobna. Nie patrząc na żmudny proces powstawania dzieł Chopina, podziwiamy ich improwizacyjną lekkość w koncepcji i idealną symetryczność w układzie. Jednym z najdoskonalej szlifowanych brylantów sztuki Chopina jest nokturn 12. *G-dur*, prototyp najwyższych pojęć formalnych. Zjawiska formalne obserwujemy tu zarówno w rozwoju tematycznym, jak też w rozwoju wewnątrznie muzycznym, mianowicie harmonicznym. W obu kierunkach nieporównana doskonałość, która, łącznie z nieokreślonym czarem obu pomysłów tematycznych tego nokturnu, daje jedno z najdrogocenniejszych *sui generis* objawień nowoczesnej muzyki.

Te formy, które Chopin pierwszy wprowadził do literatury fortepianowej były niejednokrotnie podstawą całych nowych kierunków nawet w muzyce symfonicznej. *Ballady* Chopina, wzbudzające w duszy każdego wrażliwego słuchacza programy poetyczne, są właściwą podstawą Lisztowskiego „poematu symfonicznego.“ Chopin był zbyt skromnym, nadając im ten tylko tytuł zamiast „powieści muzycznych,“ na który dzięki swej romantycznej treści zasługiwały. Rapsodyczna forma nie została nigdzie wyzyskana w sposób tak mistrzowski i tak świetny, jak w balladach Chopina. I znowuż specjalnie o nich myśląc, stawia je każdy na szczytach muzyki fortepianowej, na szczytach muzyki wogóle. Wyróżnia je lakoniczność, na jaką—przy wypowiedaniu tyle mówiącej treści—mało z największych kompozytorów umiało się zdobyć. Chopin, nie zajmując się psychologią, znał naturę ludzką dobrze i wiedział, że wrażenia najsilniejsze długo trwać nie mogą. Zając umysł słuchacza od początku, podnosić stopień zaciekawienia ku najwyższemu napięciu współtwórczej uwagi, jednym słowem porwać, lecz pozostawić go nieznudzonym, świeżym, żadnym drugiego wrażenia takiego—pragnął kompozycjami (o ile jedna idea muzyczna była ich osią) zwięzłymi, świetnymi. Ballada *As-dur* jest wymarzoną przykładem podnoszenia się wyrazu muzycznego zarówno pod względem treści, jak dynamiki do miejsca, w którym po dłuższem gromadzeniu się potęgi następuje spontaniczne przesilenie jej, elementarny wybuch. Na podobne potęgowanie wyrazu na tak krótkiej przestrzeni, na takie pocięcie się pionowo w górę nie zdobył się — *mutatis mutandis* — nawet Beethoven, który niekiedy kilkakrotnie kończy dzieło, zanim je skończy naprawdę.

Oto obok polonezów i tylu fragmentów z różnych dzieł: Chopin rycerski, wielki wielkością pomysłów i siłą przeprowadzenia ich. Zapomnieć o tem, przeoczyć to, patrząc na całą twórczość Chopina, byłoby tak niezrozumiałem, jak patrząc na najpiękniejsze popiersie kobiety *Verrocchia* w *Bargello* lub na studzienkę w *Palazzo vecchio* zapomnieć o wielkim i groźnym *Colleonim*.

Od sztuki Chopina zaczyna się w muzyce wysubtelnione pojęcie kolorytu. W dziełach klasyków jest nam zupełnie obojętnem w jakiej *tonacyi* są utrzymane. Arya Tamina z Fletu czarodziejskiego, którykolwiek ustęp z symfonii Oxfordzkiej, nawet *Eroica* lub sonata Kreutzerowska nie spowodują nieporozumienia lub różnicy, gdybyśmy je wykonali, transponując o jakiś interwał. U Chopina ma natomiast tonacya znaczenie równe samej treści muzycznej; pomysł kształtował się w danej jakiejś barwie tonalnej, której natężenie odczuwał genialny malarz tonów nie do pojęcia dokładnie. Koloryt w fortepianie zależy od stosunku użycia klawiszy białych i czarnych; odmienna mechanika uderzenia (palce inaczej atakują) wywołuje różnicę w barwie tonu. Dla przekonania się w jak innym świetle i barwie przedstawiały się którakolwiek kompozycya Chopina, gdyby nie utrzymał jej w danej tonacyi, warto poddać próbie transpozycyi, o pół tonu w górę lub w dół, kilka bodaj taktów chopinowskich. Zrozumiemy wtedy wszystkie malarskie komentarze — szczególnie nokturnów Chopina. Trudno nie uciekać się do nich tam, gdzie muzyka zdaje się być przetopioną barwą, dającą tło grze uczuć. Idąc śladami komentatorów Chopina natrafiamy na opisy poetyczno-malarskie w stosunku zwłaszcza do nokturnów. *Ehlert* pisał o nokturnie *F-dur* op. 15, że w nim: „Chopin przetkał burzliwe fale własnych wzruszeń srebrnymi promieniami księżyca. W nokturnach jego są odbłyски jakby dalekich gwiazd. Od tych mglistych, niebieskich klejnocików pożyczył niejedno. Nokturn Chopina jest udramatyzowanym ornamentem...” *Huneker* pisał o drugim: „jest w nim zadziwiające stopniowanie przy oświetleniu słonecznym,” o innym znów, że są w nim: „modulacje od niebieskiej barwy gołębiego jaja do zieloności wody Nilu, mgliste i delikatne.” Jeden nokturn Chopina jest dla *Hunekera* „malowany najeteryczniejszym pędzlem,” nokturn *cis-moll* op. 27 przedstawia się *Leichtentrittowi* „już bez światła, prawie głąboko czarny...” Ale podczas kiedy dzisiejsi impresyoniści muzyczni francuscy oddają w swoich kompozycjach niemal stany atmosferyczne i starają się tylko o efekty barwne, Chopin stworzył w jednym nokturnie, którego ton malarski przypominał *Kleczyńskiemu* „obraz cichej

weneckiej nocy“ — „większą różnorodność wzruszeń i prawdziwego dramatyzmu ducha na czterech stronicach, niż niejedna opera na czterechset“—jak pisał Henryk T. Finck. Szukając konkretnych dzieł malarskich, które z nokturnami Chopina mają wspólność nastroju i równą wartość artystyczną, musimy uciec się do *scènes galantes* Watteau'a (*G-dur*, nr. 12), lub „Świętego gaju“ Boecklina (*g-moll* op. 37).

Tę różnorodność barw dźwiękowych, którą stworzyła dopiero nowoczesna instrumentacja, przedstawiają nam w pełnej krasie dzieła Chopina. Mistrz nasz pisał na fortepian, jakby reprodukcją barwne obrazy muzyczne jakimś niewytłómaczonym sposobem, który jednym swym zasadniczym tonem tak idealnie oddaje wszystkie barwy dźwiękowe, ich natężenia i harmonie. Chopina gra się tak, jak się gra z wyciągu fortepianowego dramaty Wagnera, których kolor orkiestralny słyszy się uchem wewnętrznym. Obraz przyświecający natchnieniu Chopina wyczarowujemy w naszej duszy w ekstazie, w którą przenosi nas jego muzyka.

Z pośród tych momentów w kompozycjach Chopina, których orkiestralny koloryt nie ulega wątpliwości nawet dla przeciętnej muzycznej natury, wystarczy wymienić tu wstęp w *Fantazyi*, lub partję ilustrującą rajtaryę w polonezie *As-dur*. Instrumentując zaś w wyobraźni mnóstwo dzieł Chopina, kryjących w sobie pierwiastki orkiestralne, przychodzimy do przekonania, że *in abstracto* odpowiadają one chyba najświetniejszym ustępom wagnerowskim lub straussowskim. Wyemancypowanie nowoczesnej orkiestry od Liszta i Wagnera począwszy, dokonało się pod zewnętrznym, technicznym wpływem Berlioza i wewnątrznie-muzycznym wpływem Chopina.

Śmiało możemy twierdzić, że w pojętym poetycznie kierunku muzyczno-malarskim nie znamy kompozytora o rozleglejszym i głębszym geniuszu od Chopina.

Po proroczych słowach Schumanna, napisanych o pierwszych kompozycjach Chopina, świat w dalszej jego twórczości nie doznał zawodu. *J. W. Davison* pisał w r. 1849 (cytuje Huneker), że „dzieła Chopina uderzają zupełnie niespodzianymi czarami, leżącymi poza obrębem znanych dotąd rzeczy, że z każdym utworem Chopina wchodzi się w jakiś kraj cudowny, nietknięty jeszcze stopą ludzką, jakby natrafiło się na ścieżkę, którą dotąd nikt prócz niego nie szedł.“

Istotnie, ślady wskazujące w czemś na epigonizm w kompozycjach Chopina są drobinowe, znikome. Kiedy w dziełach Wag-

nera płyną aż do „Lohengrina“ wstęgi wpływów włoskich (Spon-tini'ego szczególnie), Beethovena w stopniu dość silnym i Webera, u Chopina zauważamy domieszki obcego stylu w kompozycjach najwcześniejszych tylko. Oklepane do znudzenia nazwisko *Fielda*, ilekroć mówi się o nokturnach Chopina, ma tylko małą rację bytu, ledwie przy wspomnieniu nokturnu *Es-dur*. Młodzieńczą pasję dla opery włoskiej widzimy w drugiej części koncertu *e-moll*, ale i tu podniósł wielki geniusz frazy melodyjne do poziomu prawdziwego artyzmu. Zresztą zaś samorodność, z niczem nieporównana oryginalność, wypowiadająca się w dziełach nie-licznych, ale stale — conajmniej — doskonałych. Nie ilość stanowi o wielkości artysty, ale gdy mimo to przeciwstawia się twórczo-ści Chopina żywiołową produktywność Händla, Bacha, Haydna, Mozarta, Schuberta, Mendelssohna, nie można i o tem zapomnieć, że ze spuścizny tych mistrzów, pomimo różnych chwalebnych za-biegów niemieckich artystów i muzykologów, znaczna (przynaj-mniej 50 do 60%) część nie ma żadnych warunków życia, nie z powodu przestarzałych form, ale dla wątpliwej jakości. W skrom-nej ilości *opusów* Chopina liczymy tyleż samo niemal arcydzieł, których żywotność jest tak silna, że rosnąca z każdym rokiem liczba reprodukcji dzieł jego na koncertach, przewyższa w dwój-nasób sumę wykonywanych kompozycji fortepianowych nazwa-nych wcześniej mistrzów łącznie z Beethovenem. Najwymowniej-szych dat do potwierdzenia, że zachwyty w tym roku nie są ju-bileuszowo-słomianym ogniem, dostarcza statystyka życia koncer-towego w Niemczech i Francji.

Najkrótszą odprawę można dać urojonym zarzutom, skiero-wanym ku indywidualności Chopina, której przedziwne wysubtel-nienie wydaje się być ludziom o pewnych attawistycznych cechach barbarzyńskich: chorobliwością i dekadencją. Bluźnierstwem wo-bec geniuszu Chopina byłaby apologia jego indywidualności prze-ciw takim zarzutom. Tym, co je stawiają, dajmy do wyboru: wy-obrażenia potęg boskich z Alaszki i figurki tanagryjskie...

Arystokratyczna nawskroś sztuka Chopina pozostała taką i w *mazurkach*, które nie uprawniają do uważania go za chłopo-mana. Jedyna forma, do której tematycznie szukał na zewnątrz siebie zarodczej podniety, była — jak pisał *Cyprian Norwid*: „za-śpiewem na sztukę narodową.“ Chopin „podniósł ludowe na-tchnienia do potęgi przenikającej i ogarniającej ludzkość całą“ — pierwiastek „ludowy do ludzkości.“ Ludowy charakter mazur-ków, rodzaj muzyki, który utwory te czyni najbardziej dostępnymi z dzieł Chopina, nie przeszkodziły harmonicznemu zmysłowi

jego stwarzać tu najśmielszych problemów. W obrazach, mogących być genialnem dopełnieniem „Pana Tadeusza,“ z których wyczuwamy twardy realizm wieśniaczej doli, jest Chopin, nie roniąc nic z zasadniczej idei i ludowej charakterystyki, wielkim, zupełnie samodzielnym artystą, nie oglądającym się na liczne, w czasach powstawania jego pierwszych mazurków, przykłady muzyków warszawskich. To, co napisał Liszt, że: „Chopin będzie zaliczany do tych muzyków, którzy najpierw wyindywidualizowali w sobie poetycznego ducha całego narodu, niezależny od wszelkiego wpływu szkolarskiego,“ jest względnie do mazurków najśluszniesze i doczekało się pięknie wypowiedzianego stwierdzenia w sylwetce Chopina p. *Camille Bellaigue'a*. Natura Chopina, rozwijająca się wyłącznie z wewnątrz, nie uległa, nawet w czasach podatności na wpływy, niczemu, coby ją mogło nagiąć do epigonizmu i naśladowania. Chopin był tak wyłącznie muzykiem i tak wczesnie rozwinął cały swój geniusz, że nigdy — w listach naprzykład — nie tracił czasu na długie komentarze o napisanych kompozycjach, nie wtajemniczał nikogo w zamysły, lub opowiadał o procesie powstawania swoich dzieł. Przeważnie robił to wesoło, daleki od wszelkiego filozofowania i teoretyzowania. Dał ludzkości dzieła, nie listy o dziełach, liczył na odczucie w artystycznych rejonach duszy, nie na ciekawość krótkowidzącego badacza.

Wspominając *ex re* tak wczesnej dojrzałości Chopina, tak wczesnie tworzonych arcydzieł, wczesny rozkwit geniuszu Mozarta i Mendelssohna i stawiając Chopina w jednym z nimi szeregu, nie wyświadczamy mu tem zaszczytu, lecz przeciwnie nawet pewnego rodzaju krzywdę; tamci bowiem byli nieodrodnymi synami epok, które ich wydały, Chopin natomiast swoją i następną tak znacznie wyprzedził. Waryacje na temat z *Don Juana* „*la ci durem la mano*“ dzisiaj utworzone musiałyby zwrócić na siebie uwagę świata muzycznego, zjawiając się około roku 1830, oznaczały początek nowego stylu fortepianowego, o elementach niepomernie bogatszych i rozmaitszych jak dawniej. Łatwo więc pojmiemy entuzjazm Schumanna, który poznawszy te waryacje nietylko napisał pamiętną ocenę proroczą, ale już mając wystąpić jako kompozytor z szeregiem utworów, wołał je zniszczyć lub przerobić, zyskawszy w kompozycjach Chopina najlepszego dla siebie nauczyciela.

Trudno bez pomocy analizy wykazać te wszystkie sposoby dramatycznego wyrazu muzycznego, które w sztuce Chopina na-

brały właściwego znaczenia, przeszedłszy zaś do dzieł innych kompozytorów uchodzą za ich specjalnie własne. *Obiegnik* (w górę i w dół) ma w licznych, głęboko poruszających momentach dramatów Wagnera ważne znaczenie (modlitwa Rienziego, duet Elżbiety z Tannhäuserem, Izolda, Brunnhilda). U Chopina występuje on w miejscach wysoce napiętych, np. w balladzie *g-moll*, lub głębokiej kantylenie *Fantaisie impromptu* (ustęp środkowy) i tylu innych.

Chopin nie popierający ideałów swoich enuncyacyami teoretycznymi, mówiący do Delacroix'a (pamiętniki wielkiego malarza), że Beethoven zaniedbywał pewnych, odwiecznych reguł muzyki, mógłby się niejednemu wydawać zjawiskiem nieświadomem swojej genialnej treści. Znajdujemy wszakże jedno zdanie Chopina w liście do Elsnera, pisany w pierwszym roku pobytu w Paryżu, które dobitnie stwierdza, że genialny młodzieniec przeznaczył sobie misję wielką i śmiałą i że czuł się do tego powołany, mianowicie: *stworzyć nową erę w sztuce!* Ono jedno nam wystarczy.

Czujemy dobrze ile serdecznej krwi polskiej płynie w muzyce Chopina; świat nie zaprzecza nam prawa do tej najdroższej naszej własności. *Camille Bellaigue* pisał: „nie znam muzyka, któryby więcej był patriotą, niż on. Chopin jest Polakiem bardziej, niż ktoś był kiedy Francuzem, Włochem, albo Niemcem. Jest Polakiem, nic, jak tylko Polakiem, i z tego zniszczonego, zmaltretowanego kraju polskiego wyłania się jego muzyka, jak nieśmiertelna dusza jego.“ *Heine* natomiast widział w naturze Chopina wypadkową wpływów trzech odmiennych narodów, trzech kultur. „Polska dała mu rycerskość i ból historyczny, Francya dała mu swój lekki wdzięk, swoją gracyę, Niemcy romantyczne zamyslenie...“ Dały mu jeszcze wielką sztukę Bacha, której dokładne studyum (*Wohltemperiertes Klavier*) przyniosło mu w rezultacie „czystą logikę w muzyce“ — jak to wynika ze słów Chopina do Delacroixa. O wpływie Bacha na Chopina, którego sztuka jest jakby odwróceniem muzyki kantora lipskiego, świadczą tylko wspólności ideowe, nie zaś podobieństwa zewnętrzne, formalne, tych bowiem nie znajdziemy. W geniuszu Chopina przetopił się wpływ ten w jakieś nowe wartości, nastąpiło w nim przeobrażenie pierwiastków. Proceder ten możemy uzmysłwić sobie porównaniem, zgoła paradoksalnem: talent plastyka, przejętego arcydziełami Velasqueza, które go skryształizowały, wypowiada się w znakomitych dziełach rzeźbiarskich.

Oto dzieło Chopina, sfinks, „cud jeden...“

Mógł mówić o sobie Chopin słowami „Króla Ducha“:

„Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie,
Zebrałem owe duchów miliony?...
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony...“

I będzie wielka sztuka jego Duszą narodu:

„Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona!
I nasze dzikie dusze pozachwyca!...“

ZDZISŁAW JACHIMECKI.

PAMIĘTNIK DEOTYMY.

IV.

Na wygnaniu.

Całejby książki potrzeba, i to niemałej, ażeby wiernie opowiedzieć naszą wygnańczą wędrowkę. Chciałabym kiedyś tę książkę napisać (jeżeli życia na to starczy), dziś króciuchny tylko jej szkic podam, a najprzód nadmienię, że w owym czasie doznałam niesłychanych cierpień, ale i największego w życiu szczęścia.

Cierpieniom nikt nie zaprzeczy. Widzieć najdroższą sobie istotę aresztowaną, uwięzioną, porwaną w nieznane strony, to są wrażenia, których ludzka mowa nie wyrazi.

Jak tylko dowiedziałyśmy się, że mój ojciec ma być wywieziony, w tejże chwili zajaśniała mi myśl jechania z nim razem. Niecierpliwość mnie ogarnia, kiedy ludzie nazywają ten krok *poświęceniem*. To nie było żadne poświęcenie, to było dogodzenie najgwałtowniejszej potrzebie serca, to było uchwycenie się jedynej pociechy, jaka mi w tem nieszczęściu zostawała. Zresztą, czyż to nie był najprostszy obowiązek?

Wprawdzie, bolała mnie myśl chwilowego rozłączenia się z matką, ale rozłączenie to miało być bardzo krótkie; matka chciała także zjechać do nas, wprawdzie nie odrazu, bo pierwej musiała urządzić interesa majątkowe, odnajdąc mieszkanie, wybrnąć z owych tysiącznych powikłań, które nastają przy zupełnym przewrocie stosunków życiowych — wszakże, umówionem to zostało między nami, że jak tylko będzie jej wiadome stałe miejsce na-

szego pobytu i jak tylko trochę się w niem urządzimy, zaraz i ona tam wyruszy w towarzystwie jakiego krewnego. Byłyśmy wtedy przekonane, że ojciec zostanie zesłany do jakiegoś większego miasta, na drodze kolejowej, lub gdzieś w jej sąsiedztwie. Było to złudzenie. Ach, jeszcze nie miałyśmy pojęcia ani owych dróg, ani owych osiedlin! Ale w każdym razie było to szczęśliwe złudzenie, kiedy nam na długo dodało odwagi.

Mnie tymczasem o to chodziło najpierwej, ażeby mój ojciec nie odbywał podróży samotnie. A jednak, razem z nim wyjeżdżać z Warszawy było rzeczą niedozwoloną. Osoby, wysoko stojące, podsunęły nam radę, ażebyśmy dogoniły ojca w drodze, a resztę zdały na Opatrzność.

Z cudowną szybkością otrzymawszy paszport, puściliśmy się obie ku Petersburgowi, i — o szczęście! w Pskowie doścignęłyśmy całą „partycę“ wygnańców. Byli oni umieszczeni w hotelu, mogłyśmy więc odrazu złączyć się z moim ojcem. Psków jest miastem biednym i smutnym, ale jakże wydał mi się uroczy, dzięki owemu złączeniu, owej radości, z jaką nas ojciec ujrzał!

Wprawdzie ta radość została znów zaciemniona, bo tam znowu się okazało, że nie wolno razem z wygnańcami odbywać podróży. Jednak widok mojej boleści tak jakoś wzruszył władze, że otrzymałam *wyjątkowe* pozwolenie towarzyszenia memu ojcu w drodze.

Nastąpiła ciężka chwila rozstania się z moją matką; sładziła ją, co prawda, nadzieja szybkiego połączenia, zawsze to jednak było prawdziwe dla serc naszych rozdarcie. Ach, widzę ją jeszcze łzami zalaną na „perronie.“

A myśmy się puścili w ową tajemną drogę, gdzie nikt nie wiedział, dokąd zmierza. Jechało nas przeszło trzydzieści osób w jednym ogromnym wagonie, a że był trzeciej klasy, twardy i nieopalaný, więc przy grudniowym czasie, jeśli kto się oparł o ścianę, to mu włosy do niej przymarzały.

W Moskwie trzymano nas przez pięć dni w więzieniu. Piątego dnia dopiero przysłała od ministra lista, wskazująca, kto do jakiej gubernii ma jechać, bez naznaczenia wszakże samego miejsca pobytu, co miał dopiero skutecznić właściwy gubernator. Każdy więc musiał jechać najpierwej do swego miasta gubernialnego. Dla nas przypadł Kazań.

Do Niżnego Nowogrodu wieziono nas jeszcze razem, ale tu już kończyła się droga żelazna i tu nastąpiło ogólne żegnanie się z towarzyszami podróży, z którymi te dni wspólnych cierpień związały nas niejedną nicią, chociaż... nie ze wszystkimi.

Odtąd, każdy już musiał radzić sobie z osobna. Nie mając pozwolenia na pójście do miasta, musieliśmy na poczcie kupić co się trafiło, rodzaj starej karetki na saniach, najsmieszniejsze w świecie pudło dziurawe, poobijane rogózkami. Ciasno tam było i niewygodnie, ale, prawdę mówiąc, uczuliśmy się szczęśliwi, że jesteśmy już tylko we dwoje i że możemy nakoniec rozmawiać poufnie, co w ciągłym dotąd tłumie było niewykonalnem.

Po drodze nie spotykaliśmy żadnych ciekawości. Kraj pusty, bezleśny, poprzecinany głębokimi jarami, śniegi bezbrzeżne, które olśnionym oczom wydawały się czasem purpurowe, wicher szalejący dniami i nocą. Jedyną ciekawością była ludność miejscowa, Czuwasze, plemię fińskiego pochodzenia, mówiące językiem, który nam dziwnie przypominał węgierski. Ale jakże ci bracia Madziarów inaczej wyglądali! Nigdy się nie spodziewałam, abym nazajutrz po wysiąściu z wagonu mogła oglądać takich dzikich ludzi, a zwłaszcza takie dzikie kobiety! Czuwaszki nie noszą wcale sukien, ale są całe obszyte stułokciowym bandażem z płótna, który najwyraźniej rysuje ich kształty. Obszycie to, jaskrawo zab haftowane, póty się nosi, póki z nich samo nie opadnie. Po wierzchu rozwieszają różne szkła i zęby zwierzęce, a głowę stroją w blaszany dyadem z wisiorami. W zimie, gdy na dwór wychodzą, kładą przynajmniej kozuch i wtedy podobniejsze są do ludzi, ale kiedy go w chacie zrzucą, wtedy chociaż się na nie patrzy, własnym oczom wierzyć się nie chce.

Żadnych w kraju zwalisk, żadnych pamiątek. Czasem tylko wieś o jednej ulicy, jeszcze rzadziej miasteczko, a w niem zawsze dwa główne budynki: cerkiew i więzienie. Trzeba jednak przyznać, że między cerkwiami wiele jest prześlicznych, niezmiernie oryginalnych, a im bardziej podróżnik zdąża ku Wschodowi, tem więcej w nich odkrywa podobieństwa do indyjskich pagód.

Ale jeśli ciekawości było mało, za to niebezpieczeństw co nie miara; kraj wszędzie falisty, czynił drogi ślizkimi jak zwierciadła; spuszczenie się do jarów przedstawiało niezmiernie trudności, a już najstraszniejszą była przeprawa przez Wołgę, jeszcze źle zamarzniętą. Wprawdzie żandarmi, tworzący naszą eskortę i *odpowiadający za nasze życie*, czuwali nad nami bardzo pilnie, ale przeciw żywiołom i żandarm nie pomoże. Mieliśmy nadzieję, że w Kazaniu będziemy mogli wypocząć, choćby za więziennymi kratami, tymczasem gubernator, przejrząwszy nasze papiery, kazał nam natychmiast ruszać znowu do jakiegoś *Jadryna*, o którym, jako żywi, nie słyszeliśmy nigdy.

Przebywszy napowrót Wołgę, i to w nocy, wśród kry i wodnych przepaści, musieliśmy wracać się o paręset wiorst drogi. Nakoniec dziewiętnastego dnia po wyjeździe ze Pskowa dotarliśmy do Jadryna, mieściny, złożonej z kilkudziesięciu chałup i kilkunastu dworców, tak grubo zasutych zaspami śnieżnymi, że tylko dachy wypukłały się cokolwiek nad ziemią, jakby jakieś białe mogiłki.

Pomimo tak żalonych pozorów, urządziliśmy się tam wcale nieźle. Sprawnik miejscowy, stary syberyjski wiarus, był to człowiek szczery, który nikomu nie dokuczał. Mieszkaliśmy w chatce, należącej do rodziny poczciwych pół-mieszczan, pół-chłopów, co nam okazywali nieklamane współczucie.

Zastaliśmy tylko trzech czy czterech wygnańców. Zaraz też przypadła wspólna *Wilja*, która się u nas odbyła; wtedy jadłam po raz pierwszy sterleta; jest-to rzeczywiście monarcha ryb, lepszy od łososia, a nigdzie nie można łatwiej go kosztować, jak w Jadrynie, bo miejscowość ta leży nad rzeką Surą, która jest najślawniejszym siedliskiem sterletów.

Ale po świętach wygnańcy zaczęli zjeżdżać coraz tłumniej, tak, że wkrótce było nas już kilkadziesiąt osób. Z powiększoną liczbą ludzi skazanych na bezczynność i na gorzkie myśli, a zwłaszcza z przybyciem kobiet, zamąciła się piękna zgoda, jaka z początku panowała. W tym tłumie byli ludzie różnego wychowania, różnego wykształcenia, byli nawet i wcale niewykształceni, a wszystko to w imię „świętej równości nieszczęścia“ rościło prawa do niejakich stosunków i wciąż się wzajem na siebie hoczyło.

Nas, co prawda, tylko czasem, i to słabo, dochodziły echa tych małomiasteczkowych zatargów. Byliśmy zawsze tak zajęci, że dzień nam ulatywał jak chwila, i wieczór, choć zimowy, nieskończenie długi, nigdy nam jeszcze nie wystarczał.

Trzeba się było rozpakowywać, urządzać, mieszkanko uczynić możebnem, zaopatrzyć się w mnóstwo drobnych gospodarskich sprzętów. Mój ojciec też nieraz rano chodził po sprawunki, wracał obciążony nimi, a był takiej gołębiej prostoty, że kiedyś przez całe miasto przeszedł, niosąc na ramieniu wysoką szcztokę do zamiatania izby.

Prawdę mówiąc, nie izby to były, lecz izdebki. Wszystkie trzy, jakie posiadaliśmy, zmieściłyby się z okładem w dzisiejszej mojej bibliotece. Piec mieliśmy tylko jeden, i to prosty ceglany. Szyby w okienkach nie dorównywały rozmiarem zwykłej ćwiartce listowego papieru; większa też ich część była papierem posklejana. Wprawdzie na niektórych ścianach pstrzyły się kawał-

ki starych obić, wiotko przybite gwoździkami, ale też to był jedyny splendor naszego mieszkania.

A jednak, jakże słodko dnie mi tam upływały! Nie chodziliśmy prawie nigdzie, bo najlepiej nam było we dwoje. Tyle mieliśmy do mówienia! Tyle do roboty! Ja, co prawda, nie na wiele się mogłam przydać, bo jak w Warszawie, tak i tam, ciągle byłam chora, ale przynajmniej pilnie naprawiałam bieliznę, której mała ilość wzięta w drogę, musiała na długo starczyć. Czytaliśmy też dużo, to razem, to z osobna, i nie zawsze drukowane rzeczy; trafiały się i rękopisma.

Przyjechał był w moim kufrze podróżnym ogromny fascykuł, zawierający „Wandę,” napisaną w owym kształcie niby szekspirowskim, o którym wspomniałam już powyżej. Mój ojciec jeszcze nie znał tej pracy. Biorąc ją w drogę, cieszyłam się, że taka gruba, przez co dłużej nam wystarczy na rozrywkę.

To też gdy się trafił pierwszy wieczór wolny od zajęć i od gości (było to między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem), rozłożyłam foliał na stole i zasiedliśmy uroczyście. Czytam pierwszy akt — niezmiernie długi... Czasem z pod oka spoglądam na moją publiczność jedno-osobową, lecz dla mnie ważniejszą, niż świat cały. Publiczność milczy. Po skończonym akcie już nie mogę wytrzymać i zapytuję:

— Cóż tatko mówi na to wszystko? Czy to dobre? Czy nieźle?...

Mój ojciec, po chwili wahania, odpowiada:

— Czekaj... Teraz jeszcze nie mogę wypowiedzieć żadnego sądu... Czytaj dalej... Może później rzecz mi się inaczej przedstawi...

Czytam zatem akt drugi, ale już głos mi nieco zamiera. Publiczność milczy.

Nagle, w połowie drugiego aktu mój ojciec się odzywa:

-- Nie! To już nie do zniesienia. Póki jeszcze przechodzisz z prozy na biały wiersz, a z białego na rymowy, to sprawia prześliczne wrażenie. Ale kiedy z rymowego spadasz do białego, a z białego do prozy, to poprostu jest nie do zniesienia. Rozkład scen dotąd bardzo dobry, charakterystycznie utrzymane, plan wydaje mi się udany, ale ta nieszczęśliwa forma w naszym języku nie uchodzi. A przytem jakież to okropnie długie!

Po takim wykrzyku przestaliśmy czytać i uznaliśmy oboje, że „Wanda” w tej postaci nie ma prawa do życia. *Oboje*, bo i ja czytając, potajemnie doznawałam tych samych wrażeń, które mój ojciec głośno wypowiedział.

Zmartwiliśmy się mocno. Całą noc prawie oka nie zamknęłam. Ale ta bezsenność wydała dobry owoc. Przemógłszy troskę, postanowiłam całą rzecz przerobić na wiersz rymowy.

Zaraz też nazajutrz wzięłam się do początku drugiego aktu i na próbę przetopiłam w nim pierwszy monolog Rytygiera. Pokazało się, że przeróbka pomaga nietylko na formę, ale i na rozwlekłość; ów monolog, który w pierwotnym tekście zajmował całe trzy stronnice, teraz pomieścił się w szesnastu wierszach. Ucieszona pomyślnym probierzem i ojcowskiemi zachętami, zaczęłam coraz goliwiej popychać tę olbrzymią robotę i w Jadrynie zwierszowałam cały akt drugi oraz większą część trzeciego. Ile razy przybyło kilkanaście wierszy, zaraz je ojcu przynosiłam. Co to były za rozprawy, co za śmiechy i pustoty przy tem pisaniu prawie wspólnem! Po jednej nocy zmartwienia miałam teraz długie dnie rozkoszy.

Trzeba też przyznać, że i ów tekst pierwotny, chociaż na pozór nie udany, teraz mi był bardzo użytecznym i przez pół ułatwiał mi pracę. Szyk obrazów, szereg myśli, zazębianie dialogu, wszystko już miałam gotowe, tylko szatę robiłam ciaśniejszą i zgrabniejszą. Robota wdzięczna, która nam obojgu tak przypadła do smaku, że przez cały czas pobytu w Rosyi, była nam słodką ucieczką do kraju poetycznych wizyj.

.

Tkwiał jednak w naszym życiu jeden kolec, który wciąż nam zakrwawiał serce, to trudność porozumienia się z matką.

Pocztą jadryńską tylko raz na tydzień chodziła. Listy, dwukrotnie cenzurowane, więc pozostające na łasce owych cenzorów, szły w najlepszym razie dwa tygodnie. Ale czasem i przez miesiąc wypadło na nie czekać; wtedy chodziliśmy, jak struci. Nawet i odbiór listu niewiele nas pocieszał, bośmy sobie mówili: „Wszystko to stare wiadomości! Któż wie, co się tam od miesiąca stało?”

A nie łatwo było i odpisywać. Z początku zatajaliśmy straszliwe biedy i niewygody naszego pobytu; nie chcieliśmy dodawać matce zmartwienia. Ale gdyśmy z jej listów zmiarkowali, że nie żartem się do nas wybiera, musieliśmy wyznać całą prawdę. Zdrowie mojej matki, bardzo wówczas już nadwreżone, nie byłoby wytrzymało ani jednego tygodnia takowej podróży, ani jednego miesiąca takiego pobytu; wiedzieliśmy to dobrze,

i sumienie kazało nam ją przestrzedz, ale szczere nasze wyznania zgryzły ją więcej, niż można było przewidzieć, i odtąd już tylko nad tem pracowała, aby nas wydobyć z owej „dziury,“ jak w Warszawie nazywano Jadryn.

Wprawdzie już moja matka nie była zupełnie osamotnioną; siostra mego ojca, przybywszy umyślnie do Warszawy, zamieszkała z nią razem i nie opuściła jej aż do naszego powrotu. Staraliśmy się też rozrywać mamę za pomocą długich i wesołych listów, a czasem i małych niespodzianek.

Najwspanialsza z nich zjawiała się na dzień 20 marca, w którym przypadały urodziny mojej matki. Przybył wtedy z Jadryna cały nabór podarków. A najprzód dwie skrzynki blaszane, gdzie w lodzie jechały zamrożone sterlety. Przytem sławne jakieś rosyjskie pierniki, oraz równie sławne pantofle. Nakoniec, w różnokolorowych pudłach umieszczony był „meister-stick“ naszej własnej roboty: *modelik naszego mieszkania w Jadrynie*.

Była to rzecz mego wynalazku. Chciałam koniecznie, aby moja matka mogła sobie zrobić dobre wyobrażenie o naszym siedlisku, a chciałam też i sama na całe życie mieć pamiątkę tej wyjątkowej epoki mego życia. Zaraz po Nowym Roku (1864) już ubrdało mi się w głowie zrobienie jakiegoś niby teatrzyku, coby się składał i rozkładał i póty ojca nudziłam, aż przystał na mój zamiar. A że oboje przepadaliśmy za wszelkiem *wycinaniem* i *klejeniem*, więc nas ta robota niezmiernie bawiła. Wprawdzie o materiały nie było nam łatwo, jednak z tektury, ze starych kart, starych perkalików i kolorowych papierów zrobiliśmy, wpół uklejony a wpół uszyty, rodzaj domku, gdzie były wszystkie nasze pokoiki z piecem i mebelkami, aż do najdrobniejszych szczegółów, bo stały tam nawet i lichtarze, i samowar z filiżankami, a na stoliku leżał różowy papierek z powinszowaniem dla solenizantki. Wszystko to rozbierało się na części, które ślicznie do siebie przystawały. Przez cały styczeń i luty pracowaliśmy nad tem arcydziełem cierpliwości. Tymczasem też wieść o naszej robocie gruchnęła po miasteczku i zaczęli się schodzić na to widowisko nie tylko nasi towarzysze wygnania, ale i rozmaici nieznanymi nam Jadrynianie, którym bardzo pochlebiała wiadomość, że konterfekt jednego z ich domów pójdzie „na Europe.“

Istotnie w początku marca wyszedł cały ów szereg upominków. Losy ich były rozmaite. Nieszczęśliwe sterlety nie wytrzymały ciepła wiosennego, jakie już panowało w Warszawie, i tylko nieznośnym „fetorem“ objawiły swój opłakany przyjazd. Pantofelki okazały się użyteczne. Pierniki, rozdane między zna-

jomych posłużyły im za *Presse-papier*, bo twardością równały się porfirowi. Ale najwięcej wrażenia sprawiła *Chatka Jadryńska*. Jeśli oglądano ją nad Surą, cóż dopiero było nad Wisłą! Wszyscy nasi przyjaciele schodzili się, aby podziwiać tę miniaturową budowlę i nie tylko wtedy, ale i po wielu, wielu latach zawsze ona znajdowała ciekawych. Do dziś dnia posiadam ową *Chatkę*, od czasu do czasu ją oglądam i niejedną już łzą tęsknoty skropiłam jej nadniszczone ściany.

Podczas kiedy w Warszawie marcowe słońce przygrzewało, u nas jeszcze szalone zima trwały bez wytchnienia. Cała zima była bardzo ciężka. Często w pokoju musieliśmy wdziwać futra, a raz, gdy mróz trzydziesto-stopniowy trzymał przez dziesięć dni z rzędu, powietrze w mieszkaniach tak zrzędniało, żeśmy się zataczali jakby na okręcie. Inną razą — pamiętam — wyszedłszy na miasto, dziwiliśmy się, „jak dzisiaj ciepło?“ Za powrotem do domu patrzymy na termometr, ten wskazuje piętnaście stopni Réamura. To się tam dla nas nazywało „ciepłem.“

Nakoniec w kwietniu nastąpiły roztopy. U nas nikt nie ma wyobrażenia o podobnych zalewach. Bo cóż to za góry śniegu tajały! Cały kraj stał pod wodą. Ogromny plac w Jadrynie, ubrany jakimi sześcioma czy ośmioma chałupami, wśród których była i nasza, zmienił się na rwące, burzliwe jezioro. Po tem jeziorze od domu do domu pływano łódkami, a fale spienione były z szumem o nasze okienka.

*

*

*

W takiej to chwili spadła na nas wiadomość, którą przyjęliśmy z niemałym zmartwieniem. Wskutek zabiegów, poczynionych bez naszej wiedzy w Warszawie, przyszedł rozkaz przeniesienia nas do innej gubernii.

Była to niby łaska, bo nieliśmy zamieszkać w mieście gubernialnem, ale w jakim! W Symbirsku, o którym prawie nikt z Warszawian za owych czasów nie wiedział. Ja przynajmniej pierwszy raz wtedy posłyszałam tę nazwę.

Zał nam było porzucać Jadryn. Jego mieszkańcy przestali się już nas lękać, jego władze przestały nas już podejrzewać. Na nowem siedlisku znów nas czekały nieznane warunki.

Kupiliśmy też byli trochę starych mebelków, niemożliwych do przewiezienia, i nasza rogożowa karetka na saniach już nie mogła w tej porze roku służyć do podróży.

Cała kolonia wygnańców odprowadzała nas aż nad brzeg Sury. Popłakaliśmy się wszyscy — a kto najwięcej płakał, to jądryński sprawnik, co na równi z całym Jadrynem powziął był dla ojca mojego cześć niewystowioną.

Pożyczył nam on swojego koczka, a za eskortę dał własnego zięcia, który piastował w miasteczku tem godność policmajstra. Dygnitarz ów, młody jeszcze, był niezłym człowiekiem i grzecznie rozpoczął drogę, bo nam oddał koczek, a sam jechał na koźle, ale dokuczył nam do żywego w sposób całkiem nadszodziejany. Prawie na każdej większej stacyi miał jakichś znajomych, przychodził więc do drzwiczek powozu i prosił bardzo czule, abyśmy nie wysiadali i nie kazali przyrządzać jedzenia, dopóki nie wróci. „Wrócę — mówił — zaraz, tylko muszę tu kogoś na chwilę odwiedzić.“ Ta chwila trwała godzinę, czasem dwie, czasem i cztery — a gdy zjawił się nakoniec, to pijaniusięki, jak bela. Wtedy już nie chciał o niczem słyszeć, tylko zżymał się, cały czerwony, i dla powetowania straconego czasu kazał natychmiast wyruszać. Tym sposobem przez wszystkie dni podróży nie mogliśmy nigdy zjeść ani śniadania, ani obiadu, i dopiero pod noc się zatrzymując, dostawaliśmy ciepłą strawę.

Niebezpieczeństwa tej drogi były bardzo wielkie. Mostów tam niema nigdzie, a choćby i były, to w tej porze roku powódź by je wszystkie na drzazgi rozniosła. Tak więc po dziesięć razy dziennie musieliśmy wplaw przejeżdżać przez wezbrane rzeki, a w miejscu gdzie Świaga łączy się z Wołgą, znaleźliśmy zupełne morze. Przyszła wnet po nas łódź spora; na niej pomieszczono i powozy, i konie, i nas wszystkich, i jak puściliśmy się na wicherzyste, wzbąłwanione głębie, tak od brzegu do brzegu płynęliśmy przez dwadzieścia i jedną wiorst, czyli całe polskie trzy mile!

Od Kazania już statek parowy przeniósł nas na miejsce przeznaczenia.

*

*

*

Sybirsk zaraz od pierwszej chwili uczynił na nas odpychające wrażenie. Było to jakby przecucie okropności, co nas tam czekały.

Miasto wprawdzie dosyć porządne; wiele domów murowanych; osiemnaście cerkwi, z tych niektóre stare i ciekawe; pałac gubernatora wcale niezły, zbudowany przy olbrzymim placu, na którym stoi posąg Karamzina; posąg spiżowy, bardzo piękny, a co jeszcze piękniejsze, to, że mieszkańcy umieją się nim chlubić. Każdy dorożkarz, każdy najprostszy człowiek mówił do nas: „Widzicie wy? To sławny Karamzin! On tutaj, u nas się urodził.“

Ciekawy także widok przedstawiają przesliczne konie tamtejsze, te słynne konie sybirskie, co wiodą ród swój od arabskich.

Mnie też niemniej zaciekał widok Tatarów, snujących się po mieście; i nietylko zaciekał, lecz i dziwił, bo to nie żadni krępi, nizcy Nogajcy, ale Tatarzy Kazańscy, lud rosły i piękny, w czapkach z białej pilśni, podobnych do wywróconej lilii. Gdzie mogłam, to ich podpatrywałam, i tam już myśl moja zwróciła się pilnie ku tatarskiemu światu.

Ale prócz owych drobnych, rzadkich zaciekawień, zresztą co za pustki, co za obumarłość w mieście! A ten kurz okrutny! W całej okolicy nie można znaleźć najmniejszego kamyka, więc ulice główne są wyłożone drogą bitą, a boczne pozostają jak je Pan Bóg stworzył. Chodniki wszędzie drewniane.

Przez całe miasto idzie ulica długa i szeroka, niby jakieś „Unter-den-Linden,“ tylko zamiast lip rozłożystych, stoją rzędem wiotkie, jak tiul, żółte akacje, jedyne drzewko, jakie tam jeszcze może się utrzymać.

A jednak nigdy w życiu nie zaznałam takich afrykańskich upałów, jak te, co tam nas pochwyciły. Zrozumieliśmy wtedy owe plemiona murzyńskie, które w pewnych porach roku uroczyście przeklinają słońce. Przed dziewiątą wieczór niepodobna było wychylić się z domu. A ta przedwieczna długość tamtejszych dni letnich! Przykrzyła nam się ona daleko więcej, niżeli długie noce. Przy lampie tak jest miło i czytać i pisać! Tam zaś ów ciągły blask oślepiający nużył głowę do niezniesienia.

Szkodził nam i klimat, który w Sybirsku jest niezdrowy. Wszyscy tam chorują na rozlanie żółci i myśmy już zaczęli niepomiernie chorować.

Byliśmy też z początku niegodziwie pomieszczeni, w jakimś lichym domu zajezdny, który nam władze naraiły. Za to w połowie lipca dostaliśmy mieszkancko bardzo ładne, świeżo wyklejone i wymalowane. Wszakże niedługo miała potrwać ta przyjemność.

Życie prowadziliśmy niezmiernie samotne. Z wygnańców nie było nikogo innego, a z miejscowymi niepozwoił nam się poznawać tamtejszy gubernator, człowiek dziwnie tchórzliwy. Ledwie przeledwie przystał na księdza i doktora i to jeszcze dodawał: „Jak najrzadziej widujcie się z nimi, jeśli chcecie, abym o was dobre raporta wyprawiał.“

Miał wprawdzie ten pobyt i dodatnie strony. Był ów ksiądz katolicki przy sporej kaplicy. Był telegraf, cudowny sposób szybkiego porozumiewania się z Warszawą. Było nakoniec i niejakię prawdopodobieństwo przyjazdu mojej matki do Symbirsk. Wprawdzie i tu zły klimat zagrażał jej zdrowiu, i tu długość drogi przerażała nas dla niej mocno, jednakże z czasem rzecz mogła przyjść do skutku.

Ale wkrótce i ta możebność znikła, nagle unicestwiona niespodziewaną katastrofą.

*

*

*

W ostatnich dniach sierpnia zaczęły się w Symbirsku dziwnie częste pożary. Po dwa, po trzy dziennie, i to w różnych dzielnicach, niemających z sobą żadnego stosunku.

Pierwszego dnia rzecz wydała się przypadkową, drugiego—już budziła podejrzenia, trzeciego—już nikt nie wątpił, że miasto jest podpalane, jak to mówią, *na czterech rogach*.

Pomimo wszelkich środków ostrożności, pomimo najrozpaczliwszych wysiłków (bo niczego nie żałują ludzie, którzy bronią mienia i życia), straszny żywioł rozszalał się, jak wulkan. Powstawały istne potoki ognia, które szły przez miasto w rozmaitych kierunkach, spotykały się i krzyżowały wzajem, a gdzie przeszły, tam już nie było po co się i schylić. Gdy taki potok płomienny nadchodził, wtedy na zagrożonych ulicach zjawiało się wojsko z bębniami i piszczałkami; to był znak dla mieszkańców, aby opuszczali domy i wynosili się za miasto.

Dzwony ciągle były na alarm, chociaż coraz mniej gęsto, bo coraz to któraś cerkiew, spaliwszy się, milkła. Aż w końcu wszystkie zamilkły.

Piątego dnia przyszła kolej i na naszą ulicę. Dzięki energii mego ojca, dostaliśmy telegę, mogliśmy na niej uratować rze-

czy i wynieśliśmy się na pole, gdzie pierwszą noc przebyliśmy dosłownie „à la belle étoile.“ I gdybyż przynajmniej gwiazdy były nam wiernie dotrzymały do końca! Ale nad ranem deszcz zaczął padać i musieliśmy sobie urządzić hottentocką budkę.

Deszcz nie potrwał. Ze wschodem słońca znów się wróciły owe przerażające upały, od których nigdzie nie było zastony, bo wokoło miasta panował jeden step wyżółkły, a na kilkanaście mil wokrag wszystkie wioski także się paliły.

Szóstego dnia, już cała dwudziestotysięczna ludność miasta obozowała na tym stepie. Gubernator ledwie uciekł z pożogi w pożyczanym płaszczu, pałac jego spłonął do szczytu, cały Symbirsk był już teraz jednym morzem ognia. Od bajecznego rozgrzania się atmosfery potworzyły się nad miastem trąby powietrzne, które, pędząc na pola, niosły żarzące węgle i całunem dymu zaciemniały słońce.

Wtedy wśród obozowisk powstał popłoch niesłychany, ludzie musieli co siły uciekać, bo kogo trąba dosięgła, ten zaduszał się w dymie lub gorzał pod ognistym deszczem. I myśmy ledwie z życiem uszli.

W owych godzinach nietylko nam, ale i niektórym nieco wykształceńszym symbirszczenom, przyszły na pamięć „Ostatnie dni Pompei.“

Nauczeni straszną przestrogą, przenieśliśmy się o całą wiorstę dalej. Tam z naszych kufków (cudem uratowanych), z niektórych pożyczonych sprzętów, z der i prześcieradeł zbudowaliśmy sobie szałas, wprawdzie bardzo niski, ale dość obszerny; wchodzić tam nie można było inaczej, tylko na czworakach, za to raz usiadłszy, człowiek mógł sobie radzić wcale nieźle i na przekór losom humor nam tak dopisywał, żeśmy tam sobie czytali, mój ojciec gospodarował, ja cerowałam, a nawet napisałam spory ustęp „Wandy.“

Jednak wszystko to robiło się mniej więcej na głodno i tu spoczywało drugie niebezpieczeństwo, niemniejsze od ognia; cała ta koczująca ludność była *zagrożona głodową śmiercią*. Urządzono wprawdzie na polach rodzaj żołnierskich pieców, gotowano tam jakąś niby zupę, ale to jadło było i okropnie drogie i ohydne. Każdy też miał jakieś zapasiki, to wina, to pierników, to wędlin, wszelako przezorność nakazywała jak najoszczędniej używać tych skarbów.

Straszliwsze nad wszystko były noce. Chodziła nieustanna pogłoska, że na zakończenie podpalań będzie *rzeź*. Kto miał kogo zarzynać? Nikt nie wiedział, ale można sobie wyobrazić, ile

z tego powodu rodziło się podejrzeń i posądzeń! A już nikogo bardziej nie posądzano, jak nas, jedynych tam zesłańców.

Jest to rzeczą dla mnie do dziś dnia niezrozumiałą, jakim cudem ocaliliśmy wtedy? Bo jednak lud zabił kilkanaście osób. Kilkadziesiąt innych zginęło w płomieniach. Nas Pan Bóg otoczył jakąś tarczą nadziejskiej opieki, która sprawiła, żeśmy z tego dantejskiego piekła wyszli żywi, cali, stosunkowo zdrowi, nie straciwszy nawet nic z naszych rzeczy.

Ale co dusze nasze przeszły, tego i Dante by nie wyśpiewał.

Kto mógł, ten uciekał. Wózkami, statkami parowymi rozjeżdżano się tłumnie. My tylko jedni, przykuci do miejsca, nie mogliśmy się ruszyć i nie wiedzieliśmy wcale, jaka nas czeka przyszłość, aż sama przyroda podjęła się jej rozstrzygnięcia.

Nastał był już wrzesień, a skwary ciągle trwały. Sama widziałam, jak nasz termometr pokazywał w cieniu trzydzieści sześć stopni Réaumura! Tymczasem, gdy nadszedł dziesiąty dzień obozowania, wstawszy rano i odsunawszy derę, co zamykała wejście, wydaliśmy okrzyk podziwienia: pola były bieluteńkie! Przymrozek odrazu chwycił. W ciągu dnia musieliśmy po części zburzyć nasz biedny szałas, ażeby otworzyć kufry i dobrać sobie futra. Przy takich warunkach niepodobna było dalej wytrwać w polu.

Z całego Symbirska nic nie ocalało, prócz nędznych kilkunastu dworców, położonych w niejakiem oddaleniu nad wodą. Można sobie wystawić, ile rodzin dobijało się tam o mieszkanie. Jednak mój ojciec tak mądrze zabrał się do rzeczy, że potrafił wytargować dla nas dwa pokoje.

Gdyśmy się ujrzeni pod prawdziwym dachem, wpośród prawdziwych drzwi i okien, gdzie nic nam na głowę nie kapało, gdzie w nocy żadne zwierzę nie zaglądało, myśleliśmy, że jesteśmy w raj.

Wprawdzie i tam nie brakło zwierząt. Co wieczór seciny szczurów, goniąc się nad pułapem i za ścianami, wyprawiały tak niesłychany Sabbath, że gdy dla obrony zaprosiliśmy kota, choć kocisko było ogromne, czarne i złośliwe, przecież zlekło się, wyduło grzbiet i uciekło. Myśmy nie uciekli, bo też i nie mogliśmy już wrócić na pole; śnieg padał w najlepsze i w tydzień później była już pyszna sanna.

I tym to porządkiem zawsze rok toczy się dla tamtych gubernij. Dziewięć miesięcy zimy twardej, nigdy nierozmarzającej. Potem sześć tygodni potopu. Dalej sześć tygodni senegalskich upałów. I znów dziewięć miesięcy zimy — i tak ciągle w kółko.

Pomimo szurów, które ostatecznie, prócz strachu, nie zrzędziły nam żadnej szkody, było nam bardzo dobrze w tych pokojach ciepłych, obszernych i widnych. Wróciliśmy do naszych zajęć, do naszych przeróżnych zabaw, coraz wdzięczniejsi Bogu, coraz bardziej nad sobą wzajem rozczerzeni.

*

*

*

To też prawdziwym dla nas ciosem był nowy rozkaz z Petersburga, który w końcu grudnia spadł na nas, jak piorun, oznajmiając, że „z powodu spalenia się miasta Symbirska, mamy być przeniesieni do Penzy.“ W czas się wybrano z tą łaską! W połowie września rozkaz byłby nas ucieszył, ale teraz, kiedy już całe cztery miesiące przebyliśmy na miejscu, kiedy trzydzieści stopni mrozu trzaskało w powietrzu, zgryźliśmy się okrutnie. Jednak nie było wyboru; podobne rozkazy muszą być wypełniane w przeciągu dwudziestu czterech, a najdalej czterdziestu ośmiu godzin.

Kupiliśmy coprędzej nową budę na saniach i w wilię Nowego Roku 1865-go wyruszyliśmy, nieco już znużeni tem ciągłym prześladowaniem losu. Droga poszła dosyć spokojnie, ale w Penzie czekało nas nowe zmartwienie. Gubernator miejscowy, człowiek niegodziwy, tem niegodziwszy, że Polak, i niegdyś w Warszawie znany memu ojcu, drwiąc sobie z woli ministra, nie pozwolił nam zamieszkać w Penzie, ale wysłał nas do powiatowego miasteczka *Czembaru*.

Ta ostatnia podróż, chociaż stosunkowo niedaleka, okazała się najbardziej przerażającą ze wszystkich. Za czwartą stacją chwyciła nas okropna zadyмка; w kilka minut nie było już znać żadnej drogi, nie mogliśmy ani wrócić, ani rozpoznać, gdzie mamy ruszać dalej, całe powietrze zakłębiło się gęstym, jakby ścianą, śniegiem i przez piętnaście godzin błędziliśmy w chaosie białości, w bezdennych ciemnościach, zagrożeni to zmarznięciem, to stoczeniem się w jary, to pożarciem przez wilki.

Taka noc stanie za sto lat.

Dopiero nad ranem, dosłyszane zdaleka dzwony, doprowadziły nas do jakiejś wioszcyny, skąd, po długich krażeniach, dotarliśmy nakoniec do *Czembaru*.

*

*

*

Ludność w Penzeńskiem składa się przeważnie z Mordwinów, którzy także są plemieniem fińskiem. Kobiety ich ubierają się tak samo, jak Czuwaszki, z dodatkiem tylko grzywy końskiej, pomalowanej świetnie na kolor zielony, która z głowy im spada i całe plecy aż do kostek zakrywa, co wcale malowniczo wygląda.

Czembar okazał się nieco dostatniejszy od Jadryna. Zamieszkaliliśmy na facyatce drewnianego dworku, w pokojach dość wygodnych, z wesołym widokiem.

Kolonję wygnańców znaleźliśmy bardzo liczną, złożoną przeważnie z Litwinów i Litwinek. Wiele tam poznaliśmy serdecznych i wykształconych osób, wiele mieliśmy odwiedzin i zaprosin, jednak zawsze najśłodziej było nam we dwoje. Wiadoma to prawda, że nic tak dusz ludzkich nie łączy, jak przebyte razem cierpienia. Cóż dopiero, jeśli te dusze już związane były najsilniejszym rodzinnym węzłem? To też i my, przebywszy razem tyle niebezpieczeństw, tyle przerażeń i zgryzot, staliśmy się jakby jedna dusza w dwóch istotach. Nie potrzebowaliśmy przemówić, ażeby się zrozumieć. Co rano, schodząc na śniadanie, biegliśmy ku sobie z tym okrzykiem radości:

— Ach, cóż to za szczęście, że jeszcze żyjemy! Że jeszcze jesteśmy razem!

Tak, co to było za szczęście! Czując, że jestem ojcu choć troszkę potrzebną, widząc, że mnie pokochał jeszcze więcej niż dawniej, ubóstwiając go codzień mocniej, wśród wszystkich naszych trosk i zmartwień byłam tak bezgranicznie szczęśliwa, że nieraz myślałam sobie: „Gdyby wieczność mogła być taką!”

Bo też mój ojciec posiadał dziwny *dar uszczęśliwiania*. Choć nie znałam człowieka, co by umiał równie głęboko czuć i cierpieć, nie spotkałam także drugiego, co by tak cudownie umiał nad swoim cierpieniem panować. W największych burzach i najprzykrzejszych słotach życia, dusza jego zachowywała zawsze niezmarłą, lazurową *pogodę*. W najmniejszej drobnostce umiał wyszukać pociechę, lada fraszka umiał się bawić, z tą „prerafaelityczną“ niewinnością serca, której w nikim nie odnalazłam, chyba w postaciach, stworzonych przez błogosławionego Angelica z Fiesole. I ja uczyłam się przy nim tej sztuki *rozpromieniania siebie życia*. To też co to było ciągle wesołości, co figielków, czy przy gotowaniu jajek, czy przy rąbaniu cukru, czy przy pisaniu poezyj!

„Wanda“ szła wielkimi krokami i już zbliżała się do kresu. W Symbirsku dopełniłam aktu trzeciego i napisałam czwarty. W Czembarze zwierszował się prolog, po nim cały akt piąty,

a w końcu i niektóre sceny pierwszego, który szedł jakoś najoporniej.

A jeśli mój ojciec był zajęty „Wanda,” ja znów całą duszą wsluchiwałam się w jego prace, bo i on, choć nigdy nie chciał uchodzić za literata z powołania, posiadał jednak bardzo piękny dar pióra. Od czasu do czasu pisywał prześliczne, wielce oryginalne powiastki, które w kółku przyjaciół znajdowały gorące przyjęcie, a od kilku lat już powoli tworzył większe dzieło; był to poemat obszernych rozmiarów, osnuty na *wspomnieniach rodzinnych i narodowych*, prawdziwe zwierciadło jego myśli i jego arcyepolskiej duszy.

Teraz, na wygnaniu, mając więcej chwil wolnych, powrócił do tych prac gorliwie. Przybywały coraz to nowe, pieściwe powiastki, przybywały coraz rzewniejsze pieśni do poematu i tak oboje, przy dwóch stołach pisząc, schodziliśmy się przy trzecim, aby je sobie wzajem czytać.

*

*

*

Jednak w listach mojej matki, już nieraz przebłyskiwały nadzieje rychłego dla nas powrotu. Były tam i niektóre inne jeszcze przebłyski pociechy.

I tak, Opatrzność zrządziła, że w ciągu owej zimy, do tegoż samego domu, w którym mieszkała moja matka, sprowadził się z rodziną pan Emanuel Wolff, który był już dawniej znany moim rodzicom. Teraz i jego młoda żona poznała się z moją matką, a widząc ją tak samotną i smutną, okazała jej tyle serca, otoczyła ją tak czułymi staraniami, że moja matka nieraz odtąd mówiła:

— „To moja trzecia córka.“

A w listach do nas pisanych, nie mogła się dość naopowiadać, ile osłodeń winna „tej uroczej pani Eugenii“ — temu „aniołowi pociechy.“

Można sobie wystawić z jakim rozczuleniem, z jaką wdzięcznością, wczytywałam się w obraz tej nieznanomej, a drogiej mi już istoty, co mnie niejako zastępowała przy matce! Jak pragnęłam poznać i uścisnąć tę słodką pocieszycielkę!

Pragnienie moje wkrótce się ziściło. W czerwcu przyszedł nakoniec dla nas rozkaz uwolnienia.

Droga powrotna, przedsiębrana w dobrej porze roku, poszła nam pomyślnie i dnia 2 lipca 1865 roku znaleźliśmy się w Warszawie.

Spotkania z matką nie dotykam piórem. Pierwszą osobą, jaką po matce spotkałam, była owa „słodka pocieszycielka.“ Znalazłam ją jeszcze lepszą, jeszcze bardziej uroczą, niżeli marzyłam i odtąd serce moje przylgnęło do niej na zawsze.

*

*

*

Kiedy moją „Wandę“ wydobyłam z kufra, już kilka scen tylko brakowało do jej skończenia. Ale długo przyszło jej czekać na owo ukończenie. Ostatnia podróż i wrażenia powrotu wyprowadziły mnie z toku dotychczasowych myśli, a wkrótce też i niespodziana okoliczność pchnęła mnie ku nowym robotom.

Towarzystwo Dobroczynności zażądało, abym na jego korzyść przeczytała jaką moją pracę, a choć czasy były ciężkie, jednakże władze i cenzura, które dawniej nie chciały pozwolić na żadną moją publiczną deklamację, teraz okazały się powolnemi.

Pragnęłam wybrać rzecz stosowną do dzieł miłosiernych, a jednak byłabym chciała nie porzucać i mojej „Polski w Pieśni.“ Stał mi na myśli przedmiot godzący oba te cele; była nim owa legenda z życia Stanisława Lubomirskiego, którą przed laty opracowywałam w dramacie p. t. „Dwie Księgi,“ a potem porzuciłam jako rzecz niedojrzałą. Teraz, nadając jej kształt, już nie dramatyczny ale opisowy i zmieniawszy tytuł na: „Potęgę jałmużny,“ w krótkim czasie napisałam obraz tysiąc-wierszowy, gdzie strona realistyczna jest jeszcze co prawda niedość wypukłą, jednak w całości możebnie się przedstawia.

Opowieść tę czytałam dnia 28 grudnia 1865 roku w Teatryku Dobroczynności, gdzie na ów dzień zrobiono umyślną dekorację, stosowną do przedmiotu.

Był to pierwszy mój publiczny występ. Wyznaję, że niewiele doznałam przy nim trwogi, bo kto przechodził przez postrachy improwizacyi, temu deklamowanie, i to z rękopismem w rękę, wydaje się zabawką.

Do publicznego czytania skróciłam poemacik prawie o połowę, ale całość została wnet wydrukowana w „Tygodniku Illustrowanym,“ w N-rze z dnia 6 stycznia 1866 roku.

Nie upłynęło dni kilku, już inne zakłady dobroczynne zgłaszały się także o współudział. Skorzystałam z tej sposobności, ażeby znów ubić jaką zdobycz dla mojej „Polski w Pieśni.“ Tą razą mogłam nawet pozostać w epoce dobrze mi już znanej, bo wybrałam sobie za przedmiot dzieje pierwszych Leszków, które jako *bajeczne*, upstrzyłam krajkami wyciętymi z różnych innych *bajek*. Praca ta nęciła mię niezmiernie, bo i chronologicznie dobrze mi wypadła, jako następująca tuż po „Wandzie,“ i spełniała choć w części moje dawne marzenia o tej „Wędrownicy po krainie czarów,“ gdzie to wszystkie podania naszego ludu miały się łączyć w jedną całość.

Robota szła tak szybko, że już w końcu lutego 1866 roku na koncercie dobroczynnym deklamowałam część pierwszą. Część ta nosi nazwę: „Baśń o Wdowie i jej trzech synach.“ (Mówiąc nawiasem, dziwię się, że ją pozwolono publicznie wypowiadać). Do końca zaś roku napisałam i trzy następne części, z czego się utworzył poemat p. t. „Gonitwy w Dolinie Prądnika,“ całkowicie trzymany w stylu *baśni*, prostodusznym, błyskotliwym i figlarnym.

*

*

*

Poemat brzmi wesoluchno, ale w jakichże niewesołych czasach on powstawał!

Po naszym powrocie z wygnania, zamiast wypoczynku i poeich, czekały nas nieskończone zgryzoty. Matkę moją zastaliśmy ze zdrowiem ostatecznie złamanem i z duszą tak zboląłą, że nawet nasze przybycie nie mogło już jej ożywić. A co jeszcze innych spotkało nas goryczy i zawodów! Ja w głębi duszy byłam oburzona tą niesprawiedliwością losów dla mojego ojca. Tymczasem on znosił to wszystko nietylko już ze swoją dawną odwagą, nietylko ze zwykłą sobie pogodą, ale z jakimś — że tak rzeknę — wniebowzięciem duszy, które najobojętniejszych nawet zdumiewało. Zdumiewało — i zatrważało.

Kraży między ludźmi to przekonanie, że *dusza, która już zupełnie dojrzeje dla nieba, musi niebawem odpaść od drzewa doczesności.* To też pamiętam, że kiedyś moja matka rzekła do mego ojca:

— Nie rób-że się taki doskonały, bo jeszcze cię Pan Bóg zabierze...”

Ach, słusznie mówiła! Słuszne były nasze trwogi, na widok tego coraz szybszego udoskonalania się jego duszy, która już przybierała świetlaność i przezroczystość błogostawionych istot!

*

*

*

Ledwie nastał ów nieszczęsny dla mnie rok 1867, już objawiła się u mego ojca straszna, nieprzebacząca choroba, która według doktorów przychodzi zazwyczaj w skutku „wielkich zaziębień i wielkich cierpień duszy.“ Ach, i jednych i drugich mu nie brakło! Nietylko straszna to choroba, lecz i zdradna. Od lat kilku wyżerała go niewidzialnie, a nikt z nas jej się nie domyślał. Kiedy nakoniec wybuchnęła, już było za późno na ratunek...

.....

Dnia 6 czerwca 1867 roku wśród męczeńskich cierpień odszedł do swego Stwórcy po nagrodę, odszedł, jak odchodzą wybrańcy Pańscy, błogosławiąc Bogu i ludziom.

Słońce mego szczęścia zagasło.

.....

.....

.....

Z tą chwilą dusza moja odczepiła się od ziemi. Gwałtem chciała lecieć za tym, który odszedł. Ale jakże lecieć? Przemocą wejść tam nie śmiałam, bo kto wchodzi przez inną bramę, ten może nie trafi do tych, których szuka. Ach, ja miałam nadzieję, że Bóg w swej litości, sam na mnie zawoła!

W tem oczekiwaniu, w tej nieustannej modlitwie o *wyzwolenie*, wszystkie inne władze mojej duszy zamilkły. Pióro też na długo zamilkło.

Raz tylko jeden próbowałam wyśpiewać moją boleść. Pieśń ta została niewykończona i odtąd nieskończona. Po prostu słów mi do niej brakło. Pierwszy to raz odczuwałam niesłychane ubóstwo i niedostateczność ludzkiej mowy. Uczucie to jest wyrażone zaraz we wstępnych strofach, które tu przytaczam jako jeden dźwięk z owego wykrzyku, nigdy niedosłyszanego przez ludzi:

Po ileż razy, moje łyzy najkrwawsze
Chciałam w pieśń zamknąć, jako do mogiły,
Składano niegdyś łzawnicę! I zawsze,
Przy pierwszym słowie odbiegły mnie siły.

Czem suknia karła dla członków olbrzyma,
Tem ludzkie słowo dla ludzkiej boleści.
Duch nieśmiertelny ledwie się utrzyma
Pod jej ogromem, — jakże w dźwięk ją zmieści?

Nad grobem siadłszy, harfę oniemiała,
U smętarnego zawiesiłam drzewa.
I to milczenie co z grobów powiewa,
Usta me — jakby grób zamurowało.

Lecz wolnoż milczeć? Najdroższa mogiła,
O pieśń ma prawo upomnieć się u mnie.
Pójdź harfo! Powiedz żałośnie i dumnie,
Co posiadałam — i com utraciła!

.....

Tymczasem zdawało się, że litość Boża gotowa jest mnie wysłuchać. Zdrowie moje zaczęło padać w zwałiska. Przez długie miesiące doktorzy tracili przy mnie głowę, a ja z tajoną radością widziałam już zbliżającą się chwilę, co mnie połączy z ojcem. Ale nie dano mi było zyskać sobie tak szybko i tak tanio tę najwyższą łaskę. Nowy doktor, niespodzianie przywołany, zmienił cały sposób leczenia i na niewymowny mój smutek wyprowadził mnie z niebezpieczeństwa. Co prawda wyleczenie to było tylko pozorne, odtąd bowiem została mi już na resztę życia ta choroba sercowa, która teraz kończy swój wieloletni obieg.

A jeśli ciało nie mogło się już nigdy w zupełności podźwignąć, dusza tembardziej pozostała na zawsze z niezamkniętą raną. Taka boleść się nie zabliznia. Od straty ojca nic już nie zdołało przywiązać mnie do życia. Odtąd, jeśli żyję, to zawsze tylko

na tymczasem, zawsze wyglądając i pożądamc owej chwili „połączenia,“ którą — jak widzę — niełatwo jest sobie wysłużyć.

.

Wówczas jednak nie bez celu Bóg wracał mi nieco zdrowia. Potrzebne mi były nowe siły. Matka moja coraz ciężej zapadała. Po długich, okrutnie powtarzających się cierpieniach, zasnęła w dniu 17 marca 1869 roku.

Zgasły ostatnie światła mojej przeszłości. Nastal wieczór mego żywota.

POLITYKA KOZACKA

w ostatnich latach życia Bohdana Chmielnickiego.

IV.

Gdy tedy Siedmiogród i Szwecya usiłują w związku z kozakami rozbijać państwo polskie, na arenie politycznej zarysowały się nowe kombinacje, które paraliżowały działalność Rakoczego i Karola Gustawa. Cesarz Ferdynand zdecydował się na pośrednictwo w sporze Polaków z kozakami. W tym celu miał wyjechać do Czechrynia Piotr Parcewik, arcybiskup Marcjanopoliński i już 10 stycznia 1657 r. otrzymał list wierzytelny i instrukcyę z poleceniem natychmiastowego wyjazdu w drogę. Instrukcyja nie zawierała żadnych szczegółowych wskazówek i punktów, ale była bardzo zręcznie ułożona, ażeby z jednej strony uspokoić Chmielnickiego i usposobić przychylnie do interwencji cesarskiej, z drugiej wybadać go o przyczynach niesnasek. Poseł miał zwrócić uwagę Chmielnickiego, iż mu wiadomo, jakie układy toczyły się o pokój między Rzpltą a kozakami i toczą się jeszcze i że już nie wiele pozostało do ukończenia. Chodziło zaś głównie o to, ażeby upewnić Chmielnickiego, że co się postanowi, z pewnością dotrzymanem będzie, ażeby przekonać go o koniecznej potrzebie zakończenia sporu, gdyż w ten sposób obcym państwom, a osobliwie najbliższym sąsiadom, pokazuje się drogę do napaści i niszczenia państwa polskiego.

Cesarz przeto, którego z Królestwem Polskiem łączą dawne i dobre stosunki, przychylił się do prośby króla polskiego, przyjął pośrednictwo polubowne między kozakami a Rzpltą i w tym celu wysłał swego posła do Chmielnickiego. Ażeby tem łatwiej

dojść do celu, trzeba ażeby Chmielnicki z całym zaufaniem wszystko odkrył i opowiedział, a jeśli stanie jaka ugoda, poseł cesarski ma imieniem cesarza ręczyć za jej dotrzymanie.¹⁾

Zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że zarówno urok powagi cesarza, jak i rozsądne słowa instrukcyi mogły trochę opamiętać i przyprowadzić do równowagi Chmielnickiego. Pochlebiało mu to, że cesarz, najwyższa powaga państwowa w owoczesnym świecie, który przeprowadził zgodę między Moskwą a Rzpłtą, teraz do niego z pośrednictwem pokoju się zwraca. Sam fakt pośrednictwa, obrony Rzpłtej, ujęcia się za nią, mógł łatwo przekonać Chmielnickiego, że Polska, pomimo wojen, pomimo klęsk, nie stoi odosobniona, że pycha jego może być pokonana bronią. Dlatego poselstwo Bieniewskiego tak radośnie powitał. Gdyby nie śmierć Ferdynanda i Chmielnickiego, wypadki poszłyby inną drogą.

Welling prawdopodobnie dopiero z początkiem marca 1657 r. opuścił Czehryń, gdyż jeszcze z datą 20 lutego istnieje dodatkowa instrukcja dla niego. W każdym razie nie spotkało go powodzenie. Oprócz przyczyn, o których wspomnieliśmy wyżej, działała za kulisami inna jeszcze, bardzo ważna, a może i decydująca. Jan Kazimierz, nieugięty w nieszczęściu i niezmordowany w sposobach podźwignięcia Rzpłtej z upadku, prawdopodobnie na początku stycznia 1657 r. zwołał Radę przyboczną, aby nad wyjściem z tego położenia radzić. Postanowiono znowu udać się do kozaków: „skąd się malum zawieło (powstało) ad hoc idem mollificando recurrere.“²⁾ W tym celu postanowiono wysłać do Chmielnickiego Bieniewskiego, pisarza grodzkiego łuckiego, późniejszego wojewodę czernihowskiego. Był on dobrze widziany u kozaków, a nawet w otoczeniu kozackiego hetmana miał życzliwych sobie ludzi, mianowicie w osobie Pawła Tetery, który z kancelaryi Bieniewskiego w r. 1648 skoczył odrazu na pułkownictwo kozackie. Bieniewski, nie chcąc bez przygotowania wpaść w ul kozacki, wysłał przodem Peretiatkowicza z listami do Tetery, ale głównie z ustnemi poleceniami. Czy już kozacy mieli dosyć tego bezcelowego, bezpożytecznego szamotania się, ciągłego kręcenia się w wirze intryg i obłudy fałszywych przyjaciół, któ-

¹⁾ Archiw Jużnej i Zapad. Rossii. T. III, str. 593, 594.

²⁾ „Pamiętniki izdan. Kijew. Komissijeju.“ T. III, wyd. II (1898). „Pamiętniczek Krzysztofa Peretiatkowicza“ z r. 1657—1659. W pierwszym wydaniu nie było go. Str. 342.

rzym tylko krew kozacka była potrzebna, czy wreszcie Peretiatkowicz trafił w szczęśliwą chwilę, dość że zdołał pozyskać dla myśli zgody Wyhowskiego, Teterę i starszyznę. Wzięto go wprawdzie za wartę dla ukrycia pozorów, jednak Tetera szepnął mu na ucho, aby posłańca natychmiast posłał do Bieniewskiego i naglił go do przyjazdu.¹⁾ Może ten nastrój, wywołany nową propozycją, która w szczęśliwym momencie przybyła, był przyczyną, że z Wellingiem traktowano niechętnie. W chwili przyjazdu do Czehrynia Peretiatkowicza, poseł szwedzki jeszcze tam siedział, a może nawet doczekał się przyjazdu Bieniewskiego, ale o tych usiłowaniach Rzpltej nie doniósł swemu rządowi ani słówkiem. Widocznie nie miał przychylnych sobie ludzi i nie dość pilnie rozglądał się dokoła. Moskwa orientowała się łatwiej i lepiej.

20 marca 1657 r. przyjechał do Czehrynia Bieniewski. Oczywiście zastosowano do posła i jego otoczenia zwykłą owoczesną metodę tatarską — zamknięto ich we własnej gospodzie, pod mocną strażą „propter plebem“ — jak powiada pamiętnikarz. Trzymano ich kilka dni w odosobnieniu, ale mimo to Tetera nocą, przekupivszy strażę, zjawiał się u nich i zdawał sprawę z konferencyi z Wyhowskim. Bieniewski kilka tygodni bawił w Czehryniu i zdołał tyle wymódz, że Chmielnicki „nietylko pozwolił na revocatią Antona (Zdanowicza ²⁾) z pułkami kozaków od Węgrzyna,“³⁾ lecz także „uczynivszy, victus persvasionibus, submiszę panu przyrodzonemu i Ojczyźnie pokoju, odprawił in spe.“

Taką metamorfozę w Chmielnickim mogła wywołać sytuacja polityczna mocno nieprzyjazna Szwedom. 30 marca 1657 r. Ferdynand zawarł alians z Rzpltą, potwierdzony potem przez Leopolda (27 maja). Szwed lada dzień mógł się wycofać z Polski, a wojska rakuskie odwołać mogły niewątpliwie Rakoczego, który powodzenia nie miał. Z Moskwą stosunek stawał się coraz cięższy. Nie mógł się odgonić od różnych bojarów, diaków, gońców, którzy z coraz nowemi pretensjami przyjeżdżali do Czehrynia. Nie można było inaczej rozwiązać się, jak wrócić do Rzpltej i do przychylnego stosunku z Turcyą i Krymem. W tym też kierunku poszła polityka kozacka.

¹⁾ „Pamięć.“ T. III, str. 343.

²⁾ Szujski nazywa go Zieleniewskim, a w nawiasie dodaje (Adamowicz) i zaopatruje ten dodatek znakiem zapytania. („Dzieje Polski,“ t. III, str. 399. Lwów, 1864).

³⁾ „Pamięć.“ T. III, str. 344.

Najwcześniej rozpoczęły się zabiegi o Krym, o pozyskanie hana, mocno rozgniewanego o poddanie się kozaków Moskwie. Już tedy w kwietniu 1656 (10 st. st.) zabiegał Chmielnicki o przyjaźń hańską za pośrednictwem przybliżonego i zaufanego hana Pyrysz-agi, zapewniając, że posłowie starac się mają, „aby nigdy przysięga uczyniona naruszona nie była.“¹⁾ W ślad za tym listem biegł drugi do tegoż samego przyjaciela kozaków Pyrysz-agi od Wyhowskiego z prośbą, aby „poprzysięgła (kozakom) przyjaźń według umowy raczył dotrzymywać, jeśliby jacy naszy nieprzyjaciele złym udaniem nadpsować nam zachowalej łaski chcieli, bacznie przestrzegaj W. Mój M. Pan; gdyż J. M. Pan Hetman dla tego z umysłu tych wyprawuje posłów, aby ci o naszym statecznym dotrzymywaniu opowiedzieli i coby dalszemu ugruntowaniu braterstwa naszego służyć mogło, postanowili.“²⁾ Już samo rozmyślnie ukrywanie tematu pertraktacyi z Tatarami daje wskazówkę, że głównie chodziło tu o Moskwę, o pozyskanie przyjaźni tatarskiej na wypadek orężnego z nią zatargu.

Tak samo zabiegał Chmielnicki o pozyskanie sobie Turcyi, dokąd w marcu 1657 r. wysłał Ławryna Kapustę,³⁾ tytułując padyszacha „Dominum nostrum supremum“ i prosząc Kijaja-beja, aby wobec padyszacha „kozackie poddaństwo i wierność mądrze przedstawił.“ A działo się to właśnie w momencie, kiedy w Czehryniu Wyhowski tak ostro traktował Wellinga, a tajemnie porozumiewał się z Bieniewskim (marzec 1657 r.). Ale i tym razem ostrożny Wyhowski właściwego celu poselstwa nie wyjawia, pozostawiając je ustnej relacyi Kapusty.

Mimo rozmaite zaskoki Chmielnickiego, mimo łajania Polaków wobec Szwedów i Moskwy, polityczne stosunki z Rzpltą zadzierzgały się coraz silniej i przybierały cechę szczeroci. Przez odjeżdżającego Bieniewskiego Wyhowski pisał list (9 kwietnia 1657 r., z Czehrynia) bardzo pokorny i wiele obiecujący. Powo-

¹⁾ Biblioteka Czartoryskich w Krakowie. Rps. № 402, fol. 159.

²⁾ Biblioteka Czartoryskich w Krakowie. Rps. № 402, fol. 99.

³⁾ „His ita constitutis legatum nostrum certae militiae commendantem Laurinum Kapusztą dictum ad Portam Otthomanicam ad invictissimum ser. potentissimum excellen. Turcarum Imperatorem, Dominum nostrum supremum, expeditivimus, ut ille nostram eidem subjectionem et constantem fidelitatem nostro nomine contestaretur. Ideo V-ram etiam Illustritatem obnixè rogamus suae majestati Turcaicae nostram erga eandem subjectionem, fidelitatem sapienter eidem exponat. Nos sua Majestas ipsi obedientes et fideles servitores esse sciat.“ (A. J. Z. R. Cz. III, t. VI, str. 217.)

ływał się na dawną swoją życzliwość i usłużność dla Rzpltej, ale oświadczał, że „woli się świeższą, której się oczy Pana Bieniewskiego, posła W. K. M. Pana mego Miłościwego doskonale napatrzyli, popisywać życzliwością.“ Powoływał na to Bieniewskiego, jako świadka, „że póty zmysłem swoim nie dał odpoczynku, póki, acz nie pożądaný cale, poczęciu jednak dobry desiderii W. K. Mości uczynił koniec.“ W końcu pisze: „Życzyłbym, aby tenże akt (zgody) Bieniewski swoją terminował industrią, ponieważ go Pan Bóg praecipua do takowych spraw instruxit habilitate; jakoż i z dobrze zrozumianych humorów naszych, nie trzymam, aby kto miał być na to sposobniejszym.“ ¹⁾ Równie życzliwy był list samego Chmielnickiego. Usprawiedliwia się gorąco z tego, co się stało, rad, że się może nowym dowodem życzliwości popisać, składa winę na „języki przewrotne,“ dziękuje za darowanie przewinień i obiecuje starać się, aby i król doznał „ukontentowania.“ „Dlatego też — pisze dalej — z p. Bieniewskim o rzeczach, od W. K. M. powierzonych, rozmawialiśmy, ugadzając cale, aby W. K. M. majestat w poniewieranie i nasze swobody nie poszły w upadek. Że jednak ultimatium finem desideria W. K. M. nie wzięły, przyczyny tenże Bieniewski opowie, z nami traktowanych rzeczy wyłoży porządek, czemu wszystkiemu, mniemamy, dostatecznie, jako człowiek fidei rectae i dobrej experientii, wystarczy. I z tej przysługi zarobi na to, że nie przez innego będzie ten akt, jeśliby Bóg pozwolił, jeno przez niego terminowany, czegobyśmy i życzyli.“ ²⁾

Równocześnie z listem Chmielnickiego do króla, Wyhowski pisał do kanclerza Korycińskiego, zapewniając, że „wszystkie siły swoje stosując (dążyć będzie do tego), aby pożądana zajętrzonych i upartych differencii metamorphosis z dobrem obojej strony zbudować się mogła.“ ³⁾

Z samego tonu tych listów wieje chęć do zgody. Z kancelaryi czechyńskiej wychodziły często listy nie w tym celu, ażeby prawdę wykryć, lecz raczej, aby ją ukryć, ale wówczas chowała się ona bądź w ogólnikach, lub objawiała się tylko przez usta

¹⁾ Biblioteka Czartoryskich w Krakowie. Rps. № 402, fol. 155.

²⁾ „Pamięć,“ t. III, str. 239, 240. List poprzedni cytowaliśmy według oryginału, zaopatrzonego liczbą słowiańską 9. List zaś B. Chm., datowany 18 kwietnia starego stylu, gdyż Wyhowski na tym liście, któryśmy dopiero co cytowali („Pamięć,“ t. III, str. 238) dodaje wyraźnie: „die 18 aprilis veti styl. 1657.“

³⁾ Ibid.

posłańców. W terażniejszej korespondencji dążenie kozackie wyrażało się zbyt otwarcie, ażeby w szczerłość można było wątpić. Ukrywać to dążenie należało raczej wobec Szwedów, a szczególnie Moskwy.

Listy, któreśmy cytowali, wiózł niewątpliwie Bieniewski. Wracał na Sokal. Stała tam partya wojska polskiego, koło której skupiła się przypadkowo grupa senatorów. Bieniewski zetknął się z nimi i o szczęśliwym przebiegu pertraktacyi z Chmielnickim opowiedział. Śnać wiara w pomyślny koniec wspólnych nieszczęść, jaką był przeniknięty Bieniewski, udzieliła się obecnym i napełniła ich radością, jaką odczuwać tylko może ten, kto na długi szereg wspólnych klęsk patrzył, kto uspokojenia gorąco pragnął, upatrując w niem początek lepszej przyszłości. Napisali tedy do Chmielnickiego list (17 maja 1657 r.), jaki tylko z duszy, miłującej Ojczyznę w niedoli, mógł wypłynąć. Grupa ta bezimienna, podpisana „przyjaciele,“ dziękowała mu za to, że „dulce nomen pacis wprowadza do Ojczyzny naszej,“ że „jungit et sociat jedne członki i serca z dawności naszych.“ Znając podejrzliwość kozacką, starali usprawiedliwić się poniekąd z przypadkowego i krótkiego pobytu w Sokalu, gdyż z posiłkami cesarza niezadługo ku Wiśle wyruszą, że wreszcie unikają wszelkich starć, a nawet pozoru nieprzyjaźni z kozakami. Słowem, list oddychał taką ufnością i pragnieniem naprawienia popsowanych stosunków, że mógł się wydać szczerym nawet Chmielnickiemu.¹⁾

Wiele zależało Rzpltej na uspokojeniu, ale i nad kozaczyzną zbierały się chmury. Niedaremnie Chmielnicki posyłał Kapustę do Konstantynopola z pokornymi listami. Ani w Krymie, ani w Carogrodzie nie życzo no sobie wzmocnienia się Moskwy, której

¹⁾ „Dziękujemy—pisali „przyjaciele“—i za to, że W. Pan tanto affectu posła J. K. M. przyjąwszy, położył testimonium na nim, kogo praeferebat w osobie swojej. Quid desperandum o dalszym terminie et de lumine ipso solis M-tu Pańskiego J. K. Mości, że W. M. Pan całą ku niemu concepisti życzliwość, gdy na radios jego mile poglądałeś. Jako tedy inclinatią W. Pan do nas habemus ratam, tak animum Rzpltej i wojska testamur procliren zupełnie do tego, y niebo samo ad decernendam veritatem bierzemy sobie, et ad uteiscendam, za naypierwsze iudicium, iż szczyrą confidentią idziemy i vota nasze prosequemur do jednostajnej z W. M. Panem przyjaźni naszej... O to tylko prosimy pilnie, żeby stąd żadna diffidentia y scropulosae opinione z niechętnych jakich conceptów niezachodzili, żeśmy tu na ten tydzień dla spoczynienia wojska ściągnęli.“ (Biblioteka Czartoryskich, Kraków. Rps. № 402, fol. 197).

zaborcza polityka sięgała do Azowskiego morza i prawie do bram Perekopu. Póki Chmielnicki siedział cicho i sam tylko walczył z Polską, patrzono na tą walkę wyrozumiale, jako na szczęśliwy bunt poddanych, który prędzej lub później ukrócony być musiał. Ale z chwilą, kiedy Chmielnicki zligował się ze Szwedami, z Rakoczym, a nawet Wołoszczyznę i Multany pociągnął ku sobie, począł występować jako samodzielny władca, zawierając sojusze z wasalami obcego państwa,—stawał się groźnym już nietylko Polsce, ale Turcyi i Krymowi. Na to ani padyszach, ani han nie mogli patrzeć spokojnie. Wojna z muzułmanami wisiła nad kozaczą. Stąd zabiegi kozackie w Krymie i w Carogrodzie. Uniknąć tego można było, wróciwszy tylko do normalnych stosunków z Rzpltą. Chwila ta zbiegła się z poselstwem Bieniewskiego. Nic dziwnego przeto, że ją powitano radośnie.

Zdaje się, że inicjatorem owego listu od „przyjaciół“ do Chmielnickiego był hetman koronny Stanisław Potocki, który wówczas w Sokalu przebywał i wnet po odjeździe Bieniewskiego, bo już 23 maja, zawiadomił króla o szczęśliwie nawiązanych rokowaniach w Czehrynie.¹⁾

Jan Kazimierz skwapliwie musiał przyjąć tę dobrą nowinę, bo już 13 czerwca wyprawił Bieniewskiego do Czehrynia z instrukcją. Układ tej instrukcyi i jej charakter nietylko nosiły na sobie cechy podniosłej chęci zakończenia bratobójczej walki, ale i rada była Rzplta przedstawić na oczy Chmielnickiemu dalsze niebezpieczeństwa dla Ukrainy, już i bez tego zubożałej, rozbitej i wyludnionej. „Deklaruje się przeto J. K. M. przed Bogiem, iż i sam, i wszystkie stany Rzpltej rzetelnej, prawdziwej, nigdy nieodzownej życzą z urodzonym hetmanem i wszystkim wojskiem zaporoskiem jedności; to cokolwiek z obydwóch stron stało się za grzechy, sprawiedliwości Boskiej ofiarując i wieczną zakopywając niepamięcią i tej szczeroci prawdziwej i rzetelnej ze strony swojej świadkiem i sędzią Najwyższego wzywając.“ Bieniewski miał przedstawić Chmielnickiemu rzeczywiste dzisiejsze położenie polityczne, bardzo nieprzychylnie układające się dla kozaków, aby ich tem chętniej do zgody nakłonić. Miarą rzetelnych pragnień pokoju ze strony Chmielnickiego miało być: jeśli już odwoła od Rakoczego wojsko kozackie, jeśli zaraz przystąpi do spisania i podpisania punktów i jeśli przeciw Szwedom pośle jaki dziesiętek tysięcy kozaków.

¹⁾ „Pamięć,” t. III, str. 240.

Uderzającą jest w instrukcyi ta okoliczność, że oprócz jednego—powrotu do posłuszeństwa kozaków—brak w niej zupełnie punktów, któreby poszczególnie miały być przedmiotem pertraktacyi z Chmielnickim, brak zupełnie warunków obustronnych, na którychby się zgoda oprzeć mogła. Niewątpliwie było to rozmyślne pominięcie. Nie można było krępować ani Bieniewskiego, ani Rzpltej, gdyż wobec warunków, proponowanych przez Szwedów i Rakoczego, nie było już złych do przyjęcia. Prawdopodobnie przeto, że Bieniewski otrzymał, oprócz pisanej instrukcyi, ustne polecenia i pełnomocnictwa. Głównie chodziło o to, aby „prędko skończyć, umówić, spisać, podpisać,” a potem dopiero oznajmić Moskwie, że wracają do posłuszeństwa Rzpltej i życzą sobie, ażeby między carem a Rzpłtą panował pokój.¹⁾

V.

Gdy Bieniewski w drogę się puszczał, zbliżał się poseł carski Buturlin do Czehrynia, a poseł króla szwedzkiego Gustaw Lilliecrona, zaopatrzony we wszystkie pełnomocnictwa i w szeroką a drobiazgową instrukcyę, stanął w stolicy hetmańskiej 9 czerwca. Los tak pokierował polityką północy, że trzy potężne państwa walczyły o zdobycie względów kozackiego hetmana. Była to chwila niezmiernie doniosła, a dla Ukrainy decydującej ważności. W czyją stronę byłby się pochylił Chmielnicki z całą świadomością i jasnością celu, ta byłaby niewątpliwie zwyciężyła. Ale, jak często się zdarza, wplotła się tu fatalność, która ciążyła nad polityką: była to chwiejność Chmielnickiego i jego stosunek z Moskwą. Wybór był nadzwyczajnie trudny: związek ze Szwecyą nie miał przyszłości, mógł tylko chwilowo służyć jako hamulec do powstrzymania nadmiernego rozwoju i ekspansyi w kierunku południowo-zachodnim W. Ks. Moskiewskiego, jako też osłabienia Rzpltej Polskiej; związek z Rosyą, jakkolwiek mógł wydawać się z początku bardzo korzystnym, miał wszelkie cechy nieobmyślnego czynu, rzucenie się na oślep bez zbadania warunków życia i polityki ościennego państwa. Rozdźwięk zaznaczył się prawie nazajutrz po przysiędze i już tylko mógł pogłębiać się. O wolnościach politycznych nie mogło być mowy, bo owoczesna Mo-

¹⁾ „Pamięć,” t. III, str. 244.

skwa sama o nich nie miała pojęcia. Pozostawał tylko powrót do Rzpltej, jako ultima ratio, jako jedyna konieczność dziejowa, na której tle zarysowywała się przyszłość narodu wstępującego krwawo na widownię życia państwowego, narodu zdolnego, silnego, zamieszkującego kraje żyzne, mogącego się łatwo oprzeć o morze Czarne. Zdaje się, że dopiero w ostatnich momentach życia Chmielnickiego i sam on, i w otoczeniu jego poczęto pojmować jaśniej sytuację polityczną. Ale tragiczny los nie przeznaczył Ukrainy do samodzielnego życia. Śmierć przerwała życie kozackiego hetmana w chwili właśnie, kiedy mogło się rozpocząć nowe życie dla Ukrainy.

Nic też dziwnego, że w takim ważnym momencie dziejowym trzy państwa, a nawet Siedmiogród, robiły zabiegi o pozyskanie Chmielnickiego.

Zacniemy od Szwecyi.

Hr. Lilliecrona około połowy kwietnia 1657 r. wyjechał z Zawichosta przez Kraków, Węgry, Siedmiogród i Wołoszczyznę do Czehrynia. Król szwedzki nie tylko polecał swemu posłowi zawarcie „najściślejszego sojuszu“ z Chmielnickim, lecz także w „najkrótszym czasie.“ Karol Gustaw już był rozpoczął rokowania przedwstępne o pokój z Rzpltą, chodziło mu tedy bardzo o to, aby większy wywrzeć nacisk na Polskę przez Rakoczego i Kozaków. Jakkolwiek pragnął się wycofać z wojny polskiej, aby tem skuteczniej bronić się od Moskwy, udawał jednak, że pragnie dalej „energicznie prowadzić wojnę,“ aby tembardziej zachęcić kozaków do niesienia mu pomocy.

Drugim ważnym powodem poselstwa Lilliecrony do Czehrynia było rozbudzenie nienawiści kozaków do Moskwy i usilne staranie o oderwanie ich.¹⁾ Wysuwano tu te same argumenty, którymi posługiwał się już Welling: zaborczość Moskwy, rozciągłość jej pretensyj na różne kraje, niebezpieczeństwo dla kozaków, możność uwolnienia Kijowa i innych miast od garnizonów moskiewskich, a wreszcie potrzebę utworzenia stałej linii komunikacyjnej między kozakami a Szwedami przez Smoleńsk, czem stały się „sąsiadem“ Szwedów.²⁾ Tkwiło w tem więcej pochlebstwa, niż polityki, więcej chęci popchnięcia kozaków przeciw Moskwie, niż realnych dla nich korzyści. Ostateczny rezultat tego poselstwa streszczał się w krótkich bardzo słowach: Karol Gustaw prosił

¹⁾ Archiw J. Z. R. T. III, cz. VI, patrz instrukcja Lillienconie § 9, 10.

²⁾ Istrukcyja, 262, 263, § 12.

o wysłanie jeszcze, oprócz posiłków, udzielonych już Rakoczemu, do Brześcia 20 lub 30,000 kozaków.¹⁾

Niezależnie od misyi wobec kozaków, Lilliecrona miał jeszcze polecenie „przyciągnąć Tatarów wszelkimi sposobami na swoją stronę i przekonać ich, aby opuścili sprawę Polski i Jana Kazimierza.“²⁾ I tu argumenty były dobrze znane: niedopuszczyć do wzmocnienia się Moskwy i Rzpltej polskiej, jako przyrodzonych wrogów Tatarów. Ale do przeprowadzenia tej polityki były ważne przeszkody. Szwedzi i szwedzka polityka nie miały dla Krymu żadnego znaczenia: woleli przeto, z Polską idąc razem, walczyć przeciw Moskwie i osłabiać ją, niż wzmacniać przez osłabianie Polski. Groźniejszym był blizki nieprzyjaciel, niż pożytek z bardzo dalekich przyjaciół. Najważniejszym wszakże było to, że Karol Gustaw, dając bardzo stanowcze instrukcye hr. Lilliecrona, nie dał mu pieniędzy na ugłaskanie hana, a chciał, jak i poprzednio, ażeby Chmielnicki „ręczył“ za króla albo ułatwił mu zdobycie pieniędzy w Krymie „na podarunki.“³⁾

Poselstwo szwedzkie nie osiągnęło wielkich rezultatów na dworze czehryńskim. Z obu stron zadowalano się grzecznościami i komplementami. Powitanie Lilliecrony było niezbyt obiecujące na przyszłość. Powiedziano mu otwarcie, że jeśli z tem przyjechał co i Welling, to niema co robić w Czehryniu, gdyż Chmielnicki niechce mieć z nim żadnych stosunków.⁴⁾ Czy to był manewr tylko ze strony kozackiej wobec tego, że właśnie w Czehryniu siedział już od tygodnia prawie Fiodor Buturlin, nie wypadło przeto w jego obecności porozumiewać się z posłem obcego mocarstwa. Czy też może nawiązane stosunki z Bieniewskim i wiadomość, że późniejszy wojewoda czernihowski do stolicy kozackiej się zbliża, a wiadomo było w jakim celu jedzie, wszelkie przeto układy ze Szwedami stawały się bezprzedmiotowymi — czy może inne przyczyny wpływały na odpowiedź kozacką, trudno domyślić się. Po krótkiej rozprawie postanowiono jednak poselstwo przyjąć. Mogło to imponować Moskwie i uczynić ją łagodniejszą. Po bardzo szorstkim wstępie nastąpił okres wzajemnego komplementowania się.

1) Ibid. § 13. 264.

2) Ibid. § 19, 266.

3) Instrukcya, 268, § 21, 22.

4) Archiw J. Z. R. t. III, cz. VI. List Gust. Lilliecrony z Czehrynia 12 czerwca 1657 r., str. 294.

Jakkolwiek instrukcyja dana Wellingowi zasadniczo w niczem nie różniła się od instrukcyi Lilliecrony, kozacy swoje gburowate zachowanie się starali usprawiedliwić niewłaściwem zachowaniem się Wellinga. Kto chce uderzyć, ten kij znajdzie. Welling miał jakoby powiedzieć, że król szwedzki chce zatrzymać dla siebie Kamieniec i Lwów aż do Baru, jakoteż inne kraje, a gdy kozacy pragnęli mieć te prowincye pod swoją władzą, Welling miał zapytać otwarcie: „Po co wam tak dużo ziemi i czy zdołacie ją obronić?“¹⁾ To miało oburzyć Chmielnickiego. Jak się domyślać można, całe to nieporozumienie było tylko nieporozumieniem: chodziło tu zapewne o te pretensye, które miał Rakoczy do Polski, a które były przed rokiem prawie przedmiotem układów ze Szwedami. Nie przeszkadzało to Lilliecronie — stosownie do instrukcyi — ukrywać przed Rakoczym cele pertraktacyj z kozakami.²⁾

Pomimo wszystko, Chmielnicki nie chciał zrzec się „przyjaźni“ z Moskwą, gdyż „Turcy i Tatarzy coś złego zamysławiają przeciw kozakom, muszą oni przeto, na wszelki wypadek, zapewnić sobie pomoc przyjaciół.“³⁾ Ale „przyjaciele“ mieli i swoich kłopotów dosyć.

Rezultat pertraktacyj, jak już wspomniałem, nie był wcale zadowalający: same ogólne lub przyrzeczenia nieokreślone. Kozacy żądali dla siebie „całej połaci Polski od Wisły aż do Czehrynia.“⁴⁾ Apetyt wzrósł znacznie. Przed 9-iu laty żądano tylko po Słucz. Nowe żądania nie miały ściślejszych granic, ale też nikt tego naseryo nie brał, nawet w obozie Chmielnickiego. Co do pomocy orężnej, powiedziano, że hetman „postara się zebrać około 20,000,“ co do pośrednictwa w sprawie pokoju z Moskwą — pośle gońca. Obiecywano także, ażeby wstrzymać Tatarów, mających wtargnąć w granice Mołdawii, Wołoszczyzny i Siedmiogrodu, wysłać 300 czajek na morze, pocieszano zaś tem, że 200,000 kozaków stoi pod bronią.⁵⁾ A rezultat? Kozacy się nie ruszyli, czajki nie wystąpiły na morze, posiłków żadnych nie dano, pośrednictwo traktowano w Moskwie, jako mieszanie się w sprawy nie swoje, a kraj „od Wisły do Czehrynia“ pozostał w ręku Rzpltej

¹⁾ Archiw, t. III, cz. VI, str. 295.

²⁾ Ibid. 268.

³⁾ Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 296.

⁴⁾ Arch. J. Z. R. t. III, str. 557.

⁵⁾ Ibid. 298, 299.

aż do końca prawie XVIII w. Chmielnicki poszedł tak daleko, że zdołał nawet powstrzymać Lilliecrona od podróży do Krymu jednym argumentem tylko, że „teraz nie jest czas stosowny do tego.“¹⁾ Poseł szwedzki tem chętniej uznał słusność tego argumentu, gdy się dowiedział, że han posłów do więzienia sadza i że nie miał pieniędzy na bakszysze. Zadowolnił się tem tylko, że Chmielnicki „ma wojsko w pogotowiu i może je przerzucić albo na Krym, albo na Moskwę.“²⁾ O Polsce Chmielnicki nie wspomniał.

Pomimo zupełnego nieudania się poselstwa szwedzkiego, Lilliecrona pozostał w Czehryniu, oczekując na wyjaśnienie się sytuacji. Dowiedział się tyle tylko, że han zdecydował się stanowczo pomagać Janowi Kazimierzowi i w tym celu, dla wykonania dywersyi, ruszył ku Dniestrowi i że część Tatarów wtargnęła w kraje kozackie. W Czehryniu zapanowało zupełne rozprzężenie. Stary hetman dogorywał. Pułkownicy kozacy, wysłani przeciw Tatarom razem z młodym hetmanem Jurasiem Chmielniczenkiem, kłócili się ze sobą, a nowego hetmana nikt nie słuchał. Lilliecrona niezawsze dobrze oryentował się w tym chaosie i nieładzie, w nieustannem krzyżowaniu się obłudy, intryg i zawiści. Wierzył, że nie mógł nic zrobić dlatego tylko, że trafił na czas „zamętu i nieładu.“³⁾ Gdy Lilliecrona nacierał o stanowczą odpowiedź, uskarżając się na przewlekanie sprawy, Wyhowski odpowiadał mu, że: „życzeń szwedzkich nie mogą tak rychło spełnić, jakby tego sami pragnęli, bo przedewszystkiem hetman, z powodu słabości, nie może powziąć stanowczej decyzji; że zostali nieoczekiwanie wciągnięci w wojnę, ci zatem, których podpisy przy zawarciu sojuszu byłyby potrzebne, nie są obecni; w końcu muszą jeszcze porozumieć się z księciem siedmiogrodzkim, co do przyszlých granic.“⁴⁾ Na dalsze nalegania posła, odpowiedziano już mu prawie kategorycznie: „Hetman i wojsko zaporoskie nie sprzeciwiają się wcale, aby z całą chęcią podtrzymywać Szwedów, lecz że oni nie obowiązują się i nie mogą zrywać przyjaźni z tymi, komu przyjaźń przysięgli i z którymi dobre stosunki zachować muszą, osobiwie teraz, gdy ze wszech stron grozi im niebezpieczeństwo.“⁵⁾

¹⁾ Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 297.

²⁾ Ibid. 300.

³⁾ Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 314.

⁴⁾ Ibid. 315.

⁵⁾ Ibid. 315.

Chodziło tu o Moskwę. Szwedzi źle sobie zdawali sprawę ze stosunków kozackich. Kozacy mówili o „przyjaźni“, gdy w Perejaślawiu zawarte zostało nie przymierze z Moskwą, lecz przyjęto kozaczyznę „w poddaństwo“. Słusznie jednak domyślał się Lillienrona, że główną sprężyną, poruszającą polityką kozacką, był Wyhowski, który umyślnie wstrzymywał wszystkie sprawy wobec zbliżającej się śmierci hetmana. Chciał mieć ręce wolne. Oliveberg, który już był zdołał zrzucić w tym czasie sukienkę zakonną, prowadził, jak się wyraził poseł, „podwójną grę“. Już go zdołała, zdaje się, kupić Moskwa. Sprawa szwedzka była przegrana, wyprawa Rakoczego po koronę do Rzpltej, czyli, jak w Polsce mówiono, „po czosnek“, zakończyła się sromotnie, Antoni Zdanowicz został odwołany, chociaż Chmielnicki nie przyznawał się do tego wobec posła szwedzkiego i powrót jego uważał za samowolny i zagroził mu śmiercią.

W takiej sytuacji Lillienrona doczekał się zgonu Chmielnickiego, a nazajutrz już po śmierci hetmana pisał, że „Kancelerza (Wyhowskiego) podejrzewają jakoby miał zamiar powstać przeciw nowemu hetmanowi i przejść na stronę wrogów (Polaków).¹⁾

Gdy tedy z jednej strony poseł szwedzki robił wysiłki, aby Chmielnickiego pozyskać dla sprawy Karola Gustawa, w Czehryniu siedział Buturlin i nietylko paraliżował całą politykę kozacką, usiłując wszystkich przekupić lub przejednać, ale skrycie także wybadać nastrój kozaczyzny i otoczenia hetmana. Zanim jeszcze do Czehrynia dojechał, zaniepokoił go mocno Ostafi Wyhowski, ojciec Jana, opowiadając o tem, jakie wrażenie wywołała wiadomość o zawarciu rozejmu z Rzpltą przez Aleksieja Michajłowicza. Posłowie kozaccy padli do nóg hetmana z płaczem, wołając: „Zginęło wojsko zaporoskie, a pomocy nie mamy znikąd, nie mamy gdzie głowy przytulić.“ Chmielnicki musiał głęboko odczuć gorycz tej wymówki, bo sam w znacznej mierze doprowadził do tego: on wzmocnił Moskwę, on ją pełną na Polskę w chęci rozbicia państwa, a oto widział, że zwyciężyła inna polityka. Hetman, usłyszawszy to, „rzucił się, jak szalony, który rozum postradał. Nie smućcie się tem—wołał—ja wiem, co robić trzeba, trzeba oderwać się od cara, a pójdziemy tam, gdzie Bóg wszechmogący być nam przeznaczył—nietylko do chrześcijańskiego pana, lecz nawet do busurmanów.“²⁾

¹⁾ Arch. J. Z. R. t. III, cz. VI, str. 321.

²⁾ Archiw Jużnoj i Zapadnoj Rossii. T. III, 556. Petersburg 1863.

Wogóle usposobienie w wojsku zaporoskiem przeciw Moskwie było bardzo nieprzychylnie. Buturlin musiał robić niezwykle wysiłki, aby najprzód usposobić życzliwie całą rodzinę Wyhowskiego, a następnie Chmielnickiego przekonać, jeżeli nie argumentami, to strachem. A spraw do wyjaśnienia było dużo i należało wyjaśnić stosunek do Rakoczego, do Szwedów, uregulować sprawę ulokowania stałego wojska w Kijowie, a w końcu pozostawała jeszcze najważniejsza i najdrażliwsza: wiele jest prawdy w pogłoskach o oderwaniu się Chmielnickiego. Buturlin przypomniał mu chwile ciężkie, kiedy musiał walczyć z Tatarami i Polakami, wówczas klaniał się, prosił o pomoc, był bardzo niziutki (dobrze nizok) i z przyjaźnią się oświadczał. „Można—powiadał mu poseł—suknie zmieniać, ale słowa—nie.” A przecież i dzisiaj car trzyma ciebie w swoim miłowaniu, porzuć tedy nieprzystojne i wysokie zamiary.“

Chmielnicki usprawiedliwiał się bardzo pokornie, ale wykrętnie i nieprawdziwie. „Zapewniam was — mówił — że ani ja, ani też nikt z mieszkańców Małej Rusi od mocnej ręki Carskiego Wielicestwa nie odstępuje, prosimy przeto, abyście naszą prośbę modlitewną Carowi donieśli, aby Carskie Wielicestwo nie wierzył tym, którzy nas przed nim ogadali. A że my sobie Szweda i Rakoczego przybrali do pomocy, nie zawiadomiwszy Carskiego Wielicestwa, uczyniliśmy to ze strachu, gdyż Lachowie, z wielką fantazją, pod klątwą opowiadali, że Jego Wielicestwo nazad nas do Lachów obrócił i dlatego także, ażeby Lachowie nie połączyli się ze Szwedem i Rakoczym na zgubę naszą. Ale wcale nie życzyliśmy i nie życzymy, ażeby z nich jeden lub drugi władał koroną polską. Przeciwnie, pragniemy ażeby Car ze Szwedem pogodził się i sądzimy, że Szwedzi do zgody przystąpią, a gdyby tego nie chcieli, postąpimy inaczej. A teraz starać się musimy o to, ażeby sprawę, rozpoczętą z Lachami, do końca doprowadzić, ażeby z dwóch stron — od Carskiego Wielicestwa i od króla szwedzkiego wojsko ich biło i do końca wykorzeniło, nie pozwalając łączyć się z innymi państwami.“^{*)}

Takie zakłęcia mogły trochę uspokoić Buturlina, gdyby nie to, że właśnie był przyjechał poseł króla szwedzkiego, Lilliecrona. „Niemczyn“ — jak go Buturlin nazywa — bywał u hetmana, z Wyhowskim rozmawiał po łacinie, „a tłumacza nie było“ i nie można się było dowiedzieć o celu właściwym jego przyjazdu.

¹⁾ Archiw J. Z. R. t. III, str. 570.

²⁾ Arch. J. Z. R. t. III, str. 575.

Poselstwo moskiewskie skrzyżowało się w drodze z poselstwem Bohdana Chmielnickiego do Moskwy. Jechał właśnie Paweł Tetera, który miał słodkobrząnięciami słowy uspokoić bojarów i cara. Poselstwo to było niezbędne. Nagromadziło się dużo palnego materiału z obu stron, dużo wzajemnego niezadowolenia i żalów. Trzeba było to wszystko wyjaśnić, a raczej zagmatwać jeszcze więcej. A najważniejszą sprawą była obrona przed zarzutem oderwania się od Moskwy. Ze Chmielnicki do tego dążył, to nie ulega już teraz żadnej wątpliwości: dowodzą tego stosunki ze Szwedami, z Rakoczym, wreszcie z Rzplątą polską. Zaprzeczał im wszakże, ukrywał je przed Moskwą, a na krok stanowczy zdecydować się nie mógł. Czy go już była opanowała niemoc starcza, czy czekał jakiejś stanowczej chwili, ażeby miecz swój na szali położyć — trudno dziś orzec.

Przed Moskwą wykręcał się, zaprzeczał szerzonym pogłoskom, tłumaczył się przez Teterę, że lękał się, ażeby car nie odstąpił Lachom Ukrainy, a z chwilą, kiedy dowiedział się, że to nieprawda, że car pragnie „kozaków zatrzymać w swoim miłościwym żałowaniu na wieki, oddaje się ze wszystkim na wolę Carskiego Wieliczestwa.“ Brzmiało to wszystko bardzo wiernopoddanie, ale w tym samym czasie, kiedy z Lilliecrona prowadzono układy, siedział już Bieniewski w Czehryniu, przyjechał, ażeby wszystko „ukończyć, spisać, podpisać;“ do życzenia króla, aby Antona Zdanowicza cofnął, Chmielnicki zastosował się, a przedtem już była bardzo gorąca korespondencya między senatorami, kanclerzem Korycińskim, królem wreszcie a Chmielnickim. W jaki sposób to usprawiedliwić?

Hetman chwycił się tego samego sposobu, który pomyślnie stosował Iwan Mazepa w polityce swojej z Piotrem W., gdy prowadził układy z Leszczyńskim i Szwedami za pośrednictwem Dolskiej. Odkrywał tylko pół prawdy, ażeby całą zakryć.

Tetera był wtajemniczony w stosunki z Bieniewskim, był pośrednikiem i łącznikiem niejako, mimo to Chmielnicki jemu powierzył wyjaśnienie tej drażliwej sprawy. „Zawiadaniom — mówił Tetera — o tem, że król przysyłał do hetmana gońca z zapytaniem: czy przyjmie Chmielnicki królewskiego posła, czy nie? A posłem będzie Bieniewski. A jeżeli on tego posła nie przyjmie, to król już więcej nikogo do niego nie poszle. Hetman tego gońca odprawił, a Bieniewskiemu przyjechać pozwolił i czeka na niego.“ Najbardziej wszakże charakterystycznymi były motywy, którymi przyjęcie poselstwa Bieniewskiego usprawiedliwiano. „A od gońca, który przybycie posła poprzedził, wiadomość była

taka, że król posyła Bieniewskiego do hetmana z tem, że jeśli hetman i Carskie Wielicestwo nie uczynią pokoju z królem, to Polacy z konieczności chcą się poddać sułtanowi, a jeśli istotnie zmuszeni będą poddać się Turczynowi, wówczas, mimo chęci, z hetmanem i wojskiem zaporoskiem walczyć będą zawsze. Z tego powodu hetman kazał prosić Jego Wielicestwo, aby car z kimkolwiek pokój zawarł.“¹⁾

Wątpić należy, czy bojarowie z równą naiwnością przyjęli do wiadomości powyższe motywy, tak, jak one sformułowane zostały przez posłów kozackich.

W chwili wszakże, gdy poselstwo kozackie stawało przed bojarami „do odpowiedzi,“ naczelny wódz kozacki już nie żył. Otworzyło się szerokie pole do waśni i intryg kozackich. Wyhowski objął władzę, po krótkich umizgach do Moskwy, zerwał z nią i z tym samym Bieniewskim, z którym miał traktować Chmielnicki, zawarł ugodę Hadziacką. Ale te wypadki już do opowiadania naszego nie należą.

*

*

*

Czytelnik, który myślą śledził szamotanie się polityczne Chmielnickiego, przerzucanie się kolejne do Szwedów, Rakoczego, wreszcie do Rzpltej, balansowanie między Moskwą a szukaniem przyjaciół na północy i południu, opuszczanie jednych lub drugich i nawracanie do Rzpltej — nie może nie dziwić się brakowi konsekwencji, stałości, planu i celu w tem gorączkowym rzucaniu się. Mimo najlepszej chęci, niepodobna dopatrzeć się w jego polityce żadnej idei kierowniczej. Jeżeli ze Szwedami układał się o łupy na Rzpltej, tworząc niemożliwe kombinacye bez uwzględnienia prawdopodobieństwa ich wykonania, to z równą łatwością rozstawał się z nimi i bojarom carskim pokornie przyrzekał, że „chce pozostać w wiecznem poddaństwie Jego Carskiego Wielicestwa.“ Całe postępowanie jego w kierunku szukania związków i przyjaciół sąsiedzkich można nazwać nie polityką rozumu, rozważliwą, umiarkowaną, lecz raczej polityką impulsów, pozbawioną zupełnie da-

¹⁾ Archiw J. Z. R. T. XI, str. 722, 723.

ru orientowania się w zmieniających się szybko wypadkach i okolicznościach. Gdy Szwedzi najechali Polskę, rzucił się ku nim bez porozumienia się z Moskwą i począł się dzielić na papierze obcem państwem tak samo, jak Tatarzy dzielili się zdobyczą i jeńcami; gdy książątko siedmiogrodzkie zamarzyło o koronie polskiej, połączył się z niem z taką samą szybkością, jak ze Szwedami, nie spostrzegłszy różnicy między pychą a siłą. Tak samo, jak się łączył łatwo, łatwo go opuścił. Gdy przysłała do skutku Komisya Wileńska, rozgoryczony na Moskwę, posłał Kapustę z pokornemi słowy do Padyszacha i gdyby tylko Turcyja okazała mu tyle łatwowierności i lekkomyślności, co Rakoczy i Karol Gustaw—byłby i z nią jeszcze traktował o podział Rzpltej polskiej.

Niestałość, niepewność, chwiejność, brak rozmysłu i krytycznego orientowania się w sytuacji — oto ujemne cechy polityki Chmielnickiego. Był groźnym, groza kierowała ku niemu nieprzyjaciół Polski, a on nie umiał ani siły swojej położyć na szali, ani sformułować żądań jasnych i stanowczych. Jak na początku walki, rozpoczętej z Rzpltą, mówił głucho o „krzywdach“ i „przywilejach“ kozaczyzny, tak teraz mówił o „naszym kraju,“ rozciągając granice jego prawie fantastycznie. Moskwy obawiał się, zrywać z nią nie chciał, ale poza jej plecami prowadził ze Szwedami układy, jawnie zdążające do oderwania się. Nareszcie, gdy szala szczęścia przechyliła się stanowczo na stronę Rzpltej, nawiązał z nią ponownie stosunki, które legły później w osnowę umowy Hadziackiej.

Kiedy był prawdomównym, kiedy był szczerym? Sądzę, że na te pytania sam hetman nie byłby w stanie dać odpowiedzi.

W pertraktacyach z każdą stroną zachowywał nadzwyczajną ostrożność. W korespondencyi swojej posługiwał się przeważnie ogólnikami, mówiąc o przyjaźni, o potrzebie łączenia się, o następstwach, lecz żądania swoje wypowiadał półsłówkami, pozostawiając przez to postom swoim zbyt wiele — na własną odpowiedzialność. Polacy, Szwedzi, Rakoczy stawiali swoje żądania w instrukcyach, Chmielnicki — nigdy. Trzymał się metody dyplomatycznej tatarskiej, która po ogólnikowych frazesach brzmiąca najczęściej: „a resztę z ust posła naszego dowiedzie się.“ Wybór ludzi, którymi się w swoich dyplomatycznych stosunkach posługiwał, bywał zawsze najgorzej zrobiony: byli to sprytni pochlebcy każdej stronie, jak Tafraly, przerobiony później na Petrowa lub Piotrowicza, oszuści i wywłoki, jak Daniel de Oliveberg, który służył zawsze — więcej dającemu, albo wreszcie przybliżeni jego, na których wierność jedynie mógł liczyć — jak Ławryn Kapusta.

Słowem, zastępców, obrońców swoich, a często doradców, wyszukiwał sobie nie wśród najlepszych i najrozumniejszych, niezbyt dobrze zdając sobie sprawę między tem, co jest polityką, a co zwykłym, złośliwym lub interesownym podjudzaniem. Cały stosunek ze Szwecyą, który nic, żadnej najmniejszej korzyści nie przyniósł kozaczyźnie, nawiązany był za pośrednictwem Radziejowskiego, ambitnego zdrajcy podwakroć — bo zdradził ojczyznę swoją i Szwedów w końcu.

Jeżeli przeto zwycięstwa Chmielnickiego nad Polakami, głośne i straszne w następstwach, ale bez dowodów zdolności strategicznych, zjednały imieniu temu szeroką popularność i uczyniły go poniekąd narzędziem polityki sąsiadów, dybiących na całość Rzpltej, to sama polityka kozacka okazała się niedołączną, nieprzewidującą, pozbawioną jasnych celów, rozwagi, a w momentach krytycznych — stanowczości. Nie przyniosła też ona nietylko żadnych korzyści ani kozaczyźnie, jako warstwie, tworzącej się na wzór szlachty polskiej, ani narodowi, który można było dźwignąć z pieluch nicości cywilizacyjnej. Przeciwnie, następstwa jej były fatalne: kozaczyzna rozbiła się o mur obcego państwa, a ideały narodowe pozostały na papierze ugody Hadziackiej.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

Ruch literacki we Francyi.

(D R A M A T.)

Przez sceny paryskie przeszła w ciągu ubiegłego roku teatralnego stosunkowo bardzo znaczna liczba produkcji nowych. Przeważnie jednak są to prace mało oryginalne i pod każdym względem nie przechodzące ponad średni poziom, a nawet nie osiągające go często. Ale od tej reguły są wyjątki — jedno dla swej wartości rzeczywistej, inne dla rozgłosu, który bez, względu na ich wartość, przyniósł im sławę taką, że pominąć ich niepodobna. Do tych ostatnich należy zwłaszcza słynny „Chantecler“ Edmunda *Rostand*, o którym niema chyba na świecie tak zasklepionego zakątka, o ile posiada choćby jeden dziennik, by doń nie doszły nadzwyczajne wieści, trąbione od lat kilku przez prasę wszystkich języków. Już nieboszczyk *Coquelin*, któremu przeznaczoną była rola główna, w niecierpliwem na nią oczekiwaniu, bo nad tem dziełem pracował autor od lat siedmiu, budził zaciekawienie i wyrabiał mu przedwczesną opinię arcydzieła, deklamując z właściwym swej naturze entuzjazmem na zebraniach prywatnych znane mu już wówczas ustępy, zwłaszcza „hymn do słońca.“ Wreszcie, poruszona wskutek śmierci *Coquelin*'a kwestya, z której zrobiono kwestyę stanu, kto grać będzie rolę główną „Chanteclera,“ dopełniła miary. Odtąd wiadomo było wszystkim, że „Chantecler“ jest dziełem tak niezwykłej wagi, że sprawa obsady ról, która zwykle załatwia się pomiędzy dyrekcją teatru i autorem, musi być rozstrzyganą aż w ministeryach.

To też rozczarowanie było tem większe, gdy się okazało, że owe tak zapowiadane i tak oczekiwane arcydzieło jest poprostu dziełem chybionem, że jest równie nudne i niedorzeczne, jak nade, pretensjonalne i sztuczne. Przy jakichś tendencyach sym-

bolistycznych i satyrycznych, zresztą niezrozumiałych i niedostatecznie wskazanych, jest to utwór szczególnie płytki, którego poeta i „artyzm“ wypowiedzi się w nieznośnie długich tyradach, których sens, jeżeli się go, przy dobrej woli, w nich znajdzie, uchwycić można dopiero w ostatnim słowie, po całej kaskadzie drażniąco sztucznych kalamburów, porównań i przenośni, złożonych w wątpliwej wartości rymy. Jeżeli wogóle cała twórczość Rostanda składa się z takiego wirtuozostwa błyskotliwego, to nowej jego sztuce brak tego pewnego tchnienia sympatycznego, tego entuzjazmu, taniego wprawdzie, ale lotnego i łatwo udzielającego się masie przeciętnej publiczności, który w swoim czasie wywołał powodzenie „Cyрана“ i o wiele słabszego „Aiglon’a.“ Pozbawiony tych jedynych zalet, zagmatwany w swym niejasnym i bezcelowym symbolizmie, „Chantecler“ nie mógł dać widzom innego wrażenia nad znudzenie, zmęczenie i niesmak. Po uprzednich aplauzach, po zachwytach przygotowanych zawczasu, nastąpiły krytyki ostre i niekiedy nawet z pewną domieszką tego jadu, który autor, jakby wiedziony przecuciem, piętnuje u gadzin i nocnych ptaków, spiskujących pod osłoną mroku przeciw wszystkiemu, co jasne, piękne i wzniosłe, uosobionemu w postaci ulubieńca jutrzeńki, koguta Chanteclera. Jak poeta podnosi serca śmiertelnych do ideału, który dla nich stwarza, i szlachetnym jego blaskiem rozjaśnia ich horyzonty, tak Chantecler swem donośnem pieniem zapowiada zorzę i budzi słońce, którego promienie dają zwycięstwo pięknu i dobru nad ukrywającymi się w ciemnościach nocy: złem, zbrodnią, zdradą i szpetotą. Budzić słońce jest jego posłannictwem, jak dla poety stwarzać ideał. Wszakże jeden i drugi mają chwile zwątpienia: Chantecler—czy słońce nie wzeszłoby bez jego pobudki?, poeta—czy ideał, który on tworzy, jest naprawdę ideałem? I to ukryte zwątpienie, które odtrącają, którego dopuścić nie chcą, jest chmurą ich życia, na szczęście znikającą zawsze, gdy w tryumfalnem upojeniu posłannictwa swego dopełniają. Ta wiara w szczytność swego zadania, udzielająca się całemu kurnikowi, nad którym Chantecler panuje z władzą wspaniałomyślnego tyрана, daje mu powagę i moc wielką w jego państwie, gdzie nie ma sobie równych.

Ale wyższość ta właśnie wzbudza zarazem zazdrość i nienawiść tych, którzy przenoszą cień nad światło, a więc sów, puszczyków, kretów i t. p. Ci naturalni wrogowie światłości znajdują współnika i szpiega w szpaku, który, wygwizdując swe piosenki w klatce, zawieszanej nad podwórkiem zagrody, sili się na dowcip, improwizuje nieustannie kalambury i przypina złośliwe łatki

wszystkim mieszkańcom kurnika, szczególnie zaś lubi ośmieszać Chanteclera podczas jego nieobecności. Chantecler wszakże, ufny w swą wyższość rzeczywistą, nic sobie nie robi z jego intryg, pomimo ostrzeżeń pocziwego psa podwórzowego, który nienawidzi szpaka i jego drwiącego sprytu, pokrywającego pustkę myśli, brak serca i niską zazdrość. Tymczasem ptaki nocne wspólnie ze szpakiem układają spisek na życie władcy kurników, w którym to celu namawiają pewnego koguta z rasy walczących, by na przyjęciu u perliczki wyzwiał go i zabił. Zamach jednak się nie udaje. Ale na tem zebraniu Chantecler poznaje zbłąkaną w ucieczce przed strzelcami kurę bażanta i, zwabiony jej wdziękami, idzie za nią w las, gdzie ta, wydobywszy zeń tajemnicę jego śpiewu i zazdrosna o zorzę, dla której chce on ją opuścić, zabawia go podstępnie aż do chwili, gdy wzeszło słońce, wezwania jego nie czekając. Złudzenia Chanteclera rozwiły się, pograżając go w zniechęcenie i rozpacz. Ale to trwa krótko, bo, chociaż upokorzony, zmniejszony we własnem przekonaniu, pociesza się tem, że jeżeli słońca budzić nie będzie, to pozostaje mu jeszcze skromniejsze, lecz zawsze piękne zadanie zapowiadać jego przybycie i cześć jego śpiewać, pełniąc zarazem rzędy w kurniku, do którego powraca. Taką jest w krótkich słowach treść tej szczególnej sztuki, w której zwierzęta, zastępujące ludzi, nie mają ściśle ani charakteru ludzkiego, jak w bajkach, ani rzeczywistych, właściwych ich rodzajowi cech zwierzęcych — są to jakieś istoty nieokreślone, zrodzone w zbłąkanej fantazyi autora, wygłaszające w nieznośnie sztucznej formie banalne w gruncie i pełne nudnej pedanteryi tyrady, o symbolizmie, który zdaje się spoczywać w pogmatwaniu najniestosowniejszych porównań i najnienaturalniejszej gry słów, szumnie brzmiących, ale pozbawionych sensu.

Dodajmy do tego cudaczne i niezgrabne postacie aktorów, zamienionych z drobiazgowym realizmem na ptaki, psa (podobniejszego do pawiana), kota, króliki, świnki morskie, ropuchy i t. p., poruszające się pośród sprzętów podwórzowych, w odpowiedniej skali powiększonych, a będziemy mieli obraz tego dziwnego, a nadewszystko zabójczo nudnego przedstawienia, które rozpoczyna brzmiący równie fałszywie i niecierpliwąco nienaturalny prolog, wypowiedziany przez dyrektora przed zapuszczoną kurtyną i objaśniający widzów, że scenę od sali dzielić będzie „niewidzialna zasłona z powiększającego szkła.“

A jednak taką jest siła reklamy, że, pomimo iż nikt już złudzeń co do tego dzieła mieć nie może, sala teatru Porte Saint-Martin, który je wystawia od lutego, wypełnia się dotąd codzien-

nie, bo przecież Chanteclera, o którym tyle pisano i mówiono, „nie można nie widzieć.“ I w ten sposób fiasco moralne znajduje odszkodowanie w powodzeniu materyalnym, któreby nazwać można „nagrodą pocieszenia.“

Zwłaszcza od swej zeszłorocznej sztuki „Le Scandale,“ *Henryk Bataille* zasmakował widać szczególnie w skandalu. Ostatni jego utwór dramatyczny, grany tej zimy w teatrze Gymnase, miałby nie mniej prawa do takiego tytułu, który wszakże, tym razem, spodobało się autorowi zastąpić innym, zaczerpniętym z przypowieści ewangelicznych: „La Vierge folle.“ Jest to sztuka w czterech aktach, której treść, osnuta na t. zw. „fait divers,“ czyli wypadku, notowanym przez dzienniki w kronice skandalicznej, rozwija się, jak następuje: Słynny adwokat Armaury, przyjmowany na stopie przyjacielskiej w domu księstwa de Charence, człowiek dojrzały i żonaty, uwodzi ich córkę, Dyane, panienkę osiemnastoletnią. Rzecz się wydaje wskutek listu, który wpadł w ręce rodziców panny, napisanego w słowach nie pozostawiających wątpliwości. Zrozpaczeni takim odkryciem księstwo badają córkę, która, po niedługim oporze, przyznaje się do winy, ale czyni to w sposób zuchwały i wyzywający, jakgdyby zadawano jej gwałt, zmuszając ją do spowiadania się z czynności i uczuć, do niej tylko należących i wchodzących w zakres jej praw osobistych. Zarazem zdaje się ona nie zdawać sobie zupełnie sprawy z doniosłości swego przestępstwa, okazując, prócz gniewu, z powodu prześladowania i przymusu ze strony rodziców, którzy postanowili, za radą spowiednika księżnej, księdza Roux, wysłać ją zagranicę do klasztoru, zdziwienie z ich widocznie niezrozumiałego dla niej strapienia, troski i oburzenia. Pomimo danej im obietnicy, że woli ich nadal opierać się nie będzie, Dyana korzysta z pierwszej sposobności, by uciec do kochanka, który ją przyjmuje w apartamencie, przeznaczonym na biuro i oddalonym od jego prywatnego mieszkania. Zaczny adwokat, dowiedziawszy się, co ją sprowadza, czuje się nieco zafrasowanym i o wiele mniej pewnym siebie, niż ona, która bez wahania namawia go do wspólnej ucieczki, bez względu zarówno na skandal, jak i na obowiązki. Do jego skrupułów i wątpliwości nie tyle przyczyniają się zresztą te ostatnie, ile widoki utraty zajmowanego przez siebie stanowiska przy małej pewności, jaką przedstawia dla człowieka doświadczonego i przeżytego stałość uczuć tak młodziutkiej, zaledwie w życie wstępującej dziewczynki i to jeszcze w tak anormalnych warunkach. Zaślepienie namiętności pozostawia mu bądź co bądź tyle jasnowidzenia, by rozumieć, że może on być

dla niej tylko pierwszym etapem, który ona, ulegając tym samym prawom natury, które ją tu przywiodły, prędzej czy później i raczej prędzej niż później opuścić musi. To wszystko skłania go, by ją namawiać, wprawdzie dość miękko, do powrotu do rodziców. Ale jej nalegania, jej pewność i zdecydowanie zwyciężają jego wahania i obawy. Ucieczka ich jest postanowiona, gdy niespodzianie zjawia się żona. Armaury zaledwie ma czas ukryć kochankę w sąsiednim pokoju, ale jego żona, już uprzedzona o wszystkim przez księcia de Charence, spostrzegła ją, i korzystając z chwili odwrócenia uwagi męża, zamknęła ją na klucz i klucz zabrała. Poczem, oświadczywszy mu, że wie o wszystkim, błaga go najpierw w imię obowiązku i jej uczuć dla niego, a gdy to nie pomaga, w imię jego własnego szczęścia, jego stanowiska i interesu, które dla tego kaprysu naraża na katastrofę—jednem słowem, przemawia do jego egoizmu, czem niewątpliwie trafiłaby lepiej do przekonania męża, gdyby namiętność pozostała mu jeszcze władzę nad sobą. Wśród tego anonsuje się Gaston, brat Dyany. Po chwili zakłopotania obojga małżonków, pani Armaury wypycha męża za drzwi i sama przyjmuje młodego człowieka, który, otrzymawszy list anonimowy z wiadomością o stosunku jego siostry do Armaury'ego, przychodzi zrobić z nim obrachunek. Zdziwiony obecnością jego żony i sposobem, w jaki ta go przyjmuje, Gaston wkrótce przychodzi do przekonania, że go wprowadzono w błąd. Wtedy pani Armaury przywołuje męża z powrotem i obmyśla zręczną kombinację, wskutek której musi on albo się zdradzić, albo odjechać natychmiast z Gastonem, ale przytem oddaje mu klucz, aby wypuścić z zamknięcia Dyane, i pozbawia się przez to jedyne go atuta, który czynił ją panią położenia.

To też, gdy za chwilę, słysząc sygnał automobilu, biegnie do okna i widzi oboje, oddalających się z całą szybkością motoru, nie pozostaje jej nic więcej, jak tylko wydać z siebie rozpaczliwy okrzyk: „ach, nikczemnik!“, którym zdradza całą prawdę przed Gastonem.

Kochankowie schronili się w Londynie, ale czujność opuszczonej żony i księstwa de Charence odnalazła ich kryjówkę.

Wysłaniec tych ostatnich, ksiądz Roux, stara się najpierw nakłonić Armauryego, by oddał córkę rodzicom, przemawiając do jego poczucia obowiązku i prostej uczciwości, bo Gastonowi, który go wyzwiał w imię honoru, odmówił pojedynku, wreszcie próbuje zbudzić jego sumienie i uczucia ludzkie, malując mu rozpacz

rodziców i hańbę, jaką cisnął na uczciwą rodzinę. Na to jednak Armaury występuje przeciw przestarzałym przesądom moralności tradycyjnej i religijnej, która tłumi życie i sprzeciwia się prawom natury. Są to według niego pojęcia przeszłości, skazane na zagładę. Kto się przy nich upiera, ten musi być zwyciężonym. Jeżeli więc rodzice Dyany cierpią z powodu tego, co się stało, to niechże to samym sobie przypiszą. Zresztą ich cierpienie nie zasługuje na litość, bo jest egoistyczne, pochodzi z obrażonej pychy, dla której on nie myśli poświęcać szczęścia dwojga serc złączonych namiętną miłością. Obowiązkiem jego nie jest, jak twierdzi ksiądz, zwrócić rodzicom ich córkę, lecz przeciwnie, musi ją bronić przeciw otoczeniu, które chce skrepować jej wolne porywy, uwięzić ją w formach, przeciw którym natura jej się wzdryga i do których powrót jest już dla niej zresztą niemożliwym. Po tej nieudanej próbie pani Armaury przychodzi raz jeszcze zaklinać męża, by powrócił do niej, która dała mu tyle dowodów bezgranicznego przywiązania, której życie jest złamane, odkąd ją opuścił. Gdy jednak pokonać jego oporu nie może, zadowalnia się obietnicą, że jeżeli sam on kiedyś znajdzie się opuszczony i nieszczęśliwy, jak ona dzisiaj, to powróci do niej. Po otrzymaniu tej obietnicy czuje się niemal zadowoloną, prawie szczęśliwą. Żale księstwa de Charance już jej nie obchodzą, gdy uzyskała dla siebie wszystko, co uzyskać mogła w tych warunkach. Teraz będzie tylko czuwała nad nowem szczęściem męża i nad jego bezpieczeństwem, bo Gaston postanowił go zabić. Pieczołowitość jej posuwa się aż do przerwania wśród nocy sam na sam kochanków, by ostrzedz ich o obecności Gastona w hotelu, czem zresztą ułatwia mu zadanie, zostawiwszy niebacznie drzwi uchylone, przez które ten wchodzi z rewolwerem w rękę. Ale znowu zamiast przeciwnika, który się ukrywa, ma przed sobą kobietę, jego żonę. Gaston łączy przez drzwi tego szczególnego bohatera, który tryumfował przed chwilą przed księdzem, uzbrojonym tylko w argumenty moralne. Wreszcie ukazuje się Armaury i przybiera ton wyniosły względem brata Dyany. Gaston raz jeszcze piętnując rzuconą mu w oczy obelgą jego nikiemność, wymierza doń rewolwer, ale w tejże chwili obie, obecne przy tej scenie, rywalki: żona i kochanka, zasłaniają go, rzucając mu się jednocześnie na szyję. Gaston opuszcza broń i kładzie ją na biurku na żądanie Dyany, która pod warunkiem, że zaniecha zemsty, obiecuje rozstać się z kochankiem, poczem, uzyskawszy słowo brata w tym względzie, chwyta niespodzianie za rowolwer i w oczach obecnych zabija się.

Co właściwie mamy sądzić o tej wstrętnej historii, którą autor ubrał w formy dramatyczne? Czego on sam w niej szukał? Co chciał przez nią powiedzieć, pokazać lub dać odczuć? Czy jest to sztuka z ideą i tendencją, czy tylko zwykła tragedia namiętności? Znajdujemy w niej i jedno i drugie, ale to wszystko jest niejasne, niedopowiedziane. Zapewne, namiętność zdaje się tu być czynnikiem głównym, ale, gdy się bliżej przypatrzemy bohaterom, przekonamy się, że, pominiawszy małe tego prawdopodobieństwo z powodu niestosowności ich warunków fizycznych i moralnych, nie daje się ona prawie odczuć w ich wzajemnym stosunku. Charaktery ich również nie są dostatecznie ukazane, nie mówiąc już o tem, że jeśli mają przedstawiać pewne sfery społeczne i towarzyskie, to są to postacie albo rozryślnie sfałszowane, albo conajmniej wyjątkowe. Dyana, którą autor podaje za córkę rodu arystokratycznego, ma wszelkie cechy gryzетки, aspirującej do stanowiska w półświatku, dla której eskapada z podstarzałym birbantem nie przedstawia żadnego ryzyka, przeciwnie— jest interesem i rozrywką, w której ani uczucie, ani nawet zmysły nie biorą wielkiego udziału. Takim jest całe jej zachowanie się, jej mowa, znamionujące pewną już, zresztą nader banalną wytrawność w sprawach erotycznych, taką też zdaje się być jej umysłowość i wychowanie moralne, co wszystko razem wskazuje, w jakiej to kategorii szukał autor wzoru do swej księżniczki.

Adwokat Armaury także niczem nie objawia głębiej tej namiętności, która każe mu nie cofnąć się przed skandalem, zapomnieć o swych najpierwszych obowiązkach i wyrzec się swego stanowiska. Sądząc pospolicie, byłby to zwykły nikiemnik, równie nie szanujący honoru własnego, jak i godności innych, ale autor, ukazując go w tak smutnem świetle, podaje go jednocześnie za pioniera moralności niezależnej, której prawem jest instynkt; — idei nowych, znaczących postęp ludzkości, zdążającej do uwolnienia się od starych przesądów kastowych, moralności sztucznej i fałszywej, która tamowała dotąd jej swobodny rozwój. A więc mamy tu konflikt ideowy dwóch przeciwnych sobie koncepcyj życiowych, którego Dyana pada ofiarą, bo, jak to słyszemy w okrzyku Armaury'ego, zabił ją „on sam przez swą miłość, jego żona przez swe poświęcenie, a jej rodzina przez swój egoizm i nienawiść.“ Tych ostatnich zwłaszcza, t. j. rodziców i brata panny, jako wsteczników i przedstawicieli ciasnych poglądów, zdaje się autor szczególnie potępiać zarówno w powyższych słowach, jak i w całym nastroju sztuki, chociaż poza tem wyraźniej tego nie mówi, a nawet, nazywając Dyana „dzie-

wicą szaloną“ (czyli głupią, wedle przypowieści), do pewnego stopnia sobie zaprzecza.

Taką jest strona erotyczna i ideowa tej sztuki, ale w istocie ta strona nie jest tu właściwie najważniejszą. Jeżeli bowiem Armaury i Dyana są głównymi bohaterami całego zajścia, to postacią najgłębiej odczuta, choć także wyjątkową, chwilami nawet mało prawdopodobną, jest jego żona. To też ona jedna przedstawia tu bliżej określony charakter, jej to uczucia, jej wewnętrzną tragedycę daje dopiero autor lepiej poznać i odczuć. Jeżeli kto, to ona jest tu właśnie ofiarą instynktu, niezależnie od wszelkich koncepcyj ideowych, od wszelkich światowych wymagań i form umówionych, bo ściśle tych samych uczuć doznawaćby mogła, przechodzić przez te same cierpienia, gdyby cała ta historia zdarzyła się wśród jakiejś ludzkości pierwotnej, dzikiej, której zarówno pojęcia moralne, jak i jakiegokolwiek formy, wynikające z ustroju społeczeństw cywilizowanych, byłyby nieznane. Raz przyjąwszy jej charakter takim, jaki jej dał autor, uznać w niej musimy istotę rzeczywistą, w swych uczuciach zarazem ogólnoludzką i bardzo nowożytną. Miłość—instynkt czyni ją nieszczęśliwą i upadła ją, zmuszając do przyjęcia warunków dla niej poniżających, a jednocześnie podnosi ją aż do męczeństwa, aż do wyrzeczenia się własnego szczęścia dla istoty umiłowanej, aż do dobrowolnej ofiary z siebie na ołtarzu okrutnego bóstwa, które, z całą bezwzględnością wymagając jej męczarni, daje jej moc nadludzką wytrzymania, opanowania i zamknięcia w sobie siłą woli bólu, by mogła, z jakąś zaostrzoną przytomnością umysłu, myśleć i działać w jedynym celu zapewnienia bezpieczeństwa i spokoju temu, który pogardził nią dla innej, którego mimo to jest i będzie zawsze oddaną ciałem i duszą niewolnicą. U niej namiętność idzie tak daleko, że przenosi swój cel realny, staje się idealną i skutkiem tego zyskuje moc poświęcenia, na które zdobyć się nie mogą ani Dyana, ani Armaury. I tu dopiero odnajdujemy właściwe zalety talentu Henryka Bataille, który, będąc poetą i psychologiem, silniej odczuwa i lepiej umie ukazać tragedycę odgrywającą się w głębi dusz ludzkich, aniżeli te, które się odbywają w zewnętrznej akcji życiowej.

Z tem wszystkim „La Vierge folle“ jest sztuką, przy całych swych przymiotach, wstrętną co do swej osnowy i wydzielających się z niej tendencyj; nierówną i nie dość wyraźną co do ukazania charakterów postaci i bodźca ich działania; fałszywą, jako obraz obyczajów i stosunków; niedostatecznie oryginalną, jako dzieło tego autora, bo znajdujemy w niej do pewnego stop-

nia powtórzenie, zwłaszcza, co się tyczy postaci najgłówniejszej, jaką jest pani Armaury, sztuk jego dawniejszych, jak „La Marche Nuptiale,” „La Femme nue“ i „Le Scandale.“ Dla tego też, wbrew pewnej krytyce, dla której wystarcza dostrzedz w jakimś utworze dążności antyspołeczne, by popaść przed nim w nieumiarowany zachwyt, arcydziełem, za jakie została ogłoszona, sztuki tej nazwać niepodobna.

Henryk Bataille jest, jak zauważyliśmy powyżej, poetą i to niezmiernie subtelnym; poetą, jeśli można się tak wyrazić, wewnętrznym; poetą stanów ducha zarazem bardzo prostych i bardzo złożonych; wrażeń zwyczajnych, nie wyszukanych, ale głęboko odczutyh i nie ukazujących się na zewnątrz. Inaczej, jest on poetą naduczuciowości nowożytnej, wynikłej z przeczulenia, przerafinowania i nadmiernego napięcia systemu nerwowego cywilizowanej ludzkości dzisiejszej, zwłaszcza w jej warstwach intelektualnie najbardziej rozwiniętych. Takim poetą, wibrującym wobec rzeczy i wrażeń codziennych, ale posiadającym dla niego i jemu tylko zrozumiałą subiektywny urok, okazał się Bataille w swych pierwszych i dotąd charakteryzujących go najlepiej utworach poetyckich: „La Chambre blanche“ i „Le Beau voyage.“ Ten to również rodzaj poezyi przenosi on obecnie na scenę w swym poemacie dramatycznym „Le Songe d'un soir d'amour,“ napisanym wolnym wierszem, który, zachowując rytm wiersza prawidłowego, nie odbiera przytem mowie jej naturalności, a przeto lepiej nadaje się do tego przeznaczenia. „Le Songe d'un soir d'amour,“ którego treść zawiera się w jednym akcie nie ma, mówiąc ściśle, żadnej akcji. Jest to raczej rodzaj udyalogowanego marzenia na jawie, w którym biorą udział trzy postacie: „On“ „Ona“ i „Cień.“ W programie figuruje jeszcze czwarta postać: „Tamten,“ ale tej rola ogranicza się do wyjścia ze sceny zaraz po jej odsłonięciu. „On“ jest poetą, który niedawno doznał wielkiego zawodu sercowego — opuściła go kochanka. „Ona“ jest piękną młodą kobietą, pragnącą go pocieszyć. „Tamten,“ to jej dotychczasowy kochanek, a „Cień“—to wspomnienie niewiernej, którego „On,“ pragnąc się pozbyć, chce korzystać z ofiarowanej mu nowej miłości i przybywa do rozkosznego buduaru, gdzie „Ona,“ po wyjściu „Tamtego,“ przyjmuje go w sposób pełen obietnic, ale popełnia przytem zaraz niezręczność, robiąc aluzye do przedmiotu jego poprzednich afektów. To wystarcza, by wspomnienie, które „On“ chciał stłumić, odżyło w nim na nowo z całą potęgą uczucia, jakim tamta zawładnęła jego sercem. Przeciw temu uczuciu walczy „On“ ze wszystkich sił,

szuka zapomnienia w oczach nowej kochanki, w jej miłosnych szeptach, w jej uściskach. Ale napróżno — każde jej słówko, jej pieszczoty, dźwięki walca, któremi stara się go rozmarzyć, zastrzają tylko to wspomnienie, które wżera mu się w duszę i jako „Cień,“ przybrawszy postać nieobecnej, staje między nimi, komentuje każdy wyraz ich rozmowy, korzysta z każdego ich gestu, z kwiatów w wazonie, które przed nim rozsypuje, by mu przypomnieć coś z tamtej, coś z wrażeń z nią wspólnie doznanych, coś z jej otoczenia, coś wreszcie z dawnych uniesień, tych niezatartych, tych jedyńskich, które jej zawdzięczał, a których żadne inne zastąpić nie mogą. I oto „Cień“ — wspomnienie niewiernej, ale nadewszystko ukochanej, zwycięża. „On“ nie jest w stanie dłużej mu się opierać i za jego podszeptem oświadczywszy „Jej,“ że jej kochać nie może, uprzedzony przezeń, spiesźnie odchodzi.

Wystawienie tego utworu w Komedyi Francuskiej stanowi ciekawą próbę zastosowania do sceny poezji subiektywnej, której różnica z t. zw. poezią dramatyczną, czyli dramatem wierszowanym, w nim właśnie daje się bardzo wyraźnie odczuć. Nie można powiedzieć, by się ta próba nie udała. Jednakże niepodobna nie zauważyć, że przy całym tak suggestywnym sentymencie i pomimo ślicznej interpretacji takich artystów, jak Grand (On), panna Sorel (Ona) i pani Bartet (Cień), poezya, w ten sposób zmateryalizowana, traci wiele ze swej subtelności. Dodajmy jeszcze uwagę, co się tyczy tego dziełka, że ów Cień-wspomnienie, piękny i poetyczny, jako pojęcie oderwane, gdy uosobiony w postaci żywej kobiety, bierze udział w akcji scenicznej, w roli, jaką mu tutaj nadał autor, staje się na dłuższe tempo rażącym, a nawet wydaje się dziwnie natrętnym i nieznośnym, tak, iż, pomimo swe znaczenie pierwszorzędne, sprawia ostatecznie wrazenie, że tej akcji przeszkadza.

Od tych tworców czystej fantazyi, jak „Le Songe d'un soir d'amour,“ lub fantazyi, przedstawiającej rzeczywistość w świetle tendencyjnie fałszywem, jak „La Vierge folle,“ przejdziemy teraz do dzieła, malującego stosunki dzisiejsze z całą ścisłością pozytywnej prawdy. Dziełem tem jest sztuka w czterech aktach *Pawła Bourget* p. t. „La Barricade“ (teatr Vaudeville), pierwszy utwór tego autora, napisany wyłącznie dla sceny i odznaczający się akcją mocno związaną i żywą charakterystyką postaci. Treść, osnuta na epizodzie współczesnej walki społecznej, mianowicie tej, jaka wre obecnie pomiędzy pracującym proletaryatem i kapitalizmem, t. j. pomiędzy pracownikami i pracodawcami, zawiera

w sobie idee, które, wypowiadając się w słowach lub ujawniając w czynie, składają się na jedną wypadkową, będącą ich wynikiem i konkluzją. A jest nią, po stwierdzeniu na przykładzie z życia wziętym, że walka klas istnieje, aksjomat jej konieczności.

Myśl autora i jego intencję zrozumiano wogóle inaczej, niż to było jego życzeniem, czyli, co wychodzi na jedno, nie rozumiano go. Stąd też krytyka, podnosząc przeważnie zalety sztuki scenicznej, artystyczne i literackie, porobiła, co się tyczy jej tezy, takie zastrzeżenia i zarzuty, że p. Bourget uznał za stosowne dać do swego utworu komentarz w konferencji publicznej, wydrukowanej następnie w „Revue Hebdomadaire.“ Ale, by zrozumieć o co idzie, trzeba naprzód zapoznać się z treścią sztuki.

Breschard, bogaty właściciel fabryki mebli, jest dla swych robotników nie tylko chlebodawcą sumiennym, ale, co rzadziej się trafia, przychylnym i troskliwym. Ma on wprawdzie jedną słabość — będąc wdowcem już niemłodym, posiadającym dorosłego syna i córkę zamężną, Breschard uczynił jedną z pracujących u niego robotnic, Ludwikę Mairet, swą kochanką. To, jeżeli ogółu robotników bynajmniej nie razi, co najwyżej wywołując zazdrość towarzyszek Ludwiki, przyczyni się jednak w części do zająć następnych, bo kocha ją również tajemnie najzdolniejszy z pośród młodych robotników, nazwiskiem Langouet, wszystko zawdzięczający Breschardowi, u którego się wychował i cieszący się przyjaźnią jego syna, Filipa, wyznającego, równie jak on, zasady socjalistyczne. Ale Breschard, oceniając ucziwą naturę Ludwiki, przywiązuje się do niej poważnie i postanawia się z nią ożenić, wobec czego ojciec narzeczonej Filipa odmawia oddania mu swej córki. Tymczasem, w chwili bardzo ważnej i pilnej do wykonania roboty terminowej, której niedopełnienie stanowiłoby o ruinie Brescharda, robotnicy zaprzestają pracy i, jak się wkrótce okazuje, na czele zmowy znajduje się ów Langouet, działający jednocześnie pod wpływem swych przekonań i swych skłonności sercowych, które go popychają do zemsty nad szczęśliwym, dzięki swej zamożności, współzawodnikiem. Istotnego powodu do strejku niema, ale, gdy o to idzie, „Związek powszechny pracy,“ którego jest zadaniem podburzać do bezrobocia i wywoływać nienasiki, zawsze pretekst znajdzie. Tym razem ze strony robotników żądano, by płaca niezdolnych i niesumiennych była równą tej, jaką otrzymują najlepsi.

Breschard oburzony nie chciał o niczem słyszeć, jednakże za wstawiennictwem syna obiecał wysłuchać delegację robotni-

ków. Ci wszakże zjawili się w towarzystwie delegata rewolucyjnego związku i, oświadczywszy pojedynczo swemu pracodawcy, że osobiście żadnej do niego pretensyi nie mają i z warunków dotychczasowych są zadowoleni, oznajmili mu jednocześnie, że w kwestyi powrotu do pracy traktować z nim ma prawo w ich imieniu tylko uppełnomocniony przez nich ów delegat. Takiego zaś obcego pośrednika, który, jako specjalista w tej materii, całe nieporozumienie sztucznie wywołał, zachowującego się w dodatku zuchwale i nieprzyzwoicie, Breschard, uważając słusznie jego pośrednictwo co najmniej za niepotrzebne, uznać nie chciał i wyprosił go za drzwi. Strejk przeto zaostrzył się jeszcze, znajdując nowy powód w obrażonej miłości własnej delegata. Ale Breschardowi pozostał wiernym majster Gaucheron, stary rzemieślnik, wybornie znający i miłujący swą sztukę, prawie artysta, a przysięgam człowiek rozumny i niezależny, nie dający się wodzić za nos wicherzycielom z profesyi, jak jego towarzysze. Gaucheron, który zresztą położył w tem swą ambicję, obiecał swemu pryncypałowi, że, wbrew zakazom syndykatu, zamówienie zostanie na czas wykonane. W tym celu najął w oddalonej dzielnicy budynek poklasztorny i przy pomocy tajemnie umówionych robotników, pracując nocą, całą robotę wykończył. Ale w chwili właśnie, gdy meble spakowane przygotowano do wysłania, wpadli „uświadomieni pracownicy“ pod wodzą delegata i zniszczyli, co znaleźli pod ręką na podwórzu. Robotnicy, pod groźbą śmierci, opuścili pracę i przystali do nich. Jeden tylko „lis“ — tak nazywa się w ich języku robotnik nie słuchający rozkazów syndykatu, nie poddał się im.

Tym „lisem“ był oczywiście Gaucheron, który, uzbrojony w rewolwer, zamknąwszy się wewnątrz budynku, wraz ze świeżo wykonaną robotą, jego dziełem, oznajmił napastnikom, że ktokolwiek spróbuje wdrzeć się do wnętrza, tego położy trupem.

Na to, delegat poradził podkurzyć „lisa“ przez podpalenie drzwi. Tego ryzykownego przedsięwzięcia podejmuje się Langouet, podczas, gdy delegat, który, podszczerwając drugich, sam zawsze zręcznie unika narażenia, usuwa się na stronę, a za nim reszta napastników. Tymczasem Ludwika Mairet, która kocha Langoueta, o czem ten dotąd nie wiedział, przybywa na czas, by, rzuciwszy mu się w objęcia, do tego czynu nie dopuścić. W tejże chwili zjawia się sam Breschard z policją i, na widok Ludwiki, staje w bolesnem osłupieniu. Ale to trwa krótko. Zrezygnowany na jej utratę, bo Ludwika już przedtem odmówiła mu

zostania jego żoną, odzyskuje zimną krew i, poczyniwszy ostre wyrzuty Langouetowi za jego niewdzięczność i niecne postępowanie, uwalnia dzielnego Gaucherona, który swą stanowczością i odwagą uratował go od ruiny. Wreszcie strejk nieudolny kończy się, robotnicy chcą powrócić do pracy. Ale teraz pracodawcy zmówili się ze swej strony i postanowili nie przyjmować tych z pośród robotników, którzy przez któregośkolwiek z nich zostaną pomieszczeni na specjalnym spisie, jako podżegacze.

Na tym spisie, rzecz prosta, figuruje Langouet i skutek tego, nie mogąc znaleźć roboty, zaczyna pić. Prośby Ludwiki, która teraz została jego towarzyszką, nie mogą wpłynąć na Brescharda, by go z tego spisu wykreślił, jednakże, na wstawienie Gaucherona, daje mu pracę prywatną u pewnego bogatego amatora mebli artystycznych. Zerwanie zamiarów matrymonialnych Brescharda, usuwa przeszkodę do małżeństwa jego syna Filipa, który, nauczony na dotykającym go zbliska przykładzie, że socjalizm w zastosowaniu praktycznym prowadzi nie do poprawy stosunków, lecz do gwałtów i przewrotów, zrywa zupełnie z jego doktrynami i, zostawszy współnikiem firmy ojca, staje ostatecznie po stronie barykady, przeciwnej rewolucyi z silnem postanowieniem obrony swej klasy przeciw tym, którzy ją chcą zniszczyć. Tak się przedstawia fabuła tego dramatu w ogólnym zarysie. Wykład idej znajdujemy tu przeważnie w dyskusjach Brescharda z synem i w rozmowie Filipa z Langouetem. Ale wynurzają się one również ze słów i uwag Gaucherona, z rozmowy Brescharda z Ludwiką, z mowy delegata, z uwag i rozmów robotników należących do związku i ich przeciwników, a nawet z odpowiedzi i stanowiska wobec pracodawcy robotników strejkujących, wbrew własnemu przekonaniu, jedynie z niejasnego poczucia solidarności klasowej proletaryatu przeciw klasie posiadającej i kierującej. Bo, jak zwraca uwagę autor, wszystko się tu odbywa na gruncie klasowym. Ale przecież Rewolucya zniósła różnice społeczne, w demokratycznej Republice klas niema? Tak, zniósła je w znaczeniu dawniejszem, feudalnem, kasując prawa stanów uprzywilejowanych, ale nie zniósła, pomimo ogłoszenia równości obywateli wobec prawa, bo znieść nie mogła, różnic, wynikających z natury rzeczy ze stosunków społecznych. Jeżeli z dawnego ustroju pozostały jeszcze bądź co bądź mniej lub więcej wyraźnie zarysowane odrębności klas, na które grupuje się dzisiejsze społeczeństwo, to te niczem są wobec różnicy zasadniczej, jaka dzieli je na ludzi pracujących rękami i tych, którzy fizycznie nie pra-

ują, t. j. na dwie grupy, którym dano obecnie nazwy ogólne proletaryatu i burżuazyi. ¹⁾

Że te dwie grupy istnieją, temu nikt zaprzeczyć nie może. Na ten stan rzeczy żadna teoria demokratyczna równości, ani żadne prawa nie zaradzą, dopóki istnieje dzisiejszy ustrój społeczny. To też całym dążeniem rewolucyi socyalnej jest ustrój ten zniszczyć przez zniesienie prawa własności, na którym się on opiera. Ale zauważyć trzeba, na co autor „La Barricade“ kładzie szczególny nacisk, że przy tem dążeniu demokracji socyalnej do zupełnego zniesienia różnic klasowych, do tej równości integralnej, której niemożliwości z innych względów nie bierze pod uwagę, poczucie odrębności i solidarności klasowej wzmocniło się nadzwyczajnie, właśnie u proletaryatu, a co zatem idzie, wskutek ciągle wzrastającego antagonizmu, i u o wiele mniej solidarnie usposobionych klas wyższych.

Ten, na pierwszy rzut oka, dość dziwny fenomen tłómaczy autor koniecznością łączności, wywołaną u jednych potrzebą skupienia wszystkich sił dla skutecznego prowadzenia ataku, u drugich takąż potrzebą łączenia się dla obrony zajmowanego stanowiska. Ale Bourget idzie dalej. Przez usta Brescharda mówi on, że każdy członek klas burżuazyjnych, w danym wypadku każdy przemysłowiec kapitalista, ma obowiązek bronić nie tylko swego interesu osobistego, ale przedewszystkiem ogólnych interesów klasy, do której należy, bo czyniąc to, działa zarazem na korzyść własną i, co ważniejsza, broni dobytek ogólnie ludzkie, cywilizację, od zagłady, której, na wypadek tryumfu proletaryatu, zagrażają nowożytni barbarzyńcy. Z drugiej strony stwierdza autor to rozbudzenie instynktu solidarności klasowej wśród robotników—u Ludwiki, gdy, wobec strejku, oświadcza Breschardowi, że obowiązek nakazuje jej zostać po stronie swoich i odmawia zaślubienia go, pomimo, iż tem samem wyrzeka się życia w dostatku i wywyższenia się ponad stan, w którym się urodziła. Toż samo widzimy w przekonaniach i postępowaniu Langoueta i również w ogólnym nastroju, panującym wśród strejkujących robotników, którzy zawieszają pracę i występują przeciw Breschardowi nie ze względów osobistych, bo nie mają nic mu do zarzucenia, ale dla celów i dążeń ogólnych, wobec których wmieszane tu względy uczuciowe schodzą na drugi plan.

¹⁾ Ostatnie określenie zachowujemy roztęplnie w brzmieniu francuskim, bo polski wyraz „mieszczaństwo,“ oznaczający ściśle „stan mieszczański,“ w znaczeniu, jakiemu odpowiada tutaj wyraz „bourgeoisie,“ użyć się nie da.

Z tego wszystkiego wynika w konkluzji, co sam autor w swej konferencji potwierdził, że walka społeczna jest objawem naturalnym, a co więcej, pomimo swej istotnej szkodliwości, w rezultacie pożytecznym, bo, trzymając część społeczeństwa wyżej intelektualnie rozwiniętą pod ciągłą groźbą, wpływa na jej wzmocnienie, zmusza ją do chwycenia się energicznych środków obrony. Ale znaczenia tych właśnie konkluzyj przeważnie nie zrozumiano i, przyznać trzeba, nie zupełnie bez winy autora, bo tak, jak zostały przezeń wyrażone, dawały pole do rozmaitego ich tłómaczenia. Otóż pomówiono go z jednej strony o potwarz na proletaryat i namawianie do gwałtownej represyi przeciw ich dążeniom, z drugiej—o apologię antagonizmu i nienawiści, gdzie należałoby propagować pokój i zgodę, oraz niechrześcijańską koncepcję stosunków społecznych.

W odpowiedzi na to, Bourget zwraca uwagę przedewszystkiem na błąd zasadniczy tych krytyk w tem, iż „La Barricade“ uznano za sztukę z tezą, gdy jest ona rzeczywiście sztuką ideową, a to rzecz zmienia zupełnie. W istocie, te dwa pojęcia są sobie do pewnego stopnia przeciwne. W sztuce z tezą, czyli tendencyjnej, autor stara się dowieść słuszności jakiegoś naprzód postawionego postulatu i w tym celu, obrawszy odpowiedni temat, daje mu taki nastrój i tak układa warunki akcji, aby wszystko zmierzało do jego potwierdzenia. Jest to z konieczności arbitralne i niczego naprawdę nie dowodzi, bo w taki sam sposób dowieść można tezy odwrotnej. Sztuka ideowa nie ma żadnej takiej z góry określonej tezy, zadaniem jej nie jest dowiedzenie czegokolwiek, lecz wykład idei i ich konflikt w dyskusjach, z których można wyciągnąć wnioski logiczne, ale których konkluzya, jeżeli została wypowiedziana, nie narzuca się i obowiązującą nie jest. I tak właśnie rzecz się ma w „La Barricade.“ Autor stwierdza fakt istnienia antagonizmu klas i walki społecznej, szuka przyczyn i znajduje, że wyphywają one nie tyle z potrzeb ekonomicznych, ile raczej z nastroju ducha, wytworzonego w proletaryacie, który nie może znieść tego, iż jest pewna kategoria ludzi, nie pracujących, jak on, rękami, widzi w tem nierówność, a nierówność tłómaczy sobie niesprawiedliwością. Stąd pragnienie jej usunięcia, a wobec oporu, choćby biernego, nienawiść i chęć zemsty, objawiająca się w gwałtach, coraz częstszych, coraz bardziej przybierających charakter akcji zorganizowanej, zdążającej za pomocą krwawej rewolucyi do zupełnego przewrotu. Kto z pośród burżuazyi myśli, że dość podać obie ręce robotnikom, poczynić im daleko idące ustępstwa, by tę groźbę zażegnać, ten się lu-

dzi i daje dowód naiwności i nieznamomości ich rzeczywistych aspiracyj, bo oni, a przynajmniej ci t. zw. „proletaryusze uświadomieni,“ którzy nimi kierują, nie chcą żadnych układów, nie chcą zgody i logicznie chcieć jej nie mogą, gdyż celem ich nie jest porozumienie, ale zagłada przeciwnika. Walka tedy jest na śmierć i życie, a przeto burżuazyi nie pozostaje nic innego, tylko bronić z podwojoną energią swego stanowiska, a z niem cywilizacji. Jakie zaś mają być te środki obrony, tego w „La Barricade“ nie powiedziano wyraźnie, że zaś przedstawione w tej sztuce zajście kończy się interwencją policji, przeto wywnioskowano, że Bourget widzi rozstrzygnięcie kwestyi w bezwzględnej represyi ze strony władz, za pomocą siły zbrojnej. Ale czyż można było posądzać go o podobną naiwność? Przecież wie on dobrze, jak każdy, że w dzisiejszej Republice francuskiej władzy niema, przynajmniej tam, gdzie z obowiązku być powinna. Znajduje się ona tylko wtedy, i to bardzo bezwzględna, gdy trafia się sposobność prześladowania niewinnych i bezbronnych. Zresztą siła zbrojna, podkopywana agitacją antymilitarną, staje się z każdym dniem mniej pewną. To też myśl autora nie jest taką. Obronę społeczną widzi on nie wyłącznie w uciekaniu się do władz, ale przede wszystkim w energii, stanowczości, pracowitości, udolności i zrozumieniu swego obowiązku klas kierujących, jednym słowem, w ich wartości moralnej, która da im samym, równie jak szerszym masom, przekonanie, że na stanowisku przewodniczącym są potrzebni i niezbędni i że na zajmowanie takowego zasługują. To jest pierwszy warunek, bez którego żadna siła zbrojna nie pomoże. Gdy zaś ten będzie pozyskany w całości, to inne znajdą się, jako jego skutek. Postępy rewolucyi są zawsze w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do wartości moralnej klas kierujących — im ta wartość jest większa, tem widoki powodzenia rewolucyi są mniejsze i na odwrót. Ale jednocześnie z drugiej strony, im gwałtowniejszym jest napór fali rewolucyjnej, im groźba jest pewniejszą, tem większą musi w tychże klasach wywołać reakcyę do skupienia wszystkich sił moralnych i materyalnych dla jej zwalczania. Jeżeli w takich warunkach podobna reakcyja się nie wytworzy, będzie to znakiem, że burżuazyja swej roli kierowniczej spełnić nie jest w stanie, a przeto musi ustąpić.

Oto są prawdziwe konkluzye sztuki „La Barricade,“ której treść poza tem jest opartą na zdarzeniach prawdziwych i obserwacyi bezpośredniej — daje wierne odbicie rzeczywistości, co też autor zaznacza, nazywając ją „kroniką walki społecznej 1910 roku.“

Te konkluzye wszakże nie stanowią tezy. Autor nie podaje ich jako prawdę niezbitą i dowiedzioną w swej sztuce, lecz tylko jako przekonanie osobiste, wyrażone za pośrednictwem głównie Brescharda i Gaucheronu, którym przeciwstawia zresztą argumenty rewolucjonistów, sformułowane z całą bezstronnością i zaczerpnięte z ich własnych doktryn i oświadczeń, jak zapewnia Bourget — dosłownie. Jeżeli zaś te konkluzye znajdują potwierdzenie w dążeniach proletaryatu, objawiających się w tysiącnych faktach ogólnie znanych, bo dzienniki codziennie je przytaczają i łatwych do sprawdzenia, to nie ma zasady, by stąd obwiniać autora o tendencyjność.

Obok tego dzieła, które w tegorocznej produkcji dramatycznej jest niewątpliwie najdonioślejszem, Paweł Bourget wystawił w Komedyi Francuskiej krótką, mocno tragiczną, o podkładzie psychologicznym dwuaktową sztukę p. t. „Un cas de Conscience,“ przerobioną wspólnie z Sergiuszem Rosset z jednej ze swych nowel. Hrabia de Rocqueville dowiaduje się z listu, który przypadkiem wpadł w jego ręce, że żona jego była niegdyś kochanką jego sąsiada, obecnie już nieżyjącego i co więcej, że jeden z jego synów pochodzi z tego związku. Odkrycie to dotyka go tak ciężko, że wskutek tego choroba, której ma zaczątki rozwija się gwałtownie i wzmaga nieustannie pod wpływem trapiącej go niepewności, który z tych trzech synów, teraz już dorosłych, jest tym intruzem, kocha ich bowiem wszystkich jednakowo. Blizki śmierci, hr. de Rocqueville wymaga od żony, by mu to wyjawiała, bo, nie mogąc inaczej zetrzeć tej plamy na swym honorze i dosięgnąć tego, który, zhańbiwszy jego ród, stał się przyczyną ruiny jego rodzinnego szczęścia, dotknął go najboleśniej w jego uczuciach ojcowskich, chce zbrodnię ich obojga ukarać w tym, który jest żywym jej świadectwem, przez odebranie mu udziału w dziedzictwie. Żona wyjawić tego nie chce i nie może. Ale pan de Rocqueville nie daje za wygraną i oświadcza jej, że, jeżeli sama dobrowolnie zadość jego żądaniu nie uczyni, to on na łożu śmierci wyjawi wszystko synom i oskarży ją przed nimi. Stąd między małżonkami powtarzające się często gwałtowne sceny, które chorego posuwają coraz szybciej do grobu. Jeżeli wszakże straszną jest broń, którą ten rozporządza dla wymuszenia wyznań winowajczyni, to ta znowu ma tę nad nim wyższość, że może nie dopuścić doń, przed jego śmiercią, synów, którzy są daleko: jeden, jako oficer — w swym garnizonie; drugi, jako marynarz; trzeci, najmłodszy, jako uczeń szkoły politechnicznej w Paryżu. Hrabia chce wysłać depesze, by ich wezwać, ale wobec

zakazu hrabiny pod pretekstem, że stan zdrowia hrabiego zabrania mu wzruszenia, jakiegoby doznał na widok synów, w czem doznaje poparcia u miejscowego doktora Poncelet, nikt ze służby depeszy nie wyprawi. Hrabia wie o tem, bo żona powiedziała mu to wręcz, że do przyjazdu synów nie dopuści. Chory próżno szarpie się w swej niemocy, wobec zadanego sobie gwałtu, czując, że śmierć może każdej chwili pozbawić go możności zobaczenia synów. Wśród tego zjawia się sprowadzony pospiesznie, na żądanie dr. Poncelet, słynny specjalista z Paryża, dr. Odru, którego pierwszy, znający oddawna wszystkie sprawy rodziny de Rocqueville, objaśnia o całym położeniu. Hrabia odwołuje się do jego uczuć ludzkich i prosi go, nie wyjawiając zresztą rzeczywistych tego powodów, by osobiście depesze do jego synów wyprawił. Ten, po chwili wahania odmawia. Ale chory wpada w atak, z którego dr. Odru z trudnością przywołuje go do życia. Widząc, że wszelkie podrażnienie może przyprowadzić go o śmierć i uważając, że pierwszym i jedynym obowiązkiem lekarza jest chorego ratować, bez zwracania uwagi na żadne względy postronne, daje mu słowo, że polecenie jego spełni i, pomimo zakłęk hrabiny, która się domyśliła, czy też rozmowę ich dosłyszała, depesze wyprawi. Tymczasem w oczekiwaniu przyjazdu synów następuje nowa scena pomiędzy małżonkami, hrabia wpada znowu w atak i tym razem, gdyby nie ratunek natychmiastowy, śmierć nastąpiłaby musiała za parę minut. Hrabina błaga dr. Odru, by go pozostawił losowi i nie narażał jej i jej dzieci na straszną katastrofę, przedłużając o parę godzin życie umierającego. W sumieniu d-ra Odru wywiązuje się krótka, ale gwałtowna walka. Ta jednak trwa mgnienie oka, bo czasu do stracenia niema, poczucie obowiązku lekarza bierze górę. Oświadczywszy drżącej z przerażenia kobiecie, że gdyby postąpił wedle jej życzenia, oboje byłiby winnymi zabójstwa, dr. Odru zastosowuje potrzebne środki i przywraca choremu siły i przytomność. W chwilę potem przybywają synowie. Hrabia bierze w objęcia najstarszego, całuje najmłodszego, ale gdy zbliża się średni, powstrzymuje go i przez parę sekund patrzy mu w oczy przenikającym do głębi wzrokiem. Hrabina w niemem osłupieniu oczekuje wyroku z ust umierającego męża, ale chory przyciąga wreszcie młodzieńca, całuje go w czoło i, chwytając się za serce, pada martwy. Jest to moment prawdziwej grozy. Hrabia w ostatniej chwili oszczędził swych synów własnych i tego, który będąc mimowolnym intruzem w jego rodzinie, przyniósł jej nieświadomie zniewagę swą obecnością. Niemniej, przez tę krótką chwilę tę zniewagę, wy-

rządzoną sobie i swym prawym potomkom pomścił srodze na wiadomości i niepomnej swej godności matce.

Rzecz ta, w znaczeniu dramatycznym wybornie przeprowadzona, ma jednak tę ujemną właściwość, że pomimo swego prawdziwego tragizmu, nie jest wcale wzruszającą. Patrzy się na całe to zajście z ciekawością, ale zimno, prawie obojętnie. Przyczyna tego, że widz, nie mogąc przyznać słuszności zarówno obu stronom i nie wiedząc gdzie umieścić swe sympatyje, musi pozostać bezstronnym. Zaś bezstronność w teatrze równa się obojętności i pozbawia widza tego właśnie, czego on przede wszystkim odeń żąda i co jest zresztą właściwym celem dramatu — wzruszenia.

I istotnie, poczucie sprawiedliwości każe nam najpierw wziąć stronę pokrzywdzonego i pozwala nawet do pewnego stopnia uwzględnić kierujące nim pobudki—pragnienie pomśzczenia wyrządzonej sobie krzywdy, chociaż w obliczu śmierci, u człowieka, który stanąć ma za chwilę przed sądem Boskim, musi to razić nasze pojęcia chrześcijańskie. Ale instynkt, który żąda, by zbrodnia została ukarana, który sprzeciwia się jej tryumfowi, przemawia w naturze człowieka tak silnie, że właśnie w tym charakterze umierającego dostrzedz gotowi jesteśmy karzący palec Boży. Gdy wszakże zastanowimy się nad strasznymi skutkami dla istot niewinnych wykonania zamiaru hrabiego, to mimowolnie musimy się cofnąć.

Co do hrabiny, to ma tu ona rolę tak wstrętą, że niema kary dość okrutnej, niema udręczenia, któreby mogło wzbudzić dla niej uczucia już nie sympatyj, ale nawet litości. Jej niegodne oszukiwanie męża, które trwało lata, jej podział pomiędzy nim, a kochankiem nie znajduje żadnego tłumaczenia, tak samo, jak jej zapomnienie, że kobieta, gdy raz przyjęła obowiązki matki, winna swą godność nie tylko sobie samej i mężowi, ale swym dzieciom i wszystkim następnym pokoleniom, które z niej powstaną. Tyle co do przeszłości. Postępowanie zaś jej obecne z człowiekiem umierającym, względem którego tak ciężko zawiniła, którego chorobę i niechybną przedwczesną śmierć ma na sumieniu, jest niemniej ohydne. Oburza nas jej bezwzględność, popychająca ją niemal do zbrodni, jej zadawanie gwałtu woli umierającego, jej nadużycie zdrowego nad bezwładnym. Bo przecież nie możemy zapomnieć, że jest on ojcem, że swych synów kocha, że cierpi nie tylko za siebie, ale i za nich, że ma prawo, któremu sprzeciwić się nie wolno, zobaczenia przed śmiercią swych dzieci. Ale znowu, gdy pomyślimy, co z tego ma wyniknąć, musimy przyznać, wbrew potępiającym jej postępowanie uczuciom, że w wa-

runkach istniejących, jako skutek jej przestępstwa, jest ono jakąś fatalną koniecznością.

Na tle tej tragedyi rodzinnej, mamy tu jeszcze wywołany przez nią konflikt wewnętrzny w sumieniu doktora Odru, do którego, jak sądzić należy z nadanego sztuce tytułu, przywiązuje autor szczególną wagę. Dr. Odru wychodzi z punktu obowiązku lekarskiego, wedle którego powinien uczynić wszystko, by chorego uzdrowić, a wobec tego niemożliwości, przynieść mu ulgę i o tyle o ile to jest w jego mocy, życie mu przedłużyć. Dlatego więc z początku nie chce podjąć się wyprawienia depeš do synów hrabiego. Z tej przyczyny również się tego podejmuje, gdy widzi, że sprzeciwianie się życzeniu chorego, zresztą tak naturalnemu, może go zabić. Jeżeli zaś, w chwili ataku, za podszepciem hrabiny waha się, czy ma chorego ratować, to jednak żadnym względem, choćby te były uzasadnione, z drogi obowiązku sprowadzić się nie da.

To wszystko jest niewątpliwie bardzo interesujące. Jednakże obowiązek doktora Odru wydaje się bądź co bądź zbyt jasnym, zwłaszcza w wypadku ostatnim, gdzie postąpienie przeciwne równałoby się nietylko w sumieniu, ale i według przepisów prawa, zbrodni zabójstwa, w wyborze zatem pomiędzy spełnieniem obowiązku, a zbrodnią, za którą doktor byłby kryminalnie odpowiedzialny, istotnej wątpliwości być nie mogło. Przeto ów „Cas de conscience“ w wypadku doktora Odru wydaje się niedostatecznie uzasadnionym. Bądź co bądź zakończenie tej tragicznej historyi wypadło ku ogólnemu zadowoleniu, bo, dając w ostatniej chwili zwycięstwo sercu ojca nad żądzą zemsty zdradzonego męża, powróciło hrabiemu de Rocqueville należne mu współczucie widzów i, nie poświęcając niewinnych dla zadośćuczynienia sprawiedliwości, nie pozostawia jednak tryumfu zbrodni, jeżeli bowiem ta nie została ściśle pomszczoną, to niemniej nie uszła bezkarnie w udręczeniach, przez jakie przejść musiała winowajczyni.

Na scenie Komedyi Francuskiej ukazał się również ostatni utwór Henryka Lavedau, komedia w pięciu aktach p. t. „Sire,“ osnuta na motywie dramatycznym, który autor zaczerpnął, odmieniając go nieco, ze swej własnej powieści tegoż tytułu.

Założenie, na którym opiera się akcja i które nazwać tu można intrygą, przedstawia się dość sztucznie. Osia wszystkiego bowiem jest postać Ludwika XVII, którego los zagadkowy, zamówiony jeszcze mnóstwem legend i bajek, dał powód wielokrotnie do licznych mistyfikacyj. Takiej też mistyfikacyi ulega panna de Saint-Salbi, osoba już niemłoda i fanatycznie oddana kul-

towi nieszczęśliwego Delfina, w którego istnienie święcie wierząc, oczekuje z upragnieniem jego powrotu na tron przodków, zajmowany wówczas przez „uzurpatora“ Ludwika-Filipa.

Z wybuchem rewolucyi roku 1848, gdy ustąpienie tegoż jest spodziewane, nadzieje ujrzenia Ludwika XVII władcą Francyi do tego stopnia egzaltuje starą pannę, że jej przyjaciele, doktor i ksiądz, zaczynają obawiać się o jej zmysły. Wśród tej ich troski, doktor spostrzega uderzające podobieństwo do Ludwika XVI u zegarmistrza, który, w salonie jego pacjentki, naprawiał stary zegar, wygrywający co godzina hymn królewski. To nasuwa mu myśl oryginalną — ukazać pannie de Saint-Salbi Ludwika XVII w żywej postaci, w nadziei uspokojenia jej przez zadowolenie jej manii. Porozumiewszy się co do tego z księdzem, który, pomimo skrupułów, ulega argumentom doktora, ten ostatni pozyskuje z łatwością za pewną kwotę udział w swych planach człowieka o rysach burbońskich. Tym człowiekiem jest niejaki Roulette, który próbował wszystkich profesyj, a między innymi—i do tej miał najwięcej zamiłowania—był aktorem. To też odegrać przez pół godziny, jak liczył doktor, rolę króla i wziąć za to sto franków bardzo mu się uśmiecha. O oznaczonej porze Roulette w stroju, jeszcze bardziej uwydatniającym to jego podobieństwo, zjawia się u panny de Saint-Salbi, która, uprzedzona o tym zaszczycie, przyjmuje go, do głębi wzruszona łaskawością monarchy. Prócz uczuć dynastycznych, ma ona również wspomnienia osobiste, które sprawiają, że osoba Delfina jest jej szczególnie drogą, bowiem za jej lat dziecinnych, przed Rewolucją, miała sposobność zbliżyć się doń i ofiarować mu nasiona rzadkiej rośliny, które jej rodzicom przysłano z Ameryki. Roślina ta nazywała się „*Colo-rados gigantea*.“ Otóż, w naiwnem przekonaniu starej panny, fakt ten i ta nazwa miał równie silnie utkwieć w pamięci Ludwika XVII, jak wyrzył się w jej sercu.

Znajomość tedy tego wydarzenia i tej rośliny miała według niej być probiehem autentyczności jego osoby. Ale panna de Saint-Salbi zdradziła się z tem kiedyś przed doktorem, a doktor nie omieszkał objaśnić o tem Roulette'a, który teraz sam jej pierwszy tę historję przypomniął. Wobec tego nie wątpi ona już, że ma przed sobą prawowitego króla i błaga go, by przyjął u niej tajną gościnność aż do chwili, gdy będzie miał możność okazać się jawnie narodowi, a nadto ofiarowuje mu, z prośbą, by uczynił jej najwyższą łaskę, przyjmując to na cele dynastyczne, majątek jej brata, który właśnie odziedziczyła. Roulette, nie wiedząc, jak się z tego wydobyć, przyjmuje wszystko i musi dalej

grać rozpoczętą rolę, w której zresztą dość zasmakował, bo takich wygód i honorów nigdy jeszcze w życiu był nie zaznał. Nie brak mu nawet tutaj miłostki na okrasę, bo młoda lektorka Leonia, która znała go już przedtem i teraz w bardzo ładnych słowach wyrzuca mu to niegodne oszukiwanie tak zacnej kobiety, jaką jest jej pani, przychodzi rozweselać mu, zresztą dość niewinnie, chwile samotności. Ale tyle dobrego trwać nie może wiecznie. Już raz panna de Saint-Salbi natrafiła przypadkiem na czułą scenę pomiędzy swym dostojnym gościem, a lektorką i to, chociaż Roulette potrafił zręcznie się wywinąć, rzuciło jednak pewien cień na jego królewską osobę. Wkrótce miało się stać gorzej. Oto spiskowcy „Czerwonej ręki,“ do których związku został przypadkiem, pod groźbą, wciągnięty, odnaleźli go tutaj i zmusili do wzięcia wraz z nimi czynnego udziału w rewolucyi. Tymczasem, podczas jego nieobecności, panna de Saint-Salbi, nie wiedząc, ale jednak coś przeczuwając, weszła do zajmowanego przezeń pokoju i spostrzegła na porzuconej wstędze orderu świętego Ducha adres magazynu kostyumów teatralnych. To odkrycie było dla niej prawdziwym ciosem, ale wiara w istnienie Ludwika XVII jest u niej tak silną i niepożytą, że żadne oszustwo nie może jej zachwiać. W tej wierze panna de Saint-Salbi czerpie siłę do zniesienia tak ciężkiego rozczarowania i, gdy Roulette, wyrwawszy się z rąk rewolucjonistów, powraca w zakurzonym mundurze gwardyi narodowej, przyjmuje go gorzkimi wyrzutami, oskarżając go ze szlachetną godnością nie tyle o to, iż w tak brzydki sposób ją oszukał i nadużył jej dobrej wiary, ile, że dopuścił się przez to oszustwo prawdziwego świętokradztwa. Jednakże takie nawet świętokradzkie przybranie na się postaci królewskiej pozostawia mu obowiązek szczególny: nie wolno mu brać udziału w rewolucyi, skierowanej przeciw monarchii, przeciwnie, powinien bronić tronu, choćby na nim siedział chwilowo uzurpator.

Roulette, czując się winnym, nie jest nieczuły na jej słowa, przeprosza ją na kolanach i otrzymuje jej przebaczenie, pod warunkiem, że do rewolucjonistów nie powróci. Na tem jednak on nie poprzestaje — chce zmazać swą winę i stać się godnym szlachetności tej, którą tak ciężko obraził w jej uczuciach dynastycznych, może posuniętych do manii, ale zasługujących na szacunek. W tym celu biegnie do pałacu królewskiego i tam, pod razami buntowników, pada w obronie monarchii.

Jak można z tego sądzić, cała rzecz opiera się tu na podstawie sztucznej. Doktor i ksiądz, dla powodów niedostatecznie

się tłumaczących, mistyfikują swą zanaą przyjaciółkę. Doktor nadto dowiadyuje się tajemniczej historii owej rośliny w dość niezwykły sposób — panna de Saint-Salbi, będąc chorą, opowiada ją w malignie. Roulette należy do spiskowców wbrew własnej woli, zmuszony do tego postrachem i w takichże warunkach idzie na barykady, by ostatecznie zginąć bohaterską śmiercią w obronie Ludwika-Filipa, za wskazówką tej, która, będąc tak fanatycznie przekonana, że Ludwik XVII żyje i pragnąc, by odzyskał swe prawa, musiała być tem samem najzaciętszą przeciwniczką „uzurpatora.“ Ten koniec melodramatyczny odbiera wreszcie sztuce jedność jej charakteru. Pomimo te strony ujemne „Sire“ jest komedią, posiadającą piękne i rzadkie zalety w swym stylu wykwiintnym, czysto francuskim, w dawniejszem, dodatniem znaczeniu tego określenia; w odczuciu i przedstawieniu takich charakterów, jak panna de Saint-Salbi, której mania, wynikająca z egzaltacyi uczuć szlchetnych, nie ośmiesza, lecz wzbudza dla niej sympatyczne współczucie, oraz Roulette, którego skłonności cygańskie i brak skrupułów, nie wyłączają pewnej instynktownej szlchetności, posuwającej tchórza i fanfaroną, pod natchnieniem chwili, aż do bohaterskiego poświęcenia życia; w zręcznem naszkicowaniu wreszcie takich sylwet charakterystycznych, jak ksiądz i doktor, lub wdzięcznych, jak lektorka Leonia.

Chociaż zalicza się do utworów muzycznych, „Le Mariage de Télémaque,“ komedia liryczna w pięciu aktach *Juliusza Lemaitre* i *Maurycego Donnay*, z muzyką *Klaudyusza Terrasse*, nie jest zwykłym librettem operetkowym, lecz dziełem dramatycznym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Na nazwę komedii lirycznej utwór ten zasługuje najzupełniej, bo jest napisany z głównem staraniem o prawidłowy rozwój wątku w akcji dramatycznej, dla której muzyka i śpiew stanowią raczej dodatek urozmaicający. Wyszędłszy z pod pióra tak znakomitych znawców literatury i świata starożytnego, rzecz ta zapowiadała się bardzo obiecująco. I w istocie, oczekiwań nie zawiodła, okazując się dziełem wykwiintnego humoru i nader żywą transpozycją obyczajów starożytnych do pojęć dzisiejszych, z tych stron poufnych życia, które, dotycząc podstaw bytu ludzkiego, pozostają, przy różnych formach powierzchownych, w gruncie niezmiennie.

Autorowie nie poruszają więc tu wielkich wypadków bohaterskich z Iliady i Odyssei. Należą one już do wspomnień przeszłości, w chwili, gdy rozpoczyna się akcyja. Ulisses pragnie ożenić syna swego Telemaka z Nausiką, córką Alkinosa, u którego niegdyś znalazł gościnność. Gdy właśnie radzi o tem ze swą

małżonką Penelopą, przybywają posłowie spartańscy z listem od Heleny, która, powziąwszy ze swej strony zamiar swatania Telemaka z Nausikaa, powiadamia o mającem nastąpić przybyciu jej z rodzicami do Sparty i zaprasza go na uroczyste ich przyjęcie. Ulisses jest uszczęśliwiony, oznajmia synowi tę miłą nowinę i każe przygotować dary dla swych dostojnych przyjaciół. A więc Menelausowi przeznaczają lirę, zrobioną z rogów bawolich, którą wszakże, za radą Penelopy, obdarzonej delikatniejszą niewieścią przenikliwością, zastąpiono bogato zdobnym mieczem zmarłego Laersa, ojca Ulissa. Dla Heleny, na znak względów szczególnych, zażądał Ulisses od małżonki, by ofiarowała swój cenny welon, dzięki któremu przez dwadzieścia lat pozostała mu wierną. Penelopa wzdraga się, bo ciężko jej rozstać się z takim talizmanem i to jeszcze, by go sprofanować, oddając go osobie tak osławionej. Ale Ulisses zapewnia ją, że Helena, jeżeli zachowała dotąd swą nieporównaną piękność, to zmieniła się zupełnie na tym punkcie i stała się małżonką wzorową i kobietą najgodniejszą szacunku.

Ze względu na szczęście syna, Penelopa czyni tę ofiarę i Telemak ma już odpłynąć w towarzystwie posłów spartańskich i przydanych mu dworzan, gdy, w ostatniej chwili, Ulisses, który zasiedział się już trochę w domu i pragnie się przewietrzyć, postanawia pojechać z nim razem, ku mocnemu niezadowoleniu Penelopy, po dawniejszem doświadczeniu nie ufającej zbyt cnie awanturczemu małżonkowi. Po przybyciu do Sparty, w oczekiwaniu na nieznaną mu dotąd narzeczoną, Telemak zakochuje się w Helenie i, zapomniawszy o celu swej wizyty, postanawia ją porwać. Daremno Helena stara się uspokoić zapalonego młodzieńca, tłumacząc mu, że była już porywaną, że ma tego dosyć i że pragnie teraz żyć spokojnie w domu, to wszystko nie trafia do jego przekonania i nie daje jej spokoju, dopóki mu nie obiecała, że się da porwać. Telemak okazuje się więc chłodnym dla Nausikai i szuka tylko sposobności zbliżenia się do Heleny, co też tamta spostrzega i, płacząc, gorzko skarży się na swój zawód mimowolnej i doświadczonej rywalce. Ale Helena ją uspakaja i pociesza, bo ma już plan gotowy, by skłonić ku niej Telemaka. Umówiwszy się z nim co do ucieczki nocną porą, żąda, by jej obiecał, że nie będzie starał się odsłonić jej oblicza, póki się dzień nie zrobi i wysyła na swe miejsce Nausikaa. Telemak dotrzymuje słowa i, gdy nazajutrz przekonywa się, że został oszukany, po chwili gniewu, daje się rozbroić wdziękom dzieweczki, która, wyznając mu swe uczucia, zaklina go, by jej nie odtrącał.

Helena nie zawiodła się, licząc, że zapalna krew młodzieńca każe mu z łatwością zapomnieć o piękności nieobecnej, działającej nań głównie urokiem swej awanturniczej przeszłości, przy boku tej, która mu się odda z gorącym i świeżem uniesieniem pierwszej miłości. Zamiast tedy przybić do tajemniczej wyspy, gdzie miał zaznać z Heleną zdrożnych rozkoszy, Telemak każe skierować statek do Itaki, gdzie z rozrzewnieniem przyjmie go z narzeczoną czcigodna jego matka Penelopa.

Cała ta historia, jeżeli nie jest zbyt poważną i nie ma pretensyi do wskrzeszenia życia starożytnego ze ścisłością archeologiczną, to jednak nie jest też farsą, ani parodią. Postacie mają tu swój charakter dobrze określony, chociaż ukazują się w warunkach łatwych, wesołych, raczej humorystycznych.

Helena widzimy w świetle nieco nowem i niespodziewanem, jako niewiastę zącą, którą przeszłość burzliwa nauczyła kochać cnotę, z pewną względną pobłażliwością dla porywów i usterek, w kierunku erotycznym wieku młodego, gdy natomiast Penelopa ma całą surowość cnoty bohaterskiej, która nigdy z prawej drogi nie zawróciła. Ulisses, choć nie występuje tu w roli bohaterskiej, jest zawsze człowiekiem dzielnym, czynnym, pomysłowym, sympatycznym i lubiącym się zabawić. Zaś niefortunny Menelaus, skazany na wieczne pośmiewisko, ma też i tutaj takiż charakter nieco karykaturalny głupowatego safandudy. Wreszcie Telemak i Nausikaa, zbyt młodzi, by przedstawiać cechy zdecydowane, odznaczają się oboje skłonnościami, właściwemi ich wiekowi—on, porywczy w swych namiętnych uniesieniach, ona, czuła i kochająca. Razem wzięwszy, komedia ta, napisana w części prozą, w części wierszem i przeplatana muzyką, śpiewem i tańcami, stanowi przedstawienie bardzo przyjemne i estetyczne, które na scenie paryskiej Opery komicznej doznało i doznawać będzie nadal powodzenia.

O wiele więcej zakrawa na przedstawienie operowe, chociaż bez muzyki, ni śpiewu, sztuka czteroaktowa wierszem, *Miguela Zamacois*, p. t. „La Fleur Merveilleuse,” tak jej wątek jest fantastyczny, akcja rozciągnięta i chwiejna, a wszystko razem obliczone w dużej części na efekt optyczny. Treść, nacechowana nieco przestarzałym romantyzmem, obfituje, pomimo szczupłości swego założenia, w sceny, same przez się malownicze, ale obciążające i gmatwające akcję. Rzecz dzieje się w XVII wieku w Holandyi. Do słynnego z uprawy tulipanów Harlemu przybywa pod opieką matki Reginy i w towarzystwie wiernego sługi Gobelousse, pewien młodzieniec, Francuz, imieniem Gilbert, dotknięty melan-

cholia, po stracie narzeczonej, która go opuściła. Matka namówiła go na tę podróż w nadziei, dotąd zawodnej, że zmiana go rozerwie i pozwoli mu zapomnieć o niewiernej. W Harlemie właśnie odbywa się konkurs tulipanów, do tego stopnia roznamiętniający umysły, że bardziej zapalczywych amatorów kwiatów od sprzeczek popycha aż do pojedynku. Jeden z najpoważniejszych i najbogatszych hodowców van Amstel, pokonany w tym konkursie, ogłosił drugi konkurs, którego on sam, na czele najpoważniejszych znawców, będzie sędzią i odda w nagrodę temu, kto przedstawi najpiękniejszy okaz tulipana, rękę swej córki jedynaczki, pięknej i posażnej Griet. Taki konkurs, a szczególnie taka nagroda, poruszyć musiały całą Holandję. Ale matka Gilberta zauważyła, że jej syn zajął się nieco młodą Griet, której zdawał się też nie być obojętnym, zapragnęła więc z całej duszy doprowadzić do ich związku. Gilbert tedy weźmie udział w konkursie. Kłopot tylko wielki, skąd wziąć takiego tulipana, kiedy co kto ma najpiękniejszego, chowa dla siebie? Na szczęście zjawia się Cyganka Speranza, której Regina w pewnych okolicznościach uratowała życie. Dowiedziawszy się, o co idzie, Speranza, przez wdzięczność, a także trochę wiedziona czulszem uczuciem dla Gilberta, przynosi Reginie cudowny kwiat, wyhodowany przez nią z cybulki, pochodzącej z Indyi i mającej własności czarodziejskie. Tulipan Gilberta wzbudził zawczasu zachwyt tłumów i znawców, ale wzbudził też zazdrość współzawodników, z których nawet jeden, kawaler de Blancourt, próbował — szczęściem daremnie — go zniszczyć. Wreszcie, po innych jeszcze trudnościach, cudowny tulipan, przyjęty na konkursie entuzjastycznymi okrzykami, zyskał jednogłośnie uznanie sędziów, którzy oświadczyli, że okazu takiej piękności jeszcze nie widzieli, poczem natychmiast nastąpiły, wobec uszczęśliwionej matki i ku wielkiej złości zawiedzionych konkurentów, zaręczyny uzdrowionego Gilberta z uroczą Griet, posażną córką van Amstela. Rzecz ta, dość mierna, jako utwór poezyi dramatycznej, zawierająca wstawki zapożyczone z antologii, jak sonet Teofila Gautier na cześć tulipana, nie jest przecież pozbawioną wartości, zaś, w starannej wystawie, przy malowniczym ugrupowaniu scen, na tle pięknych dekoracyj, przy bogatych i barwnych strojach i wyborowej grze artystów Komedyi Francuskiej, złożyła się na całość przedstawienia bardzo artystyczną.

Dzieła, wymienione powyżej, charakteryzują najbardziej francuską twórczość dramatyczną ubiegłego roku teatralnego. Niemniej dołączyć można do tychże sztuki: *Eugeniusza Brieux* „Su-

zette“ (Vaudeville); *Ludwika Bènière* „Papillon, dit Lyonnais-Juste“ (teatr Antoine); *Marcelego Prévost* „Pierre et Thérèse,“ przeróbka z własnej powieści pod tymże tytułem (teatr Gymnase); „Le Bois Sacré“ *Roberta de Flers* i *G. de Caillavel* (Variétés) i drobny utwór wierszowany tegoż tytułu *Edmunda Rostanda* (teatr Sarah Bernhardt); „Un Ange“ *Alfreda Capus* (Variétés); „La Rampe,“ *Henryka Rothschilda* (Gymnase); „Le Risque,“ *Romana Caolus* (teatr Réjane), oraz parę innych, które mniej lub więcej odznaczyły się w ciągu tego okresu.

ORWID.

Jedna z pierwotniejszych grup ludzkich.

Znany antropolog holenderski, dr. Stratz, bardzo trafnie upodobia życie poszczególnych grup ludzkich, zwanych rasami, do życia pojedynczych osobników, składających rodzinę lub społeczeństwo. Z pośród jednostek ludzkich—mówi Stratz—jedne wchodzi zaledwie w życie, wówczas gdy inne znajdują się u szczytu rozwoju fizycznego i umysłowego, jeszcze zaś inne chylą się ku starości i opuszczają widownię życia. Tak samo dzieje się z rasami: tu również obok grup powstających dopiero, krystalizujących się, widzimy rasy kwitnące pełnią sił, potężne rozwojowo; i znów obok tych dwóch grup spostrzegamy trzecią: rasy przeżyte, bądź niezdolne do życia w danych warunkach, w każdym razie rasy wymierające.

Wobec tego nie mamy prawa mówić o jakichbądź stałych stosunkach rasowych i taki obraz ras, jaki nam się przedstawia w chwili obecnej naprzykład, może być li tylko uważany za migawkowe zdjęcie, za odbicie pewnej chwili, za odpowiednik danego momentu dziejów rozwoju ludzkości.

*

*

*

W walce o byt, w stykaniu się i ścieraniu wzajemnem grup rozmaitych, grupy mniej posunięte pod względem rozwoju intelektualnego, nieprzygotowane lub niezdolne do przyjęcia nowych form kultury, grupy, które pod wpływem pewnych specjalnych

warunków środowiska, a zarazem izolacji, zatrzymały się na niższym stopniu rozwoju, zatracając zarazem podatność do wchłaniania nowych elementów kultury, giętkość przystosowania się do odmiennych warunków bytu — grupy takie z góry skazane są na zagładę, na mniej lub więcej szybkie wymarcie. Przykładów w tym względzie mamy bardzo wiele. W miarę rozwoju badań etnologicznych i docierania badaczy-podróżników do okolic coraz mniej dostępnych, poznajemy wciąż nowe plemiona o właściwościach fizycznych prymitywnych, o niskim poziomie kultury, które przy zetknięciu się z elementami kulturalnie doskonalszymi szybko giną w zbyt nierównej walce. Do takich plemion szczątkowych należą między innymi: Weddowie cejlońscy, Toalowie na Celebesie, szereg szczepów z głębi Sumatry i z półwyspu malajskiego, plemiona karle z dziewiczych lasów Afryki zwrotnikowej, Buszmeni z Kalahari, wreszcie Australczycy. Autochtoni Tasmanii wymarli już nawet zupełnie.

I właśnie dlatego, że plemiona szczątkowe stanowią resztki ginącego świata etnicznego, zachodzi tem większa potrzeba jaknajdokładniejszego ich zbadania, zarówno pod względem fizycznym, jak kulturalnym.

Wewnątrz bowiem grup takich, mniej lub więcej silnie izolowanych, rozwój progresywny musiał ulegać pewnemu zastojowi, wskutek złagodzenia walki o byt, a zarazem wskutek utrudnionej wymiany elementów rasowych, t. j. słabego procesu mieszania się ras. W związku z tem grupy podobne były w możności pozostać bardziej konserwatywnymi, mogły zachować większą dozę pierwotności, niż rasy ścierające się ustawicznie ze sobą w żywo pulsującej walce o byt. W nich więc łatwiej, niż w innych pozostałych grupach ludzkich, odnajdywać możemy, zarówno pod względem somatycznym, jak pod względem kulturalnym, ślady dawniejszych, przebytych już stadyów rozwoju ludzkości.

*

*

*

Zdaniem wielu wybitnych badaczy, jak Huxley'a, Peschla, Stratza, Klaatscha i innych, z pośród ras ludzkich dziś żyjących jedną z najpierwotniejszych są Australczycy.

O pierwotności fizycznej Australczyków świadczy zarówno zachowanie przez nich wielu prymitywnych znamion budowy, jak

szerokie granice wahań typu fizycznego i stosunkowo nieznaczny rozwój w kierunku jednostronnym, specjalnym. Opierając się na tych danych, Stratz przypuszcza, że z pośród wszystkich znanych nam dziś grup ludzkich Australczycy najmniej odsunęli się od typu zasadniczego, pierwotnego, t. j. od typu, który mógł dać początek całokształtowi ras ludzkich. I rzeczywiście, w rasie australskiej odkrywamy w stanie zaczątkowym, pierwotnym wiele cech fizycznych, będących cechami charakterystycznymi dla trzech grup dziś tak odrębnych, jak rasy: biała, żółta i czarna.

Co się tyczy poziomu kulturalnego Australczyków, to wszelkie badania, prowadzone dotychczas na lądzie Australii, dowodzą niezmiernej pierwotności obyczajów jej mieszkańców, minimalnego zakresu ich potrzeb, prostoty narzędzi, ubóstwa objawów życia duchowego — co wszystko razem składa się na obraz stosunków niewątpliwie bardzo prymitywny.

Zważywszy więc, że wymierający Australczycy stanowią grupę etniczną tak rzeczywiście ciekawą, a jednocześnie tak stosunkowo mało nam znaną, zamierzam przytoczyć tu wyniki najnowszych badań naukowych, prowadzonych na lądzie Australii przez Klaatscha, Mathewsa, Schmidta, Northcota, Basedowa, Strehlowa i innych.

*

*

*

Charakteryzując Australię, Peschel pisze o niej, że jest ona wyspą, pozbawioną stron dodatnich klimatu wyspowego, krajem stepowym bez zwierząt kopytowych, właściwych stepom, środowiskiem spokoju i sennej walki o byt, czemś w rodzaju schroniska i przytułku dla świata roślinnego i zwierzęcego epok minionych.

Rzeczywiście, dziwnym lądem jest Australia; dziwnym zarówno pod względem stosunków hydrograficznych i klimatycznych, jak w zakresie fauny i flory.

Cechą znamioną klimatu Australii jest suchość. Jedynie tylko część północna, wschodnia i południowo-wschodnia, a raczej pas nadbrzeżny, ciągnący się na tej przestrzeni, ma dosyć opadów. Już jednak po drugiej stronie gór i wyniosłości, biegnących wzdłuż wybrzeża, stosunki ulegają nagłej zmianie i ilość opadów redukuje się do połowy, a im dalej posuwamy się w głąb

lądu, tem susza daje się silniej we znaki. Suchość ta wynika zresztą nietyle z małej wogóle ilości opadów, jak z nierównomiernego ich rozkładu w ciągu roku. Czasami przez ciąg kilku dni spada cała niemal roczna ilość deszczu w postaci niepojętej wprost ulewy, natomiast pozostałe miesiące nie otrzymują żadnych zgoła opadów. Stąd też częstokroć tam, gdzie podróżny dziś umiera niemal z pragnienia, jutro, gdy okolicę nawiedzi nagła powódź, grozi mu śmierć z utonięcia wśród równiny zalanej, jak oko sięgnie, wodami. Wnętrze Australii, a także jej część zachodnia i południowa najbardziej cierpią wskutek braku i nieregularności opadów. Jakoż ogromne przestrzenie mają tu charakter bądź stepu o roślinności spalonej, suchej, szarej, bądź nawet pustyni kamienistej lub piaszczystej ze zwałami diun i jeziorami słonemi.

Pod względem ubóstwa wód bieżących Australia przewyższa wszystkie inne lądy. Z pośród rzek, dosięgających morza, jedynie tylko Murray posiada systemat rozgałęziony i obejmujący przestrzeń bardzo rozległą. Według Réclus, przestrzeń ta przewyższa obszar systematu Tygrysa i Eufratesa razem wziętych, Dunaju, rzeki św. Wawrzyńca i dorównywa obszarowi, jaki zajmuje Ganges z dopływami! Lecz jakże znikomo mała wobec tej przestrzeni jest ilość wody, którą Murray wlewa do oceanu; wydajność jego roczna wynosić ma zaledwie około 350 met. sześć. na sekundę, czyli mniej, niż wydajność Sekwany! Przyczyną tak niezwykłego stosunku pomiędzy obszarem zajmowanym przez systemat rzeczny a ilością wody przezeń dostarczaną jest wielkie ubóstwo wody w dopływach Murraya; z pośród nich, a szczególnie z pośród dopływów drugiego rzędu, wiele jedynie tylko po deszczach ulewnych jest w możności dosięgnąć koryta rzeki głównej, przeważnie zaś wątle te arterye wyczerpują się po drodze, wsiąkając poprostu w ziemię. Takie właśnie tylko okresowe istnienie wielu rzek i strumieni jest właściwością Australii, a szczególnie jej pustynno-stepowych okolic zachodnich, południowych i wewnętrznych. Te same strumienie, których nikłe ślady przez większą część roku ujawniają się w postaci wyschłego, kamienistego łożyska, lub szeregu płytkich kałuży, nagle, po spadnięciu deszczów ulewnych, przekształcają się w rwące potoki lub szeroko rozlane rzeki. Nic dziwnego przeto, że w opisach podróży po Australii czytamy o rzekach, „w których było,“ lub „w których nie było wody;“ tu bowiem „woda“ nie jest bynajmniej koniecznym atrybutem „rzeki.“ Tam, gdzie częstokroć jeden z podróżników napotyka szeroką wstęgę rzeczną o brzegach porośłych bujną roślinnością, następca jego, wędrujący przez tę samą okolicę,

widzi jeno wyschłe łożysko ze szczątkami zamierających drzew, krzewów i trawy. Zmianom podobnym ulegają również i jeziora Australii; wiele z nich wysycha zupełnie w porze bezdeszczowej, pozostawiając na dnie bądź warstwę spękanego mułu lub gliny, bądź białe osady soli.

Obok suszy, ujemną stronę klimatu Australii stanowią silne wiatry. Szczególniej przykry, a nawet zgubny dla rolnika i pastusza jest wiatr rozpalony, wiejący częstokroć w porze letniej od wnętrza lądu ku wybrzeżu wschodniemu i południowemu. Działanie jego podobne jest do działania Sirocca afrykańskiego: temperatura nagle podnosi się, żar i suchość powietrza wyczerpują rośliny, zwierzęta i ludzi i jeśli wiatr nie ustaje dość szybko kwiaty i liście warzą się, jak od mrozu, owoce na drzewach ulegają literalnie upieczeniu, woda w cysternach wysycha, a wiele ptactwa i zwierząt pada ofiarą gorąca i suszy. Subtelny czerwona pył wypełnia powietrze, unosząc się nakształt obłoków nawet daleko nad morzem, i gdy wreszcie nastąpi upragniona zmiana wiatru, okazuje się, że wszystkie przedmioty—trawa, rośliny, pokryte są warstwą rudawego kurzu. Stąd koloniści zwą wiatr ten „cegłarzem“ (bricklayer). Zmianie wiatru, szczególnie w lecie, towarzyszą zazwyczaj gwałtowne nawałnice, określane nazwą „burstera“, czyli wybuchów. Również i cyklony dają się tu dotkliwie we znaki.

Pomimo jednak suszy, wiatrów i dość znacznych różnic temperatury, występujących szczególnie silnie wewnątrz lądu, klimat Australii jest wogóle bardzo zdrowotny, gdyż pozbawiony wilgotnych, błotnistych wyziewów, rodzących febrę, malaryę i gorączki.

W związku z suchym i surowym klimatem Australii roślinność jej nosi na sobie piętno odporności na suszę i na zmiany klimatyczne. Liście są tu twarde, skórzaste, co chroni je od nadmiernego parowania, częstokroć też wiszą lub sterczą pionowo, albo mają postać nitkowatą, co pozwala im przeciwstawiać mniejszą powierzchnię palącym promieniom słońca; korzenie długie i rozgałęzione przystosowały się do wyszukiwania wilgoci na znacznej przestrzeni i głębokości. Wyjątek pod tym względem stanowi poniekąd flora pasa nadbrzeżnego północnego i wschodniego, która też mniej obfitując w rośliny charakterystyczne dla Australii, posiada natomiast wiele gatunków właściwych Indonezyi. Lasy Australii mają wygląd zupełnie odrębny zarówno od niedostępnych, splełanych lianami lasów zwrotnikowych, jak od gęstych borów i zwartych lasów mieszanych strefy umiarkowanej.

Tu las składa się z drzew wysokopiennych, zrzadka rozsianych na przestrzeni porosłej trawą bądź niskimi krzewami, co tworzy krajobraz zadrzewionej łąki lub gaju. Dawniej na przestrzeniach takich pasły się stadka kangurów; obecnie, z chwilą kolonizacyi Australii przez Europejczyków, kangury stają się coraz rzadsze, a miejsce ich na pastwiskach leśnych zastępują owce. Jednocześnie w okolicach, zajmowanych przez kolonistów, liczba lasów stopniowo się zmniejsza, farmerzy bowiem dla rozszerzenia pastwisk, a zarazem w celu zachowania dla traw całego zapasu wilgoci podskórnej i deszczowej, niszczą częstokroć znaczne obszary leśne, bądź wycinając masowo drzewa, bądź poprostu obdzierając tylko pierścień kory dokoła pni drzewnych. Wśród gatunków drzew właściwych Australii przeważają *eukaliptusy*, występujące tu w liczbie około 120 odmian i stanowiące większość lasów Australii; charakterystyczne są nadto dla niej: *kazuaryny*, czyli rzewnice, o długich, spuszcistych włóknach zamiast liści, *drzewa trawiaste*, w postaci wielkich kęp, z których środka wystrzela trzcinowata łodyga, okryta w porze kwitnienia białymi gwiazdami kwiatów, *drzewo baniaste*, o pniu dziwacznie wydętym, i inne.

W miarę jak od wybrzeży posuwamy się w głąb lądu Australii, w miarę jak suchość powietrza i gruntu wzrasta, roślinność kurczy się, karleje, lasy i łąki ustępują miejsca obszarom stepowym, bądź porośłym kępami ostrej, twardej, spalonej trawy, bądź pokrytym gęstwiną splątanych, kołących krzewów, znaną pod nazwą *skrubu*.¹⁾ Skrub jest wyłączną właściwością Australii; jedynie tylko „macchie“ korsykańską można by poniekąd uważać za słabsze i łagodniejsze jego odbicie. Obszary skrubu, ciągnące się częstokroć na przestrzeni wielu mil kwadratowych, stanowią niezmierne utrudnienie komunikacyi przez wnętrze Australii, niektóre bowiem jego części są wprost nieprzebyte i wielu podróżników daremnie usiłowało przedrzeć się poprzez zbitą gęstwą gałęzi i łodyg równie odpornych na razy topora, jak na działanie ognia. Wygląd skrubu bywa rozmaity, zależnie od roślin, jakie go składają. Prawdziwym postrachem dla podróżnych jest t. zw. *mulgascrub*, złożony z akacyj karłowatych i karłowatych eukaliptusów, rosnących pospołu i tworzących gęstwinę zwartą i niedostępną o zabarwieniu monotomie szarem, spopieliałem, martwym.

¹⁾ „Scrubby“ znaczy po angielsku: lichy, podły, plugawy; „scrub“ — obszarpaniec, szubrawiec; „to scrob“ — drapać, szorować, — co wszystko razem trafnie maluje charakter tego ciekawego typu florystycznego.

Obszary, pokryte eukaliptusem „Dumosa“ (t. zw. *maleyscrub*), którego pień ulega rozgałęzieniu dopiero na wysokości, jakich 3—4 metrów, są już dostępniejsze. Wreszcie gęstwiny, złożone z *krzewów myrtowatych* (malaleuca), mniej zbitych, rosnących w odstępach nieco rzadszych, są najbardziej urozmaicone i najłatwiej dają się przebywać. Dla umożliwienia i ułatwienia komunikacji przez obszary zajęte skrubem, co jest zarówno ważne dla kolonistów-hodowców, jak dla eksploatatorów pól złotodajnych i kopalni australskich, rząd angielski wyznacza drogi poprzez skrub, wycinając lub wypalając szerokie szlaki gęstwiny.

Z wyjątkiem pasa nadbrzeżnego północnego i wschodniego i obszarów uprawnych, zajętych przez kolonistów, ład australski odznacza się ubóstwem roślin, mogących służyć za pokarm jego mieszkańcom. Ubóstwo to wyraża się jeszcze silniej pod względem jakościowym, niż pod względem ilościowym, mało tu bowiem zbóż i roślin o owocach lub kłączach pożywnych. Stąd też w częściach zachodnich i środkowych ładu głód daje się często odczuwać krajowcom, zmuszając ich do ustawicznej zmiany siedzib, do ciągłej wędrówki w poszukiwaniu pożywienia. Szczególniej krytyczne są okresy suszy i powodzi. Wrażenie ubóstwa pokarmu roślinnego w Australii jest tem silniejsze dla Europejczyka, że wiele substancyj, jadanych przez ludność miejscową, jest wprost nieznanych dla nas i nieraz zdarzało się, że krajowcy ratowali białych od głodu, przynosząc im pokarm roślinny, którego ci ostatni nie byłiby w stanie sami znaleźć. Grey wylicza np. dla południowo-zachodniej Australii 7 gatunków korzeni jadalnych, 4 gatunki żywicy, 7 gatunków grzybów, wiele owoców i jagód, wreszcie obfitujące w miód kwiaty banksyi (proteaceae). W pasie północnym i wschodnim lista powyższa znacznie się zwiększa, przybywa tu bowiem kilka gatunków palm jadalnych, niektóre rośliny strączkowe, nasiona niektórych traw, a szczególnie obfitującej w ziarno Marsilia Drumondi, wreszcie wiele owoców. Wprawdzie żadna z roślin właściwych Australii nie stała się przedmiotem uprawy dla krajowców, lecz przyczyną tego faktu jest raczej nizki poziom kulturalny Australczyków, niż brak roślin nadających się do uprawy.

Przejdźmy do fauny Australii. Oddzielenie się Australii i od wielkiego masywu lądowego euro-azyatyckiego nastąpiło w tym okresie ewolucji fauny, gdy rozwój ssawców nie doszedł był jeszcze do wyróżnicowania się ssaków wyższych i jedynymi przedstawicielami ssących były *stekowce i workowate*. Dzięki temu i wskutek następnej długotrwałej izolacji Australii, wówczas gdy w in-

nych okolicach ziemi świat zwierzęcy, pod wpływem walki o byt i różnorodności środowiska, wydawał z siebie coraz nowe, coraz wyższe postacie ssawców, a zaś pierwotni ich przedstawiciele znikali z widowni — na lądzie Australii, wobec nieznacznych tylko przekształceń środowiska i łagodniejszej walki o byt, te właśnie ssaki niższe mogły uleść zachowaniu i zdołały przetrwać aż do chwili obecnej w postaci stosunkowo niewiele tylko zmienionej. Natomiast ssawców wyższych: parzysto- i nieparzystokopytowych, drapieżnych, małp, Australia nie posiadała zupełnie; na jej własnym obszarze brakło bowiem bodźców, któreby wywołały ich wyróżnienie się, a izolacja wyspowa stanowiła przeszkodę w przedostaniu się tych zwierząt z sąsiedniego lądu azjatyckiego. Wprawdzie wewnątrz ssaków workowatych Australii nastąpiło zróżniczkowanie się, odpowiadające pod niektórymi względami, mianowicie pod względem trybu życia i w zakresie odżywiania się, kierunkom rozwojowym ssawców wyższych; mamy tu bowiem torbacze drapieżne, owadożerne i mięsożerne, torbacze gryzonie, torbacze trawożerne; wszystko to jednak są postacie *beżłożyskowe*, niższe rozwojowo, o znamionach nader pierwotnych. Zwierzęta domowe: bydło, konie, owce, trzoda chlewna, króliki, koty i psy dostały się do Australii dopiero wraz z kolonizacją europejską. Również i nawpół dziki pies, *Dingo*, którego Europejczycy zastali już w Australii, według wszelkiego prawdopodobieństwa przedostał się na ten ląd w stanie udomowionym, jako towarzysz człowieka, mianowicie z imigrantami z Indonezyi, którzy na łodziach lub wprost na kłocach drzewa, a nawet wpław, przypadkowo lub celowo dotarli do wybrzeży australskich. Tu uległ dingo ponownemu zdziczeniu.

Bezporównania mniej odrębna, niż w zakresie ssawców, jest fauna Australii w zakresie ptaków, dla których, rzecz prosta, izolacja wyspowa znacznie słabszą stanowiła zaporę. Wprawdzie spotykamy tu charakterystyczne dla Australii *kazuary*, *emu* i *lirogony*, pozatem jednak świat ptasi australski mieści w sobie cały szereg gatunków właściwych Indonezyi, Polinezyi i półwyspowi Indochińskiemu.

W związku z objawem peryodycznego wysychania rzek i jezior Australii pośród nielicznych stosunkowo gatunków ryb, żyjących w jej wodach, spotykamy ciekawe ryby dwudyszne, posiadające obok aparatu oddechowego skrzelowego prymitywny aparat płuenny. Budowa taka pozwala im przebywać porę suszy w płytkich, zarośniętych kałużach, w mule rzeczonym. Przedstawicielem

ryb dwudysznych w Australii jest gatunek *Ceratodus*, dosięgający kilku stóp długości.

Ubóstwo i trudność zdobycia pokarmu zwierzęcego w silniejszym jeszcze stopniu daje się odczuwać krajowcom Australii, niż brak pokarmu roślinnego. Kangury i strusie-emu, stanowiące najgrubszą zwierzynę, stają się tu coraz rzadsze, a zresztą polowanie na nie jest trudne ze względu na ich czujność i płochliwość; również tryb życia wyłącznie nocny wielu zwierząt workowatych utrudnia niezmiernie ich chwytanie; wreszcie ubóstwo wód słodkich pociąga za sobą brak ryb, mięczaków i innych zwierząt wodnych jadalnych. Najpomysłniejsze stosunki faunistyczne spotykamy naturalnie na tych obszarach Australii, gdzie roślinność jest najbujniejsza, a więc w części północnej, wschodniej i południowo-wschodniej. Jednakże i tu nawet krajowcy cierpią na dotkliwy brak pokarmu zwierzęcego, co staje się przyczyną ustawicznych napadów na stada kolonistów europejskich. Dla mieszkańców wybrzeży głównym artykułem spożywczym są mięczaki i ryby; na wybrzeżu zachodnim i południowym polują oni również na *diugonie* (*halicore indica*). Oprócz różnorodnego ptactwa i jaj ptasich Australczycy jadają jaszczurki i niektóre gatunki węzów. Gąsiennice chrząszczy, żyjących na palmie trawiastej, są bardzo poszukiwane i uważane za przysmak.

Wogóle jednak, z chwilą kolonizacji europejskiej zarówno świat roślinny, jak zwierzęcy Australii uległ doniosłym modyfikacjom, zyskując znaczną domieszkę nowych gatunków roślin i zwierząt, przeważnie łatwo aklimatyzujących się na nowym gruncie, a nawet wypierających słabsze gatunki miejscowe, które powoli giną i cofają się w głąb lądu przed zaborem obcej fauny i flory.

Podobne wypieranie elementów miejscowych zachodzi w Australii i w zakresie człowieka.

Dzieje okupacji Australii przez rząd angielski należą do kart dziejowych najsmutniejszych i najbardziej hańbiących ludzkość. Człowiek biały okazał się tu bezwzględny i okrutny ciemną, bezbronnych istot, które wyzuł z ich własnej ziemi, pozbawił w znacznej mierze środków do życia, przesładował i tępił niby zwierzęta dzikie, obdarzając wzamian dobrodziejstwami kultury w postaci alkoholizmu i szeregu chorób importowanych z Europy.

Już pierwszym błędem Anglii w stosunku do Australii było utworzenie z niej kolonii karnej dla swych przestępców; wskutek tego element, z którym najsamprzód zetknęli się krajowcy, był elementem ujemnym, złożonym z zesłańców, po większej części

zbrodniarzy, i z ich dozorców, ludzi surowych i okrutnych. W roku 1778, czyli w lat 8 po odkryciu przez Cooka zachodnich wybrzeży Australii, pierwszy transport, liczący 787 skazańców, zainicjował do Botany-Bay w Nowej połud. Walii, przywoząc ze sobą, oprócz innych chorób zakaźnych, epidemię ospy, która, zawleczone od wybrzeży w głąb lądu, grasowała tu aż do r. 1840, zabierając niektórym okolicom połowę ich mieszkańców. W przeciągu lat 42, t. j. do r. 1820, Australia wchłonęła 25,878 zesłańców płci obojga; od tej chwili jednak liczba imigracyi znacznie wzrasta, poczynając bowiem od r. 1820, do kolonizacyi karnej przymusowej przyłącza się ruch kolonizacyjny dobrowolny, czyli wychodźstwo. Z chwilą tą również powstaje gorący protest wśród kolonistów wolnych przeciw deportacyi przestępców na terytorium australskie. Po upływie lat 20, w r. 1840, słuszna ta pretensya zostaje wreszcie uwzględniona, przynajmniej w zakresie wybrzeży wschodnich, ponieważ Tasmania w r. 1853, a Australia Zachodnia w 1868, otrzymywały jeszcze skazańców na osiedlenie. Obecnie element pierwotnych zesłańców uległ zupełnemu wsiąknięciu w masę pozostałej ludności.

Zaludnienie Australii nigdy prawdopodobnie nie było gęste; nie posiadamy jednak żadnych danych dokładnych co do liczby krajowców w pierwszych momentach imigracyi europejskiej. W każdym bądź razie wymieranie autochtonów przy zetknięciu z Europejczykami następowało bardzo szybko. Dane statystyczne z r. 1881, dotyczące terytorjów zajętych przez kolonizacyę, określają liczbę Australczyków, żyjących na tym obszarze, na jakie 30,000; w r. 1899 liczba ta redukuje się do 6000 osobników zaledwie!¹⁾ W samej tylko prowincyi Wiktoryi od r. 1824—81 liczba krajowców spada z 5000 na 750, czyli 6-iokrotnie; w chwili zaś obecnej, jak podaje Klaatsch, pozostało ich nie więcej jak 300! Wprawdzie nazewnątrz terenów, zajętych przez kolonizacyę w Zachodniej, Południowej i Północnej Australii, a także w głębi lądu, chroni się pewna ilość szczepów nieobjętych statystyką, zdala od zetknięcia z białymi przybyszami, lecz liczba tych wolnych jeszcze gromad nie może być znaczna wobec tego, że właśnie najlepsze, najurodzajniejsze obszary Australii zostały zajęte przez białych, i to, co pozostało krajowcom z ich ojczyzny, stanowi przeważnie jej część najsuchszą, najdzikszą, najuboższą, a co zatem idzie niezdołną do zapewnienia życia większej ilości miesz-

¹⁾ Sievers, Australien. Bibliographisches Institut. 1902.

kańców. W każdym bądź razie wszędzie, gdzie ludność napływała jest rzadsza, liczba krajowców stosunkowo wzrasta—i odwrotnie. Jest to oczywistym dowodem cofania się i ulegania elementu miejscowego przed elementem obcym, zaborczym. W północno-zachodniej Australii np., gdzie dotychczas istnieją nieznaczne tylko osady europejskie, ilość krajowców, jak podaje Klaatsch, obliczana jest przeszło na 20,000; wprawdzie jest to bardzo niewiele jak na olbrzymi obszar, na którym szczepy te są rozproszone, stosunek jednak do liczby obcokrajowców, obliczonych na 50,000, przedstawia się tu o wiele lepiej, niż w prowincjach południowo-wschodnich, gdzie ludność miejscowa niemal zupełnie uległa wymarciu.

Pierwszych lat kilkadziesiąt kolonizacji angielskiej stanowi dla Australii poprostu okres krwawej obławy i masowego tępienia krajowców. Najlepszą ilustracją stosunków, jakie do niedawna jeszcze panowały na tym obszarze, jest kompletne „oczyszczenie“ wyspy Tasmanii od jej mieszkańców, ludności spokojnej i łagodnej, którą koloniści zastali tu w liczbie około 7000 osobników. W r. 1834 szczątki tej rasy zostały osaczone na jednym z przylądków i zabrane do niewoli; zwycięstwo to nad bezbronnyimi obchodzono uroczyście, a bohaterski organizator wyprawy, Robinson, otrzymał od rządu, jako nagrodę, 400 hektarów ziemi; nadto współrodacy zebrali dla niego składkę wysokości około 40,000 dolarów! Nieszczęśni jeńcy, przewożeni kilkakrotnie z jednej wysepki na drugą, ostatecznie zostali relegowani w liczbie 200 osobników na wyspie Flinders, pomiędzy lądem a Tasmanią. Lecz już po upływie 10-ciu lat pobytu przeszło $\frac{3}{4}$ zesłańców uległo wymarciu. Wówczas dopiero rząd odczuł litość, czy też wyrzut sumienia względem swych ofiar; 12 mężczyzn, 22 kobiety i 10 dzieci, przeważnie metysów, zostało przewiezionych z powrotem na Tasmanię i umieszczonych na przylądku Oyster-cove pod dozorem kilku urzędników. Tu w r. 1869 zmarł ostatni mężczyzna Tasmańczyk, a w r. 1876 ostatnia Tasmanka, królowa Truganini, zesłała do grobu w ślad za swoim plemieniem. Podobnych przykładów okrucieństwa i znęcania się nad krajowcami możnaby przytoczyć wiele w dziejach okupacji Australii!

Dziś stosunek rządu do ludności miejscowej uległ niewątpliwie znacznemu złagodzeniu; jednak wypieranie tubylców odbywa się w dalszym ciągu na drodze pozornie nawet prawnej, wskutek całego szeregu czynników zgubnych, wpływających z samego już zetknięcia się krajowców z ludnością napływową. Samo zjawienie się stad bydła i owiec, lub baraków poszukiwaczy złota

w okolicy dotychczas niezajętej przez kolonizację staje się hasłem ustąpienia lub zagłady dla krajowców; kangury bowiem i inna zwierzyna umyka, lub zostaje wkrótce wytępiona,¹⁾ kradzież bydła podlega surowej karze więzienia, połączonej częstokroć z odległą deportacją, i nawet pokojowe stosunki z przybyszami wpływają na Australczyków rozkładowo, zaszczipiając wśród nich rozmaite choroby i alkoholizm. Wszelkie zaś zatargi krwawe pomiędzy obu stronami, co w podobnych warunkach musi być na porządku dziennym, kończą się przeważnie z krzywdą dla Australczyka. Nawet bowiem chwilowe zwycięstwo nad człowiekiem białym, chociażby w obronie własnego mienia lub własnej egzystencji, ściąga zazwyczaj na krajowców wyprawę karną, która zagarniając winnych i niewinnych, odrywa ich od siedzib i gna do najbliższego posterunku władz dla osądzenia przestępstwa. Odbywa się sąd, a raczej parodia sądu, gdyż obwiniony niemal zawsze zostaje skazanym, i oto nowy transport nieszczęsnych ofiar wędruje pod eskortą żołnierzy do miejscowości niekiedy bardzo odległych, by odsiadywać karę za to, że śmiał buntować się przeciw przemocy, lub chciał nasycić głód kosztem tłustego stada, pasącego się na jego własnej łące.

W świeżo odbytej podróży naukowej po Australii Klaatsch zwiedzał więzienia, w których przebywali krajowcy i kilkakrotnie spotykał podobne transporty skazańców, poskuwanych łańcuchami za ręce lub za szyję. Wielu z nich umiera przed upływem terminu karni; część jednak powraca, unosząc ze sobą uczucie nienawiści i lęku względem przedstawicieli kultury, częstokroć najniesłuszniej zwanej „wyższą.“ Wprawdzie, w miarę posuwania się kolonizacyi, rząd pozostawia krajowcom pewne obszary niezajęte, t. zw. „rezerwy,“ i ustanawia nad nimi rodzaj pieczy i ochrony w osobie „protektorów;“ środki te jednak nie są w stanie zapobiedz nadużyciom ze strony kolonistów i niższych organów władzy i ustawicznym starciom z ludnością miejscową. Według informacji, jakie Klaatsch zebrał w Australii Zachodniej, wystarcza lat 40-u od chwili pierwszego zetknięcia się białych z Australczykami dla doprowadzenia tych ostatnich do stanu wymierania, t. j. do momentu, w którym liczba śmierci przewyższa liczbę urodzeń. Jednym z najważniejszych czynników, działających w tym względzie, ma być pozbawienie krajowców kobiet przez kolonistów, a w czasach ostatnich i przez Malajów, którzy

¹⁾ Jak podaje Réclus, w przeciągu 16 miesięcy zabito 220,000 kangurów w jednym tylko okręgu Warwick w Queenslandzie.

w charakterze poławiaczy pereł licznie nawiedzają wybrzeża zachodnie. Nic dziwnego, że wobec takiego postępowania ze strony ludności napływowej, w wielu okolicach stosunki są niezmiernie naprężone i tam, gdzie krajowcy stanowią dość silny element, np. w prowincjach zachodnich, zachowanie się ich względem białych jest wprost nawet wrogie. W innych znów okolicach unikają oni niejako instynktownie wszelkiego zetknięcia z Europejczykami, unykając lub kryjąc się za ich zbliżeniem.

A jednak najlepszym dowodem, że mogłoby być inaczej i że przyczyną takiego stanu rzeczy nie jest bynajmniej wrodzona dzikość Australczyków, lecz raczej postępowanie białych — są przyjazne stosunki, jakie potrafili zawiązać z ludnością miejscową niektórzy misjonarze w tej właśnie mało skolonizowanej i wrogo usposobionej północno-zachodniej części Australii. Pod względem umiejętności postępowania z krajowcami Klaatsch oddaje pierwszeństwo misjonarzom katolickim nad anglikańskimi; nie wywierają oni żadnego przymusu na plemiona, wśród których żyją, pozostawiając im jaknajwiększą swobodę i strzegąc nawet zachowania dawnych obyczajów, mowy, oręża, sprzętów i t. p. Dzięki temu, zyskują oni zaufanie i sympatię krajowców i mogą o wiele skuteczniej oddziaływać na nich, niż to ma miejsce w misjach protestanckich i anglikańskich Queenslandu.

Mówiąc o czynnikach powodujących wymieranie Australczyków, nie mogę nie wspomnieć i o tych przyczynach, które tkwią w nich samych, w ustroju wewnętrznym szczepu i rodziny i osłabiają w znacznym stopniu ich żywotność. Przedewszystkiem wskazać tu należy na obyczaj ograniczania liczby potomstwa drogą poronień, a nawet dzieciobójstwa. Zarówno bezpośrednią, jak pośrednią przyczyną tego obyczaju jest właściwe Australii ubóstwo pokarmu roślinnego i zwierzęcego; działając bezpośrednio, wywołuje ono trudność wyżywienia liczniejszej rodziny, działając pośrednio, t. j. drogą wytworzenia życia koczowniczego, stwarza taki stan rzeczy, w którym dziecko staje się ciężarem i zawadą dla kobiety, zmuszonej do ustawicznej wędrówki w poszukiwaniu środków do życia. Również czynnikiem działającym ujemnie na rozmnażanie się Australczyków jest nierównomierny podział kobiet pomiędzy mężczyznami; mężczyźni bowiem starsi, skupiający w swem ręku władzę i mienie, przywłaszczają sobie większość kobiet, z pokrzywdzeniem osobników młodszych, stanowiących właśnie element fizycznie najsilniejszy.

*

*

*

Jak wspominałem już wyżej, w zakresie znamion anatomicznych stwierdzamy u Australczyków niezmiernie obszerną skalę wahań. Zdaniem Stratza, Klaatscha i innych uczonych, te właśnie szerokie granice typu fizycznego, ten brak zróżnicowania w kierunku jednostronnym, specjalnym, w połączeniu z zachowaniem wielu cech rozwojowo-pierwotnych i przy niskim stopniu kultury, są dowodem znacznej prymitywności rasowej krajowców Australii. Pod względem wielu cech fizycznych Australczycy zawierają w sobie elementy rasowe charakterystyczne dla ras: białej, żółtej i czarnej, t. j. cechy, które, pozostając u nich niejako w zawiązku, uległy silnemu zróżnicowaniu i skrajnemu rozwojowi u grup powyższych.

Pomimo długotrwałego oddzielenia Australii od wielkiego masywu lądowego zachodziły tu jednak pewne dopływy elementów etnicznych z Indonezyi i Melanezyi, a szczególnie z pobliskiej Nowej Gwinei; dopływy te jednak musiały być słabe, być może tylko przypadkowe, jak o tem świadczy zachowanie przez Australczyków bardzo niskiego poziomu kultury w porównaniu z kulturą tych obszarów wyspowych. Bądź co bądź kwestya składu rasowego Australczyków dotychczas jest sprawą ciemną; powrócimy do niej jeszcze dalej, mówiąc o niektórych kwestiach z zakresu etnologii i socjologii krajowców Australii. Rozpatrzmy tymczasem znamiona fizyczne właściwe tej rasie.

Barwa skóry u Australczyków waha się w szerokich granicach pomiędzy zabarwieniem jasnym, złotawo-brunatnym a ciemnym, niebieskawo-brunatnym, a nawet zupełnie czarnym. Z tej obszernej skali dają się wyprowadzić zarówno skrajne barwy Negroidów i Mongoloidów, jak też—drogą depigmentacyi—ubarwienie ras białych. Te ostatnie rasy, przez zachowanie obszernej skali wahań od tonów najjaśniejszych do ciemno-brunatnych, najmniej stosunkowo odsunęły się od typu pierwotnego.

Podobną różnorodność, jak w zakresie ubarwienia skóry, spotykamy u Australczyków i w zakresie barwy i charakteru włosów. Występują tu bowiem zarówno włosy proste, jak faliste lub kędzierzawe, a barwa ich waha się od tonów rudych i bronzowych do zupełnie czarnych; w niektórych, rzadkich przypadkach spotykamy tu nawet zabarwienie popielato-blond ciemne. Przekrój włosów jest owalny. I znów z tych odmian uwłosienia, właściwych Australczycy, wyprowadzić możemy typ włosów ras żółtych, ras czarnych i ras białych; dla pierwszych charakterystyczne są włosy czarne, proste, o przekroju okrągłym, dla drugich—włosy również czarne, wełnisto kręte, o przekroju eliptycznym;

co się zaś tyczy ras białych, to rozszerzyły one wprawdzie skalę barw, zyskując tony blond bardzo jasne, zarazem jednak pozostały najbliższej typu pierwotnego przez zachowanie ogromnej różnorodności charakteru uwłosienia.

Obfitość zarostu i uwłosienia ciała ulega u Australczyków również znacznym wahanom; atoli wykazują oni pod tym względem większe zbliżenie do stosunków właściwych rasom białym, aniżeli do słabo uwłosionych ras żółtych i czarnych.

Co się tyczy budowy ciała Australczyków, to przeważa wśród nich typ wysmukły i szczupły; umięsienie jest tu przeważnie słabo rozwinięte, natomiast giętkość ciała jest znaczna. W porównaniu z kanonem budowy Europejczyka, Australczyków znamionuje zbytnia długość kończyn górnych, co uważane jest za cechę pierwotności rozwojowej. Wogóle w budowie anatomicznej Australczyków spotykamy cały szereg znamion podobnych, będących objawem zachowania pierwotności rozwoju, czyli pozostających w związku z przebytymi niegdyś stadyami ewolucyjnymi. Jako cechy takie uważane są, między innymi, w zakresie tułowia i kończyn Australczyków: słabsze wygięcie okolicy lędźwiowej kręgosłupa, stosunkowa wąskość kości krzyżowej i miednicy, słaby rozwój mięśni łydkowych, płaskość i wąskość stopy, słaby rozwój pięty i pierwszego palca przy jednoczesnej jego większej ruchliwości i t. p. Objawy powyższe, zdaniem tak wybitnych badaczy, jak Stratza, Wiedersheima, Schöetensacka, Klaatscha i innych, są zachowaniem śladów tego stadyum rozwojowego, gdy chód w pozycji pionowej kształtował się dopiero i gdy, w związku z tem, dolna część tułowia słabiej była rozwinięta, a noga, mniej wydoskonalona jako przyrząd podpierający ciało przy chodzie wyprostowanym, nie zatraciła była jeszcze swych właściwości narządu chwytanego. Niezmiernie jaskrawy przykład takiego właśnie przyzostania stopy na drodze rozwoju stosunków ludzkich miał możliwość zaobserwowania Klaatsch u jednego z więźniów australskich. Palce pierwsze obu stóp były tu znacznie krótsze od drugich, a zarazem były oddzielone od nich szeroką szparą, co nadawało stopom wygląd poniekąd dłoniopodobny. Przytem sprawność palców była tak znaczna, że pozwalała trzymać kamień silnie ujęty pomiędzy pierwszym palcem a pozostałymi lub podnosić drobne przedmioty. Przykłady równej długości drugiego i pierwszego palca, przy jednoczesnej silnej ruchliwości tego ostatniego, obserwował Klaatsch częstokroć wśród Australczyków.

Od budowy tułowia i kończyn przejdźmy teraz do budowy twarzy i głowy. Typem przeważającym wśród Australczyków

jest typ długogłowy, przyczem wysokość sklepienia czaszki ulega wahaniom w szerokich granicach. Ciekawem znamieniem, występującem tu częstokroć na czaszce, są silne zgrubienia kostne, biegnące ponad oczodołami w postaci łuków mniej lub więcej ciągłych. Słabiej wyrażone u kobiet, u mężczyzn wysuwają się niekiedy dachowato naprzód, wskutek czego oczy zdają się tem głębiej osadzone w orbitach. Znamieniem tem zbliżają się Australczycy do t. zw. rasy Neandertalskiej, kopalnej rasy czwartorzędowej, której szczątki znalezione zostały w kilku punktach Europy. Czy jednak mamy tu do czynienia z cechą rozwojowo pierwotną, z zachowaniem budowy właściwej odległym przodkom naszym, czy też przeciwnie ze znamieniem nabytem następczo przez niektóre grupy ludzkie, ze znamieniem rozwoju specjalnego, jest to kwestya dotychczas nierozstrzygnięta, choć skupiająca dokoła siebie żarliwe spory anatomów-antropologów. W zakresie budowy twarzy cechami niewątpliwie prymitywnymi są u Australczyków: nos szeroki, płaski, wklęsły u nasady i bródka słabo rozwinięta, mniej lub więcej cofnięta w tył. Pomimo silnego rozwoju szczęk, prognatyzm zębowy, t. j. wysunięcie naprzód części zębodołowej szczęk, jest tu przeważnie słabo wyrażony. Zęby silne i zdrowe; znamieniem prymitywności jest w tym zakresie silny rozwój trzecich trzonowych (zębów mądrości), a nawet w rzadkich przypadkach występowanie czwartego zęba trzonowego. Wargi u Australczyków bywają przeważnie mięsiste i odwinięte; przekrój ust szeroki. Właściwa Australczykom skłonność do wytwarzania wahań indywidualnych ujawnia się również i w zakresie wszystkich powyższych znamion.

Różnice płciowe drugorzędne są, z wyjątkiem zarostu u mężczyzn i piersi u kobiet, wogóle słabo zaznaczone; pod tym względem Australczycy, podobnie zresztą jak wiele innych plemion dzikich, zachowali znaczną prymitywność. Budowa kobiet w zakresie szerokości bioder, wydatności pośladka i ogólnego zaokrąglenia i miękkości kształtów niewiele tylko różni się od budowy mężczyzn. Również i pod względem kształtu piersi Australki zatrzymały się na niższym stopniu rozwojowym, niż rasy białe i żółte. Piersi ich bowiem osiągają zaledwie stadyum t. zw. mamma areolata, gdy wraz z brodawką i całą jej otoczka wyniesiona jest do góry, tworząc stożkowatą całość, wówczas gdy na następnem, najwyższym stadyum rozwojowym—t. zw. mamma papilata—sama już tylko brodawka wyodrębnia się i wznosi na jednolicie uwyklonej piersi.

Ogólnie więc biorąc, powiedzieć możemy, że pod względem budowy ciała Australczycy stanowią grupę etniczną, wykazującą szerokie granice wahań indywidualnych przy jednoczesnem nagromadzeniu wielu znamion rozwoju pierwotnego.

Mówiąc o właściwościach fizycznych krajowców Australii, nie można nie podkreślić doniosłego wpływu, jaki wywiera na ich fizyczność środowisko, w którym żyją, t. j. otaczające ich warunki klimatyczne, florystyczne i faunistyczne. Schürmann określa te wpływy słowami: „Gdzie kraj pustylny, tam i krajowcy są nieliczni i nędznego wyglądu; gdzie zaś okolica bogatsza, tam i ludność roślejsza i tęższa.“ Najdrobniejsze i najbardziej wychudłe są plemiona z wnętrza, gdzie trudność wyżywienia daje się najsilniej odczuwać. Natomiast na wybrzeżu zachodniem, północnem i na wschodzie spotykał Klaatsch szczepy doskonale rozwinięte.

O ile pod względem budowy ciała i rozwoju umięsienia Australczycy ustępują Europejczykom, o tyle przewyższają ich w zakresie wszystkich znamion, cechujących ludy dzikie, t. j. bystrości zmysłów: wzroku, słuchu, węchu, wytrzymałości na głód, zmęczenie, zwinności ruchów i t. p.

*

*

*

Rozwój psychiczny Australczyków bywa częstokroć niewłaściwie oceniany, a raczej niedoceniany. Pochodzi to stąd, że zamiast rozpatrywać istotę psychiczną Australczyka w ścisłym związku z jego środowiskiem, na tle warunków jego bytu, czyli jako wielkość stosunkową, abstrahujemy ją od tych właśnie czynników, które ją wytworzyły i bierzemy do porównania jako wielkość absolutną. A przecież winniśmy pamiętać, że człowiek Australii rozwinął się w ramach izolacji, przy nieznacznym tylko dopływach z zewnątrz, więc w warunkach znakomicie sprzyjających zastojowi, że wskutek tego pod wielu względami przystał on na stadyum kultury zaczątkowej, zyskując natomiast pewne właściwości odrębne, pewien rozwój specjalny. Wszyscy badacze, którzy głębiej wniknęli w istotę psychiczną Australczyków, stwierdzają u nich bynajmniej nie brak wszelkich załączników rozwoju wyższego, lecz raczej stan uśpienia, stan wywołany brakiem bodźców, brakiem współzawodnictwa, ścierania się i parcia

naprzód w walce kulturalnej, lecz zarazem stan, nie wyłączający możności ewolucyi w razie zyskania odpowiednich bodźców i odpowiednich warunków. Najlepszym dowodem w tym względzie są stosunkowo pomyślne rezultaty, jakie dają szkoły misyjne. Lecz żądać od Australczyka, by dziś, w ciągu jednego lub dwóch pokoleń, unyśł jego wykonał zawrotny skok naprzód, wchłonął w siebie wszystko, co dzieli okres kamienia od okresu elektryczności, a niemożność spełnienia tej szalonej mutacji chrzcić mianem: niezdatności do kultury wyższej, jest to, jak słusznie twierdzi Klaatsch, wprost niekonsekwencyą, brakiem zrozumienia praw rozwojowych kultury.

Rzecz prosta, iż w związku z rodzajem życia, jaki pędzą Australczycy, w ciągłej wędrówce po stepie i lesie, na swobodzie, musiały się w nich rozwinąć, podobnie zresztą jak u ogółu ludów dzikich, takie właściwości umysłowe, jak: spryt, spostrzegawczość, pamięć lokalna, zdolności orientacyjne, a także bujna fantazyja. Brak im natomiast właściwości umysłów kulturalnych: zdolności koordynowania pojęć, wnikania w głąb rzeczy, przeprowadzania zawiłych kombinacyj myślowych, wogóle zdolności rozumowania.

Języki australskie, należące do grupy aglutynacyjnych, ujawniają na całym niemal obszarze Australii znaczne podobieństwa i zdają się tworzyć jedną zamkniętą w sobie rodzinę lingwistyczną. Według ostatnich badań P. W. Schmidta wyjątek pod tym względem stanowi tu trójkąt lingwistycznie odrębny, wrzynający się klinem od wybrzeży północnych ku południowi aż do okolic centralnych i wykazujący powinowactwo językowe z Nową Gwineą. Fakt ten wskazywałby tem samem i na odrębność etniczną plemion rzeczonych, co rzeczywiście zdają się potwierdzać niektóre obserwacje z zakresu etnologii i socjologii porównawczej. Że istniał pewien kontakt, choć słaby i chwilowy, pomiędzy wybrzeżem północnem a sąsiednimi wyspami Indo- i Melanezyjskimi, o tem świadczy wiele szczegółów życia i obyczajów szczepów nadbrzeżnych; łatwo więc przypuścić, że tą również drogą odbyła się imigracyja pewnej grupy etnicznej, grupy dziś jeszcze objawiającej swą odrębność właściwościami językowemi i obyczajowemi. Języki australskie dzielą się na bardzo znaczną ilość narzeczy, każdy szczep bowiem posiada własny dyalekt; jednakże szczepy sąsiednie, a nawet dalsze, łatwo porozumiewają się z sobą. Wyrazy obce z łatwością zostają przyswajane; również łatwo powstają wyrazy nowe i synonimy. Wogóle Australczycy okazują niezaprzeczone zdolności lingwistyczne.

Wobec tego tem dziwniejszem wydawać nam się musi właściwe im ubóstwo wyrazów dla określenia wielkości liczebnych. Ilości wyższe nad 3, 4 lub wreszcie 5 określają oni bądź wprost wyrazem „wiele,“ bądź używając wyrażań liczebnych złożonych, np. zamiast „sześć“ — „trzy i trzy,“ bądź wreszcie stosując rozmaite omówienia, np. zamiast „pięć“ mówią „ręka,“ zamiast „dziesięć“ — „obie ręce,“ zamiast „dwadzieścia“ — „ręce i nogi.“ Podobne ubóstwo liczebników pozostaje tu w związku z małemi wogóle zdolnościami rachunkowemi Australczyków.

Bardzo rozpowszechniona w Australii jest mowa na migi; w ten sposób jednak porozumiewają się zazwyczaj tylko członkowie jednego szczepu lub szczepów najbliższych, ponieważ znaki umówione są niezmiernie różnorodne.

O ile wykazują badania dotychczasowe umiejętność pisania występuje w Australii ledwo w postaci niezmiernie słabych zaczątków. Jedyne jej ślady posiadamy w postaci t. zw. pałeczek poselskich, czyli drewniek długości od 8—20 cali, kształtu walcowatego, trójbocznego, lub ściętych napłask z jednej strony i pokrytych rysunkiem obrazkowym lub kreskowym. Pałeczki takie wręczane są szczepom sąsiednim w celu zawiadomienia ich o jakimś doniosłym wydarzeniu, dla zwołania ich na naradę, zgromadzenie, uroczystość szczepową i t. p. Krajowcy posiadają niezmierną wprawę w odczytywaniu tych pałeczek; zresztą w razie trudności poseł wyjaśnia znaczenie rysunku. Pałeczki poselskie nie są właściwością całego obszaru Australii; znaleziono je dotychczas w Queenslandzie, Nowej połud. Walii i południowo-zachodniej Australii. Klaatsch przypuszcza, iż są one przekształconą postacią t. zw. „Churingi,“ — tajemniczego drewnienka, któremu Australczycy przypisują doniosłe znaczenie religijno-mistyczne. Cóż mogło — mówi Klaatsch — być bardziej odpowiedniem do uwiarogodnienia osoby posła, jak wręczenie mu przedmiotu, otoczonego czcią i pewnym lękiem. Dopiero z biegiem czasu, w miarę jak u niektórych szczepów churinga zatracą swe znaczenie mistyczne, uległa ona przekształceniu w zwykłą pałeczkę poselską. Potwierdzeniem poglądu tego jest, zdaniem Klaatscha, fakt, iż pałeczek poselskich nie spotykamy u szczepów, u których kult churingi występuje w całej sile; natomiast zjawiają się one tam właśnie, gdzie kult churingi uległ zanikowi. Klaatsch posiada w swych zbiorach kilka churing, na których powierzchni znajduje się rysunek, najzupełniej odpowiadający typowi rysunków na pałeczkach poselskich; są to być może notatki, dotyczące życia osobników, do których należały święte drewnienka, być może zaś

przykłady użycia churingi, jeszcze jako takiej, w charakterze pałeczki poselskiej.

Obok słabych zaczątków umiejętności pisania, spotykamy w Australii ciekawe próby sztuki malarskiej. Nie mówię tu o barwieniu sprzętów, broni, ciała, lecz o rysunkach barwnych, znalezionych w kilku miejscowościach Australii na ścianach pieczar nadbrzeżnych i dalej w głębi lądu. Grey odkrył cały szereg malowideł takich w północno-zachodniej Australii nad rzeką Glenelg. Były one polichromiczne, wykonane gliną żółtą, czerwoną, białą, czarną i powleczone rodzajem żywicy, co, nadając im świeżość barw, chroniło je zarazem od wpływów atmosferycznych. Malowidła przedstawiały zwierzęta i postacie ludzkie i pomimo większej pierwotności rysunku i grubszego wykonania, przypominały znane malowidła buszmeńskie z Afryki południowej. Nad jednym z rysunków widniały znaki, stanowiące prawdopodobnie napis. Podobne malowidła, nawet znacznie doskonalsze, odkryto również w Queenslandzie i w Nowej połud. Walii.

Pozostawiając na później rozpatrzenie podań, mytów i wierzeń krajowców Australii, ich światopoglądu i wyobrażeń o życiu zagrobowem, chcę tu jeszcze powiedzieć słów parę o charakterze Australczyków. Podobnie jak przesadne lub zgoła nawet fałszywe słyszy się częstokroć zdanie o istocie umysłowej Australczyków, tak samo pogląd na ich istotę moralną bywa nieraz przesadny lub jednostronny, a to wskutek przykładania miary naszych pojęć i wyobrażeń do objawów ustroju psychicznego tak innego, jak nasz. Jednakże badacze, którzy czas dłuższy spędzili wśród krajowców Australii, przyznają im wiele cech charakteru dodatnich; do takich zaliczyć wypada: uczciwość, dotrzymywanie danego słowa, wytrwałość, umiejętność panowania nad sobą, energię, pewną wrodzoną dumę, przywiązanie rodzinne i t. p. Większość cech ujemnych charakteru Australczyka wypływa z niezmiernie silnie rozwiniętego samolubstwa, takimi są: chciwość, okrucieństwo, umiłowanie zemsty, niewdzięczność, zawiść, skrytość. Australczyk nie kradnie; poszanowanie cudzej własności jest w nim silnie rozwinięte; natomiast kłamstwo jest jego właściwością: kłamie zreźnie i z widocznym zadowoleniem. Wada ta jednak wypływa w części z wrodzonej mu fantazyi, połączonej z nieumiejętnością dokładnego odgraniczenia rzeczywistości od złudy. Snom np. przypisują Australczycy wartość zdarzeń realnych, wyobrażając sobie, iż duch wychodzi z ciała i przeżywa w rzeczywistości to wszystko, co się śpiącemu marzy. Często robiony bywa Australczynom zarzut braku męstwa, i rzeczywiście podobne mniemanie

powziąć można, widząc ich symulowane napady, porwania, nawet rozprawy orężne. Częstokroć bój kończy się zupełnie bezkrwawo lub nieznacznym tylko przelewem krwi; niekiedy obie strony porzestają na wymianie pogroźek i wymysłów. Walcząc Australczycy umieją zręcznie unikać ciosów, zasłaniając się tarczami, bądź też nagle odchylając ciało; umieją też chwycić w lot broń ciśniętą przez przeciwnika i odrzucać mu ją z pogardą. Stąd też walka trwa zazwyczaj długo i o ile zdaje się być zaciekle, o tyle wyniki jej świadczą o tem w słabym tylko stopniu. Niewątpliwie jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest obawa krwawej zemsty, będącej dla zabójcy niemal nieuniknionem następstwem zadanej śmierci. Rzecz więc prosta, iż w walkach prowadzonych między sobą, w walkach swoich własnych Australczycy nie mogą nam się wydać mężnymi w pojęciu naszym. Natomiast w walce z białymi przybyszami wykazali oni wielokrotnie duże męstwo i iście bohaterską pogardę śmierci i bólu.

*

*

*

Poznawszy w krótkim streszczeniu właściwości fizyczne i stopień uzdolnienia krajowców Australii, przypatrzmy się teraz ich życiu, ich potrzebom, ich obyczajom i ich wierzeniom, t. j. tym objawom, których całość kształt pozwala nam wnioskować o kulturze danej grupy ludzkiej.

Życie Australczyka upływa w ciągłej wędrówce. Zasadniczą przyczyną tego koczownictwa jest suchość lądu Australii i nierównomierność opadów; pod wpływem długotrwałej suszy lub ulewnych deszczów znaczne przestrzenie przechodzą tu naprzemian od stanu nawpół martwego spalonego obszaru do stanu zielonego gaju lub stepu, a w ślad za okresowo zwyciężającą lub też ustępującą florą i fauną posuwa się człowiek, którego egzystencja ściśle jest związana z obecnością wody, roślin i zwierząt. Nadto równinowy charakter większej części Australii, gdzie żadne znaczniejsze wyniosłości nie tamują ruchów, a także brak innych zapór naturalnych w postaci wielkich rzek i wielkich lasów dziewiczych, czynią rzeczywiście z tego lądu środowisko jaknajbardziej sprzyjające rozwojowi koczowniczego trybu życia.

Nie dziwnego, iż w podobnych warunkach bytu, gdzie człowiek nie posiada stałej siedziby, a chata jest dlań tylko chwilowym schroniskiem, wygląd takiego schroniska musi być bardzo prymitywny, musi nosić na sobie piętno tymczasowości. Zresztą nie wszędzie w Australii spotykamy mieszkania typu jednakowo-pierwotnego; w okolicach, gdzie warunki egzystencji są pomyślniejsze i mieszkańcy mniej częste odbywają wędrówki, siedziby ich również przedstawiają się lepiej. W wielu miejscowościach południowej i zachodniej Australii jedynym schroniskiem mieszkańców są daszki lub ściany ustawiane mniej lub więcej pochyło i chroniące jako-tako od wiatru i deszczu. Według opisu Mathewsa i Klaatscha daszki takie składają się z rusztowania z gałęzi pokrytego również gałęzmi i trawą. Niekiedy jako pokrycie użyta bywa kora drzewna, naturalnie, o ile zachodzi łatwość dostania jej, co zależne jest od okolicy i od pory roku, ponieważ kora daje się oddzielić od pnia tylko w okresie krążenia soków. W okolicach Roebuck-Bay, w północno-zachodniej Australii, krajowcy kryją się w dołach, wygrzebanych w ziemi i zastawionych pochyłą ścianą z gałęzi; w Nowej połud. Walii, wzdłuż rzek o wybrzeżach wapiennych, zamieszkują oni pieczary nadbrzeżne, lub schroniska pod zwisającymi skałami.

Skoro tylko zasób pożywienia w danej miejscowości zostanie wyczerpany, szczerp posuwa się dalej, szukając odpowiedniego miejsca na nowe obozowisko. W wędrówce tej starcy, kobiety i dzieci, obciążone tem wszystkim, co stanowi ruchomy majątek rodziny, zdążają drogą najprostszą do miejsca z góry oznaczonego; mężczyźni natomiast, podzieleni na drobne grupy, idą drogami okólnymi, dzięki czemu są w możności upolowania większej ilości zwierzyni, niż gdyby się posuwali wszyscy razem.

Rozkład i położenie szałasów w obozowisku jest określone pewnymi prawidłami. Np. starsi i poważniejsi zajmują miejsca bliżej źródła lub rzeki, a młodsi rozkładają się opodal. Podobnie, w razie zgromadzeń międzyszczepowych, szczerp, na którego terytorium odbywa się zebranie, obiera sobie miejsce najdogodniejsze, przybyłe zaś szczepy ościenne rozkładają się dokoła, zajmując w ogólnym planie obozowiska pozycję, odpowiadającą temu kierunkowi, skąd każdy szczerp przybył. Nie dość na tem: rozkład szałasów u poszczególnych szczepów, jest o ile możności taki sam, jak na terytorium ojczystem. Szalasy Australczyków są zawsze orientowane w ten sposób, by ściana lub daszek zasłaniały od strony wiatru, a wejście znajdowało się ze strony przeciwnej. Z tej też strony, t. j. przed szałasem, znajduje się ogni-

sko, stanowiące ośrodek życia domowego, rodzinnego; stąd też, osiedlając się na nowej siedzibie, Australczyk przede wszystkim roznieca ognisko, poczem dopiero buduje schronienie.

Obok przyczyn natury materialnej, zmuszających krajowców Australii do życia koczowniczego, inne jeszcze czynniki są tu częstokroć przyczyną zmiany siedzib i wędrówek. Do tej właśnie kategorii należą wspomniane wyżej zgromadzenia międzyszcze-powe, mające na celu bądź załatwienie sporów i waśni sąsiedz-kich, bądź wspólne odbycie uroczystości „wtajemniczenia“ lub innych obchodów. Również wypadek śmierci w obozowisku po-woduje opuszczenie dotychczasowej siedziby.

W tych okolicach Australii, gdzie pożywienie znajduje się w większej obfitości, w związku z rzadszemi wędrówkami miesz-kańców i mieszkania ich mają wygląd nieco staranniejszy i stal-szy. Mieszkania takie spotykamy w okolicach lepiej nawodnio-nych wnętrza i wzdłuż wybrzeży, przy ujściu rzek, nad lagunami lub zatokami, gdzie ryby i mięczaki znajdują się w obfitości. Szczególniej na północy chaty wyróżniają się swymi rozmiarami i starannością budowy, świadcząc o pewnych wpływach kultury papuaskiej; zamiast nędznych szałasów, tak szczupłych i niskich, że niekiedy zaledwie 3—4 osoby, siedząc w kucki lub leżąc, pomieścić się w nich może, widzimy tu chaty wysokości człowieka, mogące pomieścić 10-ro a nawet więcej ludzi. Niekiedy chaty wznoszą się na palach. Opuszczając obozowisko i przenosząc się na nową siedzibę, Australcy przeważnie zostawiają na miejscu swe szałas, by po upływie pewnego czasu powrócić do nich po-nownie; tem się tłumaczy stosunkowo znaczna ilość mieszkań, jaką badacze Australii napotykają na swej drodze i która może łatwo w błąd wprowadzić co do przypuszczalnej liczby mieszkań-ców w danej okolicy.

Przejdźmy teraz od opisu mieszkania Australczyka, do opisu jego zawartości, t. j. tych sprzętów, które stanowią mienie kra-jowca.

Broń i narzędzia, z małemi różnicami, są na całym obszarze Australii jednakowe. Broń składa się: z dzidy, ciskadła, tarczy, maczugi, topora i bummerangu. Głównym materiałem do wyrobu broni jest drzewo. Dzida stanowi najważniejszy oręż Australczy-ka. Dzidy wyrabiane są z młodych, cienkich drzewek, przeważnie eukaliptusów, ścinanych w całości. Długość ich wynosi około 7 stóp; jedynie tylko dzidy, używane do polowania na drobną zwierzynę i do rybołówstwa są znacznie krótsze. Po dokładnem wyprostowaniu drzewca dzidy w gorącym popiele lub nad ogniem

i po wygładzeniu jego powierzchni grubszy koniec zostaje zaostroszony, zahartowany i zaopatrzony bądź w kilka zazębien hakowato wyciętych w drzewie, bądź też w grot, sporządzony oddzielnie i mocno przytwierdzony żywicą i wiązadłem. Bardzo pospolite są groty z twardego drzewa, kształtu szydełkowatego, t. j. o zazębieniu bardzo silnie zakrzywionem. Częstość zakończenia dzidy stanowi ostrze kamienne. Bardzo ciekawy typ ostrzy takich spotkał Klaatsch w okręgu East-Kimberley, w południowo-wschodniej Australii. Były one płaskie, owalnie wydłużone, kształtu liścia wawrzynu, przypominające pewien typ europejskich ostrzy paleolitycznych. Obecnie coraz częściej spotkać można dzidy zakończone ostrzem szklanem. Większe i cięższe dzidy bywają niekiedy rzucające wprost ręką; przeważnie jednak do rzutu na daleką metę służy narzędzie pomocnicze, t. zw. *wommera* czyli ciskadło. Jest to rodzaj deseczki drewnianej, długości od 2—3 stóp i szerokości od 2—3 cali, z obu końców zwężonej i zaopatrzonej na jednym końcu w hakowate zagięcie nakształt szydełka lub w hak silnie przymocowany, utworzony z kawałka kości lub zębu kangura. Chcąc rzucić dzidę zapomocą *wommery*, Australczyk kładzie ją wzdłuż na ciskadle w ten sposób, by hak dotykał końca dzidy i silnem, nagłem pchnięciem *wommery* naprzód wyrzuca dzidę z wielkim rozpędem. W niektórych okolicach Australii, jak podaje Mathews, *wommera* przy uderzeniu trzymana jest nie poziomo, lecz pionowo, podobnie jak rakietka tenisowa; w związku z tem i osadzenie haka jest tu odmienne, zamiast bowiem szydełkowatego zagięcia, tworzy on kąt prosty względem deseczki. Oprócz zastosowania *wommery* do rzucania pocisków widzimy ją nadto w niektórych miejscowościach użytą jako dłuto, a także jako naczynie do przechowywania krwi, soku roślinnego i innych płynów. W pierwszym przypadku trzonek, t. j. koniec przeciwległy temu, na którym znajduje się hak, zaopatrzony jest w ostry dłutowaty kamień; w drugim — narzędzie w swej części środkowej ulega silniejszemu niż zazwyczaj rozszerzeniu, a górnej jego powierzchni zostaje nadany kształt lekko-wklęsły, nieckowaty. Wreszcie hakowaty koniec *wommery* służy niekiedy jako rodzaj motyki do wygrzebywania korzeni roślinnych i drobnych zwierząt z ich kryjówek. Maczugi Australczyków, również wyrabiane z drzewa, bywają rozmaitego kształtu i rozmiarów. Krajowcy używają ich bądź do zadawania razów bezpośrednio ręką, bądź do ciskania na odległość, przyczem maczuga w locie wykonywa ruch wirowy dokoła grubszego końca. Ciekawe przejście od maczugi do bummerangu stanowią t. zw. *widdi*

lub *wirri* szczepów południowo-australskich. Są to kije długości około 2-ch stóp, a grubości dużego palca, o jednym końcu rozszerzonym i zlekka szablowato wygiętym. Krajowcy używają ich, polując na drobniejszą zwierzynę, a także w pierwszych momentach boju, nim chwycą za dzidy. Najbardziej charakterystyczną bronią Australczyka jest *bummerang*. Wprawdzie narzędzia wyglądu zbliżonego i podobnie jak bummerang australski używane do boju i do łowów spotykamy i w niektórych innych okolicach, lecz odmiana bummerangu „powracającego,” t. j. mającego ruch powrotny, wsteczny, jest wyłączną tylko właściwością ładu australskiego. Bummerang taki ma wygląd wazkiego kawałka drzewa, zgiętego pod kątem mniej lub więcej rozwartym, czasami niemal prostym. Jedną z jego powierzchni jest zupełnie płaska, druga zlekka wypukła, przyczem grubość krawędzi zewnętrznej ramion, czyli krawędzi wygięcia zewnętrznego, jest znaczniejsza, niż grubość krawędzi wewnętrznej. Własność ruchu powrotnego zawdzięcza bummerang ledwo dostrzegalnemu skręceniu spiralnemu osi swej płaszczyzny, co najłatwiej możemy sobie uprzytomnić, wyobrażając sobie, że osobnik, sporządzający narzędzie, ujmuje oba końce i skręca je w kierunku odwrotnym. I rzeczywiście, w praktyce, o ile rzeczone skręcenie płaszczyzny nie leży w samej naturze włókien drzewnych, zostaje ono spowodowane drogą sztuczną, t. j. przez skręcanie ramion narzędzia przy jednoczesnem jego nagrzewaniu. Bummerang taki, rzucony w pewnym kierunku, zatacza w powietrzu elipsę i pada o kilka kroków od punktu, z którego został ciśnięty. Podobne bummerangi używane są jednak przeważnie tylko jako zabawka, ponieważ muszą być lekkie i niewielkich rozmiarów, a trafiając w jakiśkolwiek przedmiot, tracą swój lot i padają na ziemię. Czasami używają ich do polowania na drobną zwierzynę i ptactwo. Wogóle jednak do łowów i do boju służą bummerangi nieco odmienne: większe, cięższe, o kącie bardziej rozwartym i nie posiadające lotu wstecznego. Jest to broń bardzo skuteczna i niebezpieczna, ponieważ trafia na daleką metę i silnie bije. Bummerang o locie powrotnym nie jest powszechną właściwością Australii; według Ratzla i Mathewsa, w niektórych okolicach, najbardziej wysuniętych na północ, nie jest on znany, bądź też zjawił się tu dopiero wraz z kolonizacją europejską, jako artykuł handlu wymiennego. Obok dzidy, maczugi i bummerangu jeszcze jeden gatunek broni właściwy jest, a raczej był właściwy do czasów ostatnich, krajowcom Australii; jest nią topór kamienny, obecnie coraz bardziej ustępujący miejsca toporom żelaznym, nabywanym od Europejczyków. Topory

kamiennie sporządzane są bądź z odpowiednio dobranych brył surowych, powstałych drogą zwietrzenia i rozkruszenia skał, bądź z płaskich gładów rzecznych, których krawędź ulega odpowiedniemu zaostreniu.

Ostatnie badania Klaatscha nad techniką wyrobów kamiennych u krajowców Australii wykazują, że technika ta posiada skalę bardzo szeroką; jeśli bowiem porównamy rozmaite narzędzia australskie z narzędziami okresu kamienia Europy, odnajdziemy wśród nich nie tylko typy znamienne dla okresu kamienia ciosanego (paleolitu), lecz zarazem stwierdzimy tu obecność z jednej strony okazów odpowiadających okresowi następnemu, t. j. okresowi kamienia gładzonego (neolitu), z drugiej zaś strony okazów niezmiernie pierwotnych, odpowiadających zaczątkom umiejętności obrabiania kamienia, czyli okresowi zorzokamiennemu (eolitowi). Niektóre topory australskie mają taki właśnie wygląd surowy, nieobrobiony; jedynie tylko krawędź tnąca ulega zaostreniu, o ile nie jest z natury dość ostra, lub w miarę jak następuje jej stępienie. Obok tych jednak narzędzi spotykamy tu topory całkowicie gładzone. Zarówno zaostrenie krawędzi, jak całkowite wygładzenie powierzchni odbywa się przez tarcie o skałę piaskowcową; w wielu okolicach Australii można nawet zaobserwować w miejscowościach nadrzecznych charakterystyczne zagłębienia w skałę, powstałe wskutek tej czynności. Klaatsch widział je na północy w okolicach zatoki Karpentaryi, oraz na południowschodzie, w pobliżu Sydney; według Rotha, występują one również na zachodzie i w Australii południowej.

Co się tyczy obsady i drzewca topora, to zazwyczaj tworzy je bądź giętki pręt drewniany, bądź łodyga rośliny pnącej. Pręt taki obejmuje kamień przez środek, a wolne jego końce, złożone razem i silnie związane kiszka zwierzęcą lub wiązadłem roślinnym, tworzą trzonek narzędzia. Dla wzmocnienia obsady kamień zostaje gęsto obtłuczony lub nawet wcięty na linii obwodu poprzecznego, co zapobiega ślizganiu się obejmującego go pręta; nadto zarówno obsada, jak trzonek zostają pokryte warstwą specjalnie przyrządzonego kitu. Topór stanowi dla Australczyka ważną broń, a zarazem najważniejsze narzędzie użytku codziennego; służy mu on do ścinania drzew, gałęzi i kory drzewnej; służy przy wyrobie maczug, dzid i tarczy, służy wreszcie do nacinania gładkich pni eukaliptusowych przy wdzieraniu się na nie dla zdobycia jaj ptasich, miodu lub drobnej zwierzyny. Mówiąc o broni, właściwej krajowcom Australii, muszę wspomnieć i o tarczach. Są one przeważnie długie i wąskie i służą raczej do parowania ciosów, niż

do krycia ciała. Tarcze używane w boju na dzidy są lekkie, z drzewa lub z kory; w boju na topory używane są tarcze grubsze i masywniejsze. Powierzchnia zewnętrzna tarczy bywa częstokroć ornamentowana zygzakowatymi nacięciami lub malowana; podobne ozdoby występują i na maczugach. Broń a zarazem narzędzie wyłącznie kobiece stanowi w Australii gruby kij, długości od 4—5 stóp, średnicy około 2 cali, zaostrowany i zahartowany z jednego końca, z drugiego zaś dłutowato ścięty. Jest on nieodstępnym towarzyszem kobiety w jej wędrówkach i życiu codziennem, służąc do wykopywania korzonków i drobnych zwierząt ziemnych, a także do obrony w razie napaści lub do walki podczas niesnasek domowych.

Niemniej ważną rolę odgrywa w życiu codziennem nóż kamienny. Wyrób noży jest niezmiernie prosty, polega bowiem na odłupywaniu od bryły kamienia blaszek, których krawędź tnąca służy jako ostrze. Nóż nie posiada trzonka i trzymany jest wprost między palcami. Służy on do obdzierania ze skóry i do sprawiania zwierzyny, do wyrobu drewnianych sprzętów i oręża, do wykonywania nacięć na skórze ludzkiej i do niektórych operacji chirurgicznych. Obok wyliczonych tu narzędzi i broni, niewiele już tylko sprzętów stanowi mienie Australczyka. Naczynia do przechowywania wody, miodu i jadalnego wyrabiane są z kory albo drzewa. W pierwszym przypadku Australczyk wyszukuje drzewo o krzywiznie naturalnej i wycinając ze strony wydatnej nazewnątrz płat kory żądanych rozmiarów otrzymuje w ten sposób naczynie kształtu czółnowatego. Jeśli kora pochodzi z pnia zupełnie prostego, każdy z jej dwu końców zostaje mocno związany, dla zapobieżenia wylewaniu się lub wypadaniu zawartości. W podobny sposób wyrabiane są i naczynia z drzewa. Wybrawszy pień lub gałąź o krzywiznie naturalnej, Australczyk odrąbuje część najbardziej wydatną nazewnątrz, wycina i wyskrobuje mniej lub więcej grubą warstwę drzewa z odrąbanego odcinka, poczem wygładza otrzymaną w ten sposób powierzchnię wklęsłą. Niektóre szczepy, jak podaje Mathews, używają jako naczyń czaszek ludzkich, których szwy zostały zamazane żywicą. Rolę naczyń odgrywają również muszle większych małży i skorupy żółwi. Do przenoszenia wody na większą odległość służą worki skórzane użyte włosem nazewnątrz; szczepy nadbrzeżne Queenslandu i Nowej połud. Walii sporządzają również worki na wodę z liści palmowych, zeszywanych włóknami lub ścięgniami zwierzęcymi. Naczynia gliniane nie są tu znane. Do przechowywania przedmiotów suchych: grzybów, nasion, owoców, używane są kosze nie-

kiedy bardzo starannie i gustownie plecione z trawy, łądyg lub włókien roślinnych. Podczas wędrówek, a także w codziennych wyprawach na poszukiwanie pożywienia, ważną rolę odgrywają worki plecione z trawy, roślin pnących lub sitowia, bądź wyrobione z pasków kory, wiązanych nakształt rzadkiej sieci; te ostatnie służą do przenoszenia przedmiotów cięższych. W czasie wędrówki zawartość worka stanowią między innymi: toporki i noże kamienne, płaskie kamienie do miażdżenia korzeni jadalnych i nasion, mniej-ze naczynia, zapas żywicy i kiszek zwierzęcych, haki z żelaza lub muszli, szydła z kości kangurów i emu, kawałki kory, nieco gliny białej, żółtej i czerwonej do malowania ciała, rozmaite drobne przedmioty używane jako ozdoby i t. p. Worki te niesione są podczas marszów przez kobiety. Wogóle kobieta w Australii odgrywa rolę zwierzęcia jucznego, dźwigającego na swych plecach niemal wszystko, co stanowi mienie rodziny. Oprócz worków różnorodnych, koszów, naczyń, jest ona nadto obciążona pękiem sieci i zapasem skór, a częstokroć nawet zbywającą bronią.

O odzieży Australczyków mało mamy do powiedzenia, gdyż to, co noszą na sobie szczepy, nie będące jeszcze pod wpływem kultury europejskiej, jest raczej ozdobą, niż ubraniem. Jedyną odzież szczepów takich stanowi płaszcz, sięgający najwyżej kolan, zeszyty ze skór kangurów, oposów lub innych torbaczy i noszony, podobnie jak togę rzymskie, skośnie przez plecy, z pozostawieniem jednego ramienia wolnem. I ten płaszcz jednak używany bywa przeważnie tylko w porze nocnej lub w razie deszczu i chłodu; pozatem zarówno mężczyźni, jak kobiety chodzą nago. Niezbędną część ubioru Australczyków mężczyźni stanowi przepaska, noszona dokoła stanu, skręcona bądź spleciona z trawy, łyka, włosów ludzkich lub zwierzęcych, albo skóry. Podczas pochodu lub polowania mężczyźni noszą za pasem bummerang, nóż, topór i inne przedmioty. U niektórych szczepów od przepaski biodrowej zwisa rodzaj wąskiego fartuszek w postaci frędzli skórzanych, zakrywających a raczej mających zakrywać części sromne; niekiedy fartuszek podobny zwisa i od tyłu. Kobiety po większej części nie noszą żadnych przepasek; dziewczęta niezamężne używają w niektórych okolicach frędzli skórzanych lub fartuszków z piór emu.

O ile, jak widzimy, ubiór Australczyków jest niezmiernie skromny, o tyle zamiłowanie do ozdabiania swej powierzchowności jest u nich bardzo rozwinięte i pod tym względem wykazują oni nawet znaczną pomysłowość. Na szyi noszone są naszyjniki,

składające się z muszel, twardych nasion roślinnych, kawałków trzciny, zębów kangurów i psów, kleszczów raczych i t. p. drobnych przedmiotów. Materiał na naszyjniki jest wogóle bardzo różnorodny, zależnie od tego, czego dostarcza dana okolica. Również na ramionach i na nogach noszone są wążki przepaski, bądź ze skóry zwróconej włosiem nazewnątrz, bądź z trawy lub włosów ludzkich; w niektórych miejscowościach zatykają za nie zielone gałązki krzewów. Podobne przepaski, jeno szersze i częstokroć barwione na biało, żółto lub czerwono, służą jako ozdoba głowy; niektóre szczepy noszą we włosach barwne pióra ptasie lub przybranie z sierści dzikiego psa, dingo.

Jednakże najskuteczniejszym środkiem ozdobienia swej powierzchowności jest, w pojęciu dzikich, malowanie ciała i twarzy; obyczaj ten jest właściwością całej Australii. Jako farba służy glina: biała, żółta, brunatna, czerwona, oraz węgiel. Dotychczas przypuszczano, że otrzymywanie barwników roślinnych jest zupełnie nieznanie Australczykom. Jednakże Klaatsch znalazł w użyciu u szczepów z okolic Beagle-Bay (północno-zach. Austr.) farbę zieloną, otrzymywaną przez żucie młodych liści eukaliptusowych. Farby używane są przeważnie w połączeniu z tłuszczem, co ma tę dobrą stronę, że tłuszcz uodpornia skórę na wpływy atmosferyczne, a zarazem chroni ją od ukąszeń moskitów, mrówek i innych owadów. Co się tyczy samej metody malowania, to jest ona niezmiernie urozmaicona; pod tym względem zachodzą nietylko różnice szczepowe, lecz i różnice indywidualne, gdyż zarówno mężczyźni jak kobiety wysilają się na wymyślanie coraz nowych kombinacji barw. Szczególniej w razie uroczystości rodzinnych lub szczepowych piękne malowanie ciała i twarzy jest uważane za rzecz wprost pierwszorzędnej wagi. Zresztą w podobnych okolicznościach i strój głowy, szyi, ramion i nóg staje się jaknajbardziej wyszukany.

Obok obyczaju malowania ciała spotykamy u Australczyków kilka innych praktyk dziwacznych, a zarazem bolesnych, polegających na różnorodnych okaleczeniach, jak: wykonaniu nacięć na skórze, wybicciu zębów, przedziurawieniu przegrody nosowej, obcięciu członka u palca i t. p. Praktyki te zda się posiadały pierwotnie charakter „ofiarny“, który zresztą zachowały po dziś dzień jeszcze u wielu szczepów, gdzie występują w związku z obrzędami towarzyszącymi okresowi dojrzewania płciowego. Gdzieindziej jednak pierwotne to znaczenie zostało zatraczone i praktyki rzezczone pozostają wprawdzie obyczajem tradycyjnie przechowywanym, lecz niezależnym od świąt dojrzłości i innych obchodów.

Przypatrzmy się bliżej tym dziwacznym obyczajom. Pokrywanie pleców, ramion, piersi i brzucha szeregiem nacięć, które wskutek długotrwałego drażnienia i ranienia wytwarzają wreszcie narbrzmiałe wydatne blizny, jest obyczajem rozpowszechnionym w całej Australii, a hołdują mu zarówno mężczyźni, jak kobiety. Operacja wykonywana jest za pomocą ostrych muszli lub kawałków szkła. U większości szczepów operacyi poddawani są chłopcy i dziewczęta podczas uroczystości, towarzyszących przejściu z wieku dziecinnego do epoki dojrzałości. Podobnie i obyczaj przedziurawiania przegrody nosowej zdaje się być uprawiany przez większość szczepów australskich. W niektórych okolicach poddawani są operacyi zupełnie mali chłopcy i dziewczęta, przyczem rzecz odbywa się bez żadnego ceremoniału. Obyczaj ten jest rozpowszechniony szczególnie wśród mężczyzn. Zranienie przegrody nosowej i następne rozpychanie rany przez zakładanie w nią coraz grubszych łożdąg i prątków jest operacją nader bolesną; zwyczaj nos puchnie do tego stopnia, że pacjent zmuszony jest oddychać ustami; niekiedy zachodzi nawet przerwanie przegrody. Po zabliznieniu rany Australczycy noszą w otworze kawałki kości, łożdąg roślinnych, pręciki i t. p. przedmioty. Operacja wybicia zęba również niezawsze związana jest z obchodami „dojrzałości.“ Obyczaj ten wogóle podlega u szczepów australskich znacznym wahaniom: niektóre szczepy nie zachowują go wcale, u innych ogranicza się on wyłącznie do mężczyzn, u innych jeszcze rozciąga się i na kobiety. W zakresie liczby i gatunku zębów, ulegających wybicciu, panuje również pewna różnorodność: usuwane są bądź oba sieczne górne środkowe, bądź tylko jeden prawy skrajny lub lewy. Amputacya jednego a niekiedy nawet dwu członków palca ręki jest we zwyczajach szczególnie u kobiet. Przeważnie operacyi ulega piąty palec prawej ręki; niekiedy palec wskazujący lub wielki. Według badań Mathewsa obyczaj ten jest najbardziej rozpowszechniony wśród szczepów nadbrzeżnych i w niektórych okolicach pozostaje w związku z mniemaniem, jakoby kobiety w ten sposób okaleczone miały być zręczniejsze i szczęśliwsze przy połowie ryb, niż te, które nie uległy operacyi. Mamy tu zatem do czynienia z zabobnem, z czarodziejską „ofiara“ dla pozyskania pewnych tajemniczych właściwości. Amputacya dokonywa się w sposób bardzo oryginalny; mianowicie palec na wysokości pierwszego lub drugiego stawu zostaje mocno obwiązany sznurkiem, skręconym z kilku nitek przędzy pewnego gatunku pająka. Z powodu braku dopływu krwi koniec palca po upływie jakiegoś czasu martwieje i odpada, a rana pozostała goi

się bardzo szybko. Operacyi poddawane są zazwyczaj dziewczęta jeszcze w wieku dzieciennym.

Mówiąc o sztucznych okaleczeniach ciała, będących we zwyczaju wśród plemion australskich, wspomnę jeszcze, że oprócz obrzezania, będącego tu obyczajem bardzo rozpowszechnionym, mężczyźni niektórych szczepów poddają się w wieku starszym t. zw. operacyi „micka,“ polegającej na rozcięciu wzdłuż urethry. Obyczaj ten ma na celu ograniczenie liczby potomstwa. Do tego samego celu prowadzi ovariotomia i metrotomia (rozcięcie uterus) stosowane u kobiet; natomiast sztuczne rozszerzanie orificium vaginae pozostaje w związku z operacją micka u mężczyzn.

I dziwić się doprawdy należy, jak plemiona, stojące pod wielu względami na tak niskim poziomie kulturalnym, posiadały umiejętność wykonywania podobnie trudnych operacyj! Podziwiać możemy zarazem ich wytrzymałość na ból i ich odporność na infekcję, operacje bowiem dokonywane są nożykami kamiennymi w warunkach, urągających wszelkim przepisom naszej higieny.

*

*

*

Najważniejszą troską, zaprzatającą umysł Australczyka, jest kwestya zdobycia pożywienia; środkami ku temu są dlań: myśliwstwo, rybołówstwo i zbieranie wszelkich płodów, dostarczanych przez faunę i florę.

Myśliwstwo stanowi niemal wyłącznie zajęcie mężczyzn, którzy w tropieniu i umiejętności podejścia zwierzyny ujawniają wiele sprytu i zręczności. Według Eylmanna niektóre szczepy południowe w razie niepomyślnego wiatru, mogącego zdradzić obecność myśliwego, smarują się całkowicie błotem, oszukując w ten sposób wrażliwość węchową zwierzyny. Podobnie, jeśli brak w pobliżu osłony naturalnej, któraby maskowała zbliżenie się człowieka, Australczyk okrywa się rozłożystą gałęzią i czodgając postępuje naprzód. Polując na ptactwo wodne, myśliwy zanurza się częstokroć po szyję w wodzie, osłaniając nadto głowę sitowiem; w niektórych okolicach ptaki pływające chwywane są od spodu za nogi przez nurkującego myśliwego. Dla uniknięcia wrzawy podczas polowania z podejściem, Australczycy sygnalizują sobie gatunek zwierzyny i okoliczności, towarzyszące łowom, bądź na

migi, bądź za pomocą umówionych znaków; jednak i polowanie z naganką jest tu w użyciu, przyczem zwierzyna bywa niekiedy płoszona ogniem. Zwierzęta żyjące w norach ziemnych są wykurzane dymem, lub wprost wykopywane ze swych kryjówek. Myśliwy usiłuje częstokroć dopomódz sobie w łowach zaklęciami czarodziejskimi; formuły tych zaklęć znane są tylko dorosłym mężczyznom. Pies, będący stałym towarzyszem Australczyka, nie wiele mu jest pomocny na łowach, nie umie bowiem ani aportować, ani dobrze tropić. Pomimo to jednak Australczycy lubią swoje psy i obchodzą się z nimi bardzo dobrze; nieraz zdarza się, iż szczenię, w razie utraty matki lub schwywania w stanie dzikim, zostaje wykarmione piersią Australki. Do czasów kolonizacji europejskiej w Australii żył tylko pies „dingo,“ bądź w stanie zupełnej dzikości, bądź udomowiony; obecnie częstokroć ulega on zmieszaniu z rasami naszego psa domowego.

W miejscowościach nadwodnych obok polowania i rybołówstwo dostarcza mieszkańcom ważnego artykułu pożywienia. W wodzie płytkiej ryby częstokroć chwytane są wprost ręką, lub wygarniane na brzeg tarczą lub wommerą; gdzieindziej używane są oszczepy hakowato zakończone, bądź sieci plecione z trawy, roślin pnących lub wązkich pasków kory. Ciekawe jest, że niektóre nadbrzeżne szczepy północno-zachodnie nie znają żadnych narzędzi specjalnych do rybołówstwa i zabijają ryby, rzucając w nie poprostu bummerangiem. Co więcej, szczepy te, jak podaje Klaatseh, nie znają również użytku ani łodzi, ani nawet zwykłej tratwy i jedynie tylko, korzystając z godzin odpływu, zapuszczają się mniej lub bardziej daleko od lądu, docierając niekiedy nawet do wysp pobliskich. Taki brak znamion, które powinnyby być właściwością plemion żyjących nad morzem, objaśnia Klaatseh pochodzeniem rzeczonych szczepów z okolic wnętrza i późniejszym dopiero zajęciem przez nie pasa nadbrzeżnego.

Wogóle Australczycy w słabym tylko stopniu posiadli umiejętność żeglarstwa, co wzmocniło jeszcze bardziej ich stanowisko izolowane na obszarze wyspowym. Tradycja jakichkolwiek wędrowek dalszych nie zachowała się u żadnego ze szczepów, a tratwy i łodzie służą tu przeważnie tylko do połowu ryb. Typowym czółnem dla Australii jest czółno sporządzone z jednego kawałka kory; wyrób czółen takich przypomina w zupełności metodę stosowaną przy wyrobie naczyń do przechowywania miodu, krwi i jadła. W tym wypadku również wybierane są o ile możności drzewa o wygięciu naturalnem, co znacznie ułatwia nadanie czółnu kształtu żądanego. Natychmiast po obdarciu kory, dla

zapobieżenia jej zwinięciu się, pomiędzy brzegi zostaje poprzecznie wetknięty szereg mocnych kijów; równocześnie oba końce przyszłego czółna zostają podparte, by pod wpływem własnego ciężaru nie opuściły się w dół, wówczas gdy właśnie ich wzniesienie do góry jest warunkiem koniecznym. W razie gdy drzewo nie posiada krzywizny naturalnej, konieczne wzniesienie dziobu czółna do góry zostaje sztucznie nadane drogą sfałdowania i związania kory na obu jej końcach. Czółno takie jest wprawdzie lekkie i zwrotne, jednak trwałość nie jest jego zaletą, gdyż po upływie 2—3 lat rozmięka, zaczyna gnąć i musi być zastąpione nowem. Niektóre plemiona północy używają czółen sporządzonych nie z jednego, lecz z kilku pasów kory przeszywanych wzdłuż; również na północy widzieć można czółna drażone w całości w pniu drzewnym i zaopatrzone, na wzór malajskich i papuaskich, w t. zw. „przyczółno“ (Ausleger), ułatwiające utrzymanie równowagi. Niekiedy na dnie czółna zostaje umieszczona bryła gliny, służąca do rozłożenia ogniska, nad którym jadący ogrzać się może, a zarazem ugotować część złowionej ryby. Bardziej niż czółna—zdaniem Mathewsa—rozpowszechnione są w Australii tratwy; tratwa bowiem, choć mniej zwrotna niż czółno, lecz w mniejszym stopniu podlega uszkodzeniom w razie uderzenia o skałę lub pień podwodny; część zniszczona może tu być zawsze usunięta i zastąpiona przez nową kłodę lub nową wiązkę trzciny.

Po krótkiej wycieczce w dziedzinę żeglarstwa powracam do sprawy pożywienia u krajołowców Australii. Mięczaki wód słodkich i słonych, podobnie jak ryby, stanowią ważny artykuł spożywczy dla szczepów nadwodnych. W niektórych okolicach nadmorskich spotykamy pokłady znacznej grubości, utworzone z muszel małży, spożytych przez liczne pokolenia, w ciągu długiego szeregu wieków. Te właśnie zwały muszel, wraz ze znajdowanymi w nich pierwotnymi narzędziami kamiennymi, są jednym z dowodów istnienia człowieka na lądzie australskim w czasach niezmiernie odległych.

Wbrew utartemu mniemaniu, Australczycy bynajmniej nie jedzą bez wyboru wszystkiego, co jest tylko produktem spożywczym; niektóre gatunki ryb, skorupiaków i grzybów, spożywane przez Europejczyków, są przez nich odrzucane, natomiast jadają oni wiele produktów nieznanych u nas, albo budzących w nas wstręt lub odrazę. Do takich należą np.: jaszczurki, węże, rozmaite gatunki owadów i gąsienic, zalegnięte jaja ptasie, jelita zwierzęce i t. p.

Wobec zupełnego braku naczyń glinianych, Australczycy nie mogą gotować strawy na ogniu,¹⁾ naczynia bowiem, sporządzane ze skorup mięczaków i żółwi, drzewa, kory, czaszek ludzkich, skór zwierzęcych ulegałyby spaleni. W związku z tem pieczenie i duszenie pod darnią zastępują tu gotowanie jadła. Szczególniej ciekawa jest metoda duszenia mięsa. W tym celu w ziemi wygrzebuje się zagłębienie, którego dno i boki zostają wyłożone kamieniami, lub w razie ich braku—gliną. W tak przygotowanem zagłębieniu rozpala się tęgi ogień, do którego zostają wgarnięte zbywające kamienie i ziemia. Po wypaleniu, na dno kamienne kładzie się przedewszystkiem warstwę wilgotnej trawy lub liści, na niej układa się zwierzynę: kangura, opossa, emu, przykrywając z wierzchu nową warstwą trawy. Na trawę narzuca się kamienie rozpalone w ognisku, wreszcie wszystko zostaje starannie okryte ziemią dla zapobieżenia szybkiemu wystygnięciu. Żar kamieni w połączeniu z parą, wydzielającą się z trawy, gotują a zarazem duszą mięso, które dzięki takiemu przyrządzeniu zachowuje całą swą soczystość. Niekiedy, jak podaje Buschan, rozpalone kamienie bywają wtlaczane do otwartej jamy ciała zwierzyny, co znacznie przyspiesza gotowanie sztuk większych. W razie gdy ilość wydzielającej się pary zdaje się być niedostateczną dla uduszenia mięsa, do wnętrza pieca wlewają nieco wody przez otwory poprzetykane patykiem w pokrywie ziemnej. Drobniejsza zwierzyna: ptaki, ryby, mniejsze ssawce i gady, są w ten sam sposób duszone w parze, bądź wprost pieczone na węglach. W niektórych okolicach krajowcy pieką takie właśnie drobniejsze sztuki w gorącym popiele, oblepiwszy je uprzednio gliną; po upieczeniu skóra z włosem lub pierzem odchodzi wraz z gliną, pozostawiając czyste mięso pełne soku.²⁾ Również jaja ptasie, owoce, nasiona i korzenie roślinne, o ile nie są jadane na surowo, ulegają upieczeniu w popiele.

Ulubionym przysmakiem Australczyków jest słodki syrop, wydzielany przez kwiaty banksyi i drzewa trawiastego, a także miód pszczele. Dla zdobycia miodu, podobnie zresztą jak w po-

¹⁾ Naczynia gliniane, spotykane u niektórych szczepów północnych, nie są właściwością lokalną, lecz nabytkiem późniejszym, wyrobem przejętym od sąsiednich Papuów lub Malajów.

²⁾ Pewien znajomy, myśliwy z Ukrainy, opowiadał mi, iż w taki sam sposób piekł częstokroć na polowaniu drobne ptactwo: bekasy, słonki, przepiórki.

goni za torbaczami, pędzącymi życie nadrzewne, lub w poszukiwaniu jaj i piskląt, Australczyk wspina się niezmiernie zręcznie na drzewa, nie wyłączając nawet wysokich, gładkopiennych eukaliptusów. W razie gdy obwód drzewa jest tak znaczny, iż nie podobna wdrzeć się na nie używając li tylko rąk i nóg krajowiec posługuje się narzędziami pomocniczymi w postaci topora kamiennego i długiego, mocnego sznura z kory drzewnej lub pnączy. Toporkiem Australczyk wyrąbuje wcięcia w korze, używając ich jako stopni, sznur zaś, zarzucany nakształt lassa dokoła pnia, służy mu do podciągania ciała coraz to wyżej.

Używanie napojów upajających było w Australii bardzo ograniczone aż do chwili przybycia Europejczyków; w wielu okolicach nie znano ich zupełnie, gdzieindziej, np. w Nowej połud. Walii—jak podaje Braim—przyrządzano rodzaj wina z miodu. Natomiast żucie i palenie roślin narkotycznych było tu rozpowszechnione jeszcze przed okresem kolonizacji. Szczególniej używane liście t. zw. „piczuri“ (*duboisia hopwoodii*), posiadają własności silnie podniecające. Roślina ta, właściwa pustynnym okolicom wnętrza, stanowi doniosły artykuł handlu zamiennego dla szczepów australskich. Podczas długich, wyczerpujących wędrówek krajowcy żują jej suszone liście, co ma znakomicie podtrzymać siły i łagodzić uczucie głodu; również podczas boju Australcy żują „piczuri“ dla podniecenia energii i zapału wojennego.

Ośrodkiem, wkoło którego skupia się życie rodziny australskiej w obrębie obozowiska, jest ognisko. Krzesanie ognia odbywa się tu w sposób dwojaki: metodą wiercenia i metodą tarcia. W pierwszym przypadku Australczyk kładzie na ziemi kawałek suchego, miękkiego drzewa, zazwyczaj przepołowioną gałąź, zaopatrzoną z jednej strony w niewielkie dołkowate wcięcia; inny kawałek drzewa, w postaci palika starannie wygładzonego i zaostzonego na jednym końcu, zostaje ustawiony pionowo w ten sposób, by ostry koniec spoczywał we wcięciu. Ująwszy palik pomiędzy obie dłonie i szybko przesuwając niemi, Australczyk wprawia palik w ruch wierzący, wskutek czego już po upływie paru minut we wcięciu zjawia się dym i tlejące drobiny drzewa zapalają suchą trawę, próchno i liście, nagromadzone uprzednio dokoła przyrządu. Druga metoda, dłuższa i mozolniejsza, polega na szybkim tarcu dwóch kawałków drzewa, z których jeden, zaopatrzony w rynienkowane wcięcia, spoczywa na ziemi, drugi zaś, o krawędzi zaostzonej szablówato, zostaje umieszczony we wcięciu i przesuwany szybkim ruchem tam i na powrót, nakształt piły, dopóki od padających iskier nie zatli się naszykowana pod-

pałka. Jak podaje Buschan, częstokroć rolę drzewa „trącego“ odgrywa bummerang, a zaś drzewem „tartem“ jest tarcza lub wommera odpowiednio nacięta. W celu uniknięcia jednak każdorazowego krzesania ognia dla rozpalenia ogniska Australczycy mają zwyczaj przechowywać i nosić ze sobą zarzewie w wilgotnym mchu lub liściach, lub w postaci tlejących gałęzi. Na wyprawach myśliwskich jeden lub dwu uczestników zaopatruje się zazwyczaj w zarzewie; również i kobiety w czasie pochodu noszą ze sobą tlejące głównie, by móżdż rozpalic ognisko natychmiast po przybyciu na miejsce wypoczynku lub noclegu.

W życiu codziennem mężczyźni, o ile nie są zajęci polowaniem lub rybołówstwem, co przedewszystkiem czas im zaprzęta, trudnią się wyrobem broni i sprzętów, lub przygotowaniem surowych skór do użytku. Czynności kobiece polegają przedewszystkiem na gromadzeniu pokarmu roślinnego, zbieraniu gałęzi na opał, pleceniu sieci, koszów, worków i t. p. Dostarczanie wody i jej przechowanie stanowi również obowiązek kobiet, obowiązek częstokroć niełatwy do spełnienia wobec okresowego braku lub ubóstwa wody w wielu okolicach. Stąd też kłótnie i bójki między kobietami zachodzą przeważnie na tle zatargów o wodę. Umiejętność wyszukiwania wody zaskórnej lub źródeł ukrytych jest wysoko rozwinięta u krajowców Australii. W niektórych okolicach umieją oni nawet urządzać sztuczne zbiorniki dla przechowania wody deszczowej.

Wytwórczość Australczyków jest wogóle słaba, a zarazem mało różnorodna. Wprawdzie w związku z różnicami, jakie zachodzą w poszczególnych okolicach w zakresie materiału surowego, wytworzyła się tu pewna specjalizacya, jednak nie zaznacza się ona wyraźniej i zazwyczaj każdy szczepek sam produkuje wszystko, co mu jest niezbędne do zaspokojenia potrzeb. Niemniej wzajemna wymiana zarówno materiałów surowych, jak gotowych wyrobów częstokroć tu zachodzi, szczególnie gdy szczepy rozsiane na znacznej przestrzeni ulegną zetknięciu, bądź w związku z uroczystościami „dojrzałości“ i „wtajemniczenia,“ bądź dla wspólnego odprawienia obrzędów, mających na celu pomyślne mnożenie się zwierzyny i roślin jadalnych, bądź wreszcie dla jakiegokolwiek wspólnej narady. W przypadkach podobnych odbywa się wymiana broni, narzędzi, sieci—na skóry, przedmioty ozdoby, gliny barwiące, pióra, muszle i t. p., zależnie od tego, co mianowicie, będąc wśród danego szczepu produktem rzadszym, jest dlań temsamem przedmiotem potrzebniejszym lub bardziej pożądanym. Niekiedy następuje również wymiana lub sprzedaż kobiet. Ubóstwo

wytwórczości Australczyków, przy równoczesnem ubóstwie flory i fauny australskiej i braku takich produktów surowych, jak: cenne futra i pióra, kość słoniowa, korzenie, zboża, były niewątpliwie jedną z przyczyn, dla których łąd ten, pomimo stosunkowo blizkiego sąsiedztwa z wyspami Indonezyi i Melanezyi, był tak mało nawiedzany przez wyspiarzy sąsiadów. Prostu nie było w Australii nic, coby nęciło przybyszów, zachęcając ich do zawiązania stosunków handlowych, bądź przedsięwzięcia kroków zaborczych. Rzecz prosta, iż podobna długoletnia, niemal zupełna izolacya musiała tembardziej jeszcze utrwalić i zaakcentować piętno odrębności, a pod wielu względami i pierwotności etnicznej, właściwej krajowcom Australii. Kolonizacya europejska zastała Australczyków na stadyum kultury kamienia i życia koczowniczego, bez znajomości garncarstwa i ze słabymi ledwo zaczątkami uprawy roślin. To ostatnie dotyczy zresztą niektórych tylko okolic, gdzie, jak np. na wyspach ks. Walii przy wybrzeżu północno-zachodniem i gdzieś tam we wnętrzu łądu, podróżnicy spotykali coś w rodzaju plantacyi rośliny „yam“ (dioscorea), której bulwa jadalna stanowi ważny artykuł spożywczy dla krajowców Australii.

Czas wolny od zajęć lubią Australczycy spędzać na ćwiczeniach cielesnych, zabawach, tańcu i śpiewie. Borykanie się i ściąganie stanowi ulubioną rozrywkę młodszych mężczyzn i chłopców. W miesiącach letnich młodzież z zamiłowaniem uprawia pływanie i nurkowanie, przyczem kilku mężczyzn starszych rozstrzyga, który ze współzawodników osiągnął zwycięstwo. Również ciskanie oszczepem do celu jest tu częstokroć uprawiane. Z pośród gier,— gra w piłkę przypomina poniekąd nasze gry europejskie: tennisa, palanta i foot-baal. Obecni dzielą się na dwie lub kilka grup, z których każda, rzucając piłkę, usiłuje nie dać jej pochwycić obozowi przeciwnemu, ani też upaść na ziemię. Piłki zwijane są ze skórek zwierzęcych, pociętych na wąskie paski i pozosztywane. Niezmiernie znamionym objawem dla niskiej kultury Australczyków jest fakt, że plemiona te, tak zamiłowane w tańcu i śpiewie, nie posiadają żadnych zgoła instrumentów muzycznych. Jedyńy akompaniament do śpiewu i tańca stanowi tu proste wybijanie taktu przez uderzanie bummerangiem o bummerang, kijem lub zwitkiem suchych skór o tarczę lub wommerę, klaskanie w dłonie, bądź klaskanie dłońmi o uda. Obecność u niektórych szczepów północnych bardzo pierwotnych bębnow i piszczałek jest naleciałością indo- lub melanezyjską. Niemniej prymitywne są śpiewy Australczyków; polegają one na zawodzeniu lub recytowaniu

dziwnie melancholijnem i dla ucha europejskiego jednostajnem i ubogiem w melodyę, pomimo że krajowcy odróżniają w niem całą gamę odcieni i szczegółów charakterystycznych dla poszczególnych pieśni. Również i treść pieśni jest mało urozmaicona; zawiera ona opowieść o tem, co zaszło na polowaniu, w czasie pochodu lub podczas boju; wiele pieśni porusza tematy drastyczne. Śpiew i opisana powyżej quasi-muzyka stanowią zwykły akompaniament tańca. Niezmiernie ciekawe i charakterystyczne dla Australii są t. zw. *Korrobore*, czyli pantominy taneczne, wyobrażające przeważnie sceny z życia zwierząt: kangurów, psów, ptaków, rekinów i t. p. i odgrywane przez krajowców z prawdziwym talentem i darem naśladowczym. Korrobore odbywa się w nocy, przy świetle księżyca, na placu uprzednio przygotowanym, t. j. oczyszczonym od gałęzi i kamieni. Wykonawcami bywają przeważnie tylko mężczyźni, którzy z wielkim nakładem pracy i pomysłowości stroją się i malują na tę uroczystość. Szczególniej dziwaczne są ozdoby noszone na głowie, bądź w postaci ram prostokątnych i kwadratowych, okalających twarz, bądź w postaci takich samych ram, przytwierdzonych do włosów i sterzących wysoko ponad głowę. U niektórych szczepów, jak zaobserwowali Spencer i Gillen, a później Klaatsch, rany te otoczone są pewną czcią i tajemniczością i widok korrobore, tańczonego przy ich użyciu, jest surowo zakazany kobietom i dzieciom; gdzieindziej natomiast posiadają one znaczenie li-tylko dekoracyj tanecznych. Z nastaniem zmroku kobiety rozniecają wielkie ognisko i zasiadłszy wraz z innymi widzami wielkiem kołem na ziemi, rozpoczynają śpiew i muzykę w sposób opisany wyżej. Wówczas wypadają tancerze z pobliskich krzaków, gdzie pozostawali w ukryciu; ciała ich dziwacznie pomalowane, ramiona i twarze fantastycznie przybrane robią w rzeczywistości silne i groźne wrażenie, gdy podczas tańca bądź kryją się w mroku, bądź wyłaniają w czerwonym świetle ogniska lub srebrzystej poświacie księżycowej. Podczas zgromadzeń szczepowych również odbywają się korrobore, wykonywane kolejno przez szczepy rozmaite, nigdy bowiem — jak podaje Mathews — w korrobore nie biorą udziału jednocześnie elementy różnoszczepowe. Niekiedy pospołu z mężczyznami tańczą i kobiety; wówczas pantominy nabierają charakteru erotycznego i częstokroć stają się wyuzdane.

*
*
*

Podobnie jak u ogółu ludów pierwotnych, poród u Australczyków trwa stosunkowo krótko i przebieg jego jest łatwy. Czując nadchodzącą chwilę rozwiązania, Australka udaje się w towarzystwie jednej lub paru kobiet w zarośla i tam wydaje dziecko na świat, poczem wraca do codziennych zwykłych zajęć.

Mówiłem już, że dzieciobójstwo jest bardzo rozpowszechnione w Australii. Główną przyczyną tego obyczaju jest trudność wyżywienia liczniejszej rodziny; działają tu jednak również i inne czynniki, np. częstokroć są zabijane dzieci, zrodzone z ojców białych, dzieci dziewcząt niezamężnych, lub pochodzące ze związków przymusowych; również pozbawiane życia są kaleki, z bliźniąt jedno lub oboje, wreszcie niemowlęta, zrodzone wówczas, gdy dziecko poprzednie jeszcze nie umie chodzić. Z chwilą jednak, gdy niemowlę ma być zachowane przy życiu, matka otacza je wielką pieczołowitością i miłością, czego wyrazem jest długotrwały okres karmienia, przeciągający się — jak podaje Ploss i Bartels — od 2 do 6-iu lat. Niekiedy, w razie śmierci dziecka, matka nosi jego trupa ze sobą aż do zupełnego rozkładu ciała, a nawet i następnie przechowuje kości jego w worku. Wogóle starsi dobrze obchodzą się z dziećmi. Od wczesnych lat chłopcy i dziewczęta przyuczają się do zajęć, przypadających im z wiekiem w udziale: chodzą wraz ze starszymi na polowanie, na połów, uczą się rozniecać ogień, pleść sieci, kosze i t. p.

Doniosłą chwilę w życiu chłopców i dziewcząt stanowią urczystości, towarzyszące oficjalnemu przejściu z grona dzieci do grona osobników dorosłych, czyli tak zw. „święto dojrzałości.“ Szczególniej chłopcy poddawani są w tym okresie czasu najrozmaitszym obrzędom, przeważnie przykrym i bolesnym, mającym niby na celu zahartowanie męczyzny, w samej rzeczy jednak rujnujące jego zdrowie i siły na pozostały okres życia. Do ceremonij takich należą między innymi: próby wytrzymałości narazy, głód, pragnienie, zimno, czuwanie, niewygody, tatuowanie przez nacięcia, wybicie zębów, obrzezanie i t. p. U niektórych szczepów nowicyusze muszą czołgać się poprzez zarośla z zawiązanymi oczyma, poczem przez dni kilka wolno im patrzeć tylko pod stopy; u Narinjerów w Nowej połud. Walii chłopcom od 10-go roku życia wzbronione jest spożywanie 13-tu gatunków najbardziej pożywnego jada, a zarazem niewolno im czesać ani obcinać włosów; u niektórych szczepów Wiktoryi i Południowej Walii nowicyusze leżeć muszą przez czas dłuższy na wznak, przykryci gałęzmi, przyczem wzbronione im jest poruszać się, drapać, mówić i nawet funkcyje naturalne zmuszeni są spełniać, nie zmieniając

pozycji. Obok tych przykrych prób wytrzymałości, którym poddawani są młodzieńcy, wstępujący w grono dorosłych mężczyzn, ulegają oni zarazem wtajemniczeniu w obyczaje, prawa i wierzenia szczepu; nadto zostają im powierzone pewne tajemnice i pokazane lub wręczone pewne czarodziejsko-mistyczne narzędzia, skrzętnie ukrywane przed okiem kobiet i dzieci. Obrzędy święta dojrzałości ulegają znacznym różnicom w rozmaitych okolicach Australii. Zazwyczaj sąsiednie szczepy zbierają się dla wspólnego dokonania obrzędów nad całą młodzieżą w wieku odpowiednim; zwołane przez postów, schodzą się one na oznaczone terytorium i rozkładają obozowiska według zwyczaju, oryentując je w tym kierunku, skąd każdy szczep przybył. Z racyi uroczystości odbywają się wspaniałe korrobore, a liczne zgromadzenie szczepów, niekiedy zdaleka przybyłych, daje pole do ożywionego handlu zamiennego. Zgromadzenia podobne nie trwają nigdy długo wobec braku pożywienia, jaki wkrótce daje się odczuwać, i już po upływie dni kilku szczepy rozchodzą się, powracając na własne terytorya.

Również i przejście dziewcząt z okresu dzieciennego do okresu dojrzałości odbywa się przy specjalnych obrzędach; jednak o wiele mniej uroczystych i złożonych niż te, które towarzyszą świętu dojrzałości i wtajemniczenia chłopców. Obrzędy dokonywane są w rodzinie, bez współudziału szczepów sąsiednich. W tym więc przypadku, jak zresztą przez cały wogóle ciąg życia, wyraźnie zaznacza się niższe stanowisko kobiety w społeczeństwie australickim. Uważana za własność mężczyzny, przeciążona pracą, źle odżywiana, oddzielona od społeczeństwa męskiego niedostępnym dla niej „wtajemniczeniem,“ od dziecka już podlegająca nieokiełznanym chuciom samczym—kobieta australicka pędzi żywot nędzny i pełen udręczeń. Wprawdzie u niektórych szczepów chłopiec, wstępując do zgromadzenia mężczyzn, składa ślub powstrzymania się od wszelkiego gwałtu względem kobiety, zakaz ten wszakże pozostaje zazwyczaj martwą tylko formułą, wskazującą jednak na pierwotnie wyższe stanowisko kobiety w społeczeństwie australickim. Wszędzie w Australii panuje wielożeństwo, a ilość posiadanych żon zależy wyłącznie od tego, ile dany mężczyzna może ich sobie kupić. Stąd też kobiety, z krzywdą osobników młodszych, skupione są przeważnie w rękach mężczyzn starszych. Wobec podobnych stosunków i wogóle braku kobiet w Australii, dziewczęta stanowią dla rodziny cenny artykuł handlu zamiennego i częstokroć, jako niemowlęta jeszcze, zostają przyobiecane przyszłym swym mężom. Nic dziwnego również, iż na tle posia-

dania kobiet wynikają tu częste waśni, napady i walki. Sposób zawierania małżeństw bywa rozmaity; bardzo rozpowszechniony jest obyczaj porywania dziewczęcia po uprzednim porozumieniu się z rodziną, przyczem zostaje inscenizowany napad, udana walka, wreszcie samo uprowadzenie. Niekiedy jednak porwanie jest rzeczywiste i daje powód do krwawych starć pomiędzy szczepami. U niektórych szczepów kobiety nie są sprzedawane, lecz wymieniane również na kobiety; prawo wymiany przysługuje częściej bratu niż ojcu dziewczęcia; czasami bywa ono sprzedawane osobie trzeciej. O ile poza małżeństwem panuje u Australczyków najzupełniejsza swoboda stosunków płciowych, o tyle od żon wymagana jest wierność, a zdradę małżeńską, popełnioną przez kobietę, mąż ma prawo śmiercią ukarać. Jednak nie cudzołóstwo samo w sobie uważane jest tu za występki, lecz raczej pogwałcenie praw cudzej własności, nieraz bowiem sąsiedzi zamieniają się na jedną lub parę nocy swemi żonami, a bracia lub bliźcy krewni używają wspólnie kobiet. U wielu szczepów wnętrza wdowa po śmierci męża przechodzi na wspólną własność szczepu. Na zachodzie spotykamy gdzieniegdzie lewirat, t. j. przechodzenie wdowy na własność brata nieboszczyka; istnieje tu także obyczaj zaręczania się kobiety zamężnej już naprzód, na wypadek śmierci męża. Przy zawieraniu małżeństw Australczycy pilnie przestrzegają egzogamię, tak, iż łączyć się ze sobą mogą tylko członkowie grup szczepowych różnych. Szczep Niol-Niol np. z nad zatoki Beagle-Bay w północno-zachodniej Australii, badany przez Klaatscha, rozpada się na cztery grupy małżeńskie; również czterogrupowy system spotykamy u Arandów północnych (środkowa Australia), wówczas, gdy u Arandów południowych istnieje podział na 8 grup małżeńskich. Małżeństwo endogamiczne, t. j. zawarte wewnątrz jednej grupy, uważane jest za kazirodce i karane bywa śmiercią. W każdym razie stan rzeczy dzisiejszy, w którym, obok ściśle obserwowanej egzogamii w zakresie małżeństwa, występuje zupełna swoboda związków wolnych, zdaje się być wyrazem zwyrodnienia i osłabienia ustroju pierwotnego, w którym instytucja małżeńska większej zażywała powagi.

Jedyny rodzaj śmierci zrozumiały dla Australczyka stanowi śmierć z przyczyn widocznych: wskutek ran, stłuczenia, śmierć w boju i t. p. Wszelkie inne rodzaje śmierci, nie wyłączając śmierci spowodowanej wiekiem, kładzie on na karb rzuconego czaru. W związku z tem pierwszą troską rodziny i przyjaciół zmarłego jest odszukanie winowajcy. Sposoby używane w tym celu są rozmaite. U szczepów z okolic Port-Lincoln (Australia

połud.) najbliższy krewny śpi z głową wspartą na piersi trupa, oczekując we śnie wskazówki od zmarłego. U krajowców Adelajdy zmarły noszony jest na marach z gałęzi, a obecni wymieniają kolejno imiona przypuszczalnych sprawców śmierci; przy właściwem imieniu mary poruszyć się mają i pochylić w kierunku winowajcy. Niektóre szczepy południowo-zachodnie sądzą, iż owad, wypęczający z grobu nieboszczyka, wskazuje kierunek, gdzie przebywa winny. Wymierzanie kary bywa rozmaite, zależne od wieku i stanowiska zmarłego; polega ono bądź na obiciu, bądź na lżejszem lub cięższem zranieniu, bądź nawet na zadaniu śmierci. O ile domniemany winowajca należy do szczepu obcego sprawa kończy się zazwyczaj utarczką, poprzedzoną wzajemną wymianą przekleństw i obelg; po zadaniu sobie mniej więcej lekkich ran strony obie na wezwanie kilku starszych mężczyzn zaprzestają boju i sprawa uważana jest za załatwioną. Inaczej rzecz się ma w razie zabójstwa; wówczas za śmierć winowajca płacić musi własną śmiercią i zostaje zakłóty dzidami przez towarzyszy zmarłego. Po dokonaniu tej krwawej zemsty obecni zakopują w ziemię dwa patyki długości ręki, mające wyobrażać zabójcę i ofiarę. W razie śmierci winowajcy przed dokonaniem zemsty, lub w razie jego ucieczki, najbliższy krewny przestępcy ponieść musi karę. W Australii istnieje kilka odrębnych metod pogrzebowych: nieboszczyk zostaje zakopany w ziemi, umieszczony w pniu spróchniałego drzewa, w rzadkich przypadkach ulega spaleniu, staje się przedmiotem uczty ludożerczej, bądź wreszcie zostaje spreparowany jako mumia. Różnorodność tych metod jest głównie lokalna, chociaż — jak podaje Thomas — pozostaje ona również w związku z wiekiem, płcią i stanowiskiem zmarłego. Szczególniej ciekawa jest metoda sporządzania mumii; Klaatsch opisuje ją w sposób następujący. Po zakopaniu ciała na dni kilka w ziemi trup zostaje wyjęty i obgniły naskórek wraz z włosami ulega dokładnemu oskrobianiu. Po dokonaniu tej operacyi jama ciała zostaje otwarta i ciało umieszczone na ruszcie z gałęzi ulega powolnemu suszeniu, a raczej wędzeniu nad ogniem. Ociekającym tłuszczem i krwią kobiety należące do rodziny zmarłego smarują sobie włosy, związując je następnie w pęczki; w miarę odrastania włosów gruzły, tworzące tę dziwaczną fryzurę, ulegają obcięciu i noszone są w postaci naszyjnika. Podobną fryzurę żałobną obserwował Klaatsch i u mężczyzn. Po dostatecznem wysuszeniu ciała zostaje mu nadana pozycja człowieka siedzącego w kucki z kolanami dotykającemi brody i dłońmi wyciągniętymi wzdłuż twarzy. Być może — jak przypuszcza Klaatsch — iż pozycja taka ma odtwarzać

pozę płodu skurzonego w łonie matki; słusznie jednak zaznacza Waldeyer, że mogą tu również wchodzić w grę czynniki natury praktycznej, ponieważ ciało sprowadzone do tej pozycji zajmuje najmniej miejsca, co jest warunkiem pożądanym wobec obyczaju noszenia mumii przez czas jakiś w worku ze sobą. Według danych, zgromadzonych przez Klaatscha, obyczaj mumifikowania ciał był dawniej niezmiernie rozpowszechniony wśród niektórych szczepów; obecnie ogranicza się on przeważnie tylko do wybitnych jednostek. Mumia, zdobyta przez Klaatscha, należała do starego wodza i w chwili, gdy udało mu się pozyskać ją dla swych zbiorów za cenę tytoniu, odzieży i jada, upływało 8 miesięcy od chwili jej sporządzenia, a szczep, do którego należała, wciąż jeszcze włókł ją za sobą. Ze wszystkich metod pogrzebowych australskich, najwstrętniejszy dla naszych pojęć jest kanibalizm. Jednak kanibalizm ten, kanibalizm pogrzebowy, rytualny, nie jest u Australczyków wynikiem pospolitej krwiożerczości i okrucieństwa, lecz raczej rezultatem takich uczuć jak: przywiązanie do zmarłego, chęć przyswojenia sobie jego fizycznych i duchowych własności, lub wreszcie obawa przed zmarłym i naiwne usiłowanie zabezpieczenia się w ten sposób od jego powrotu. Matka np. spożywa ciało zmarłego dziecka, a kości jego nosi długi czas ze sobą w worku; mężczyźni zjadają zabitego przeciwnika lub wodza dla pozyskania jego zalet; krewni dzielą się ciałem krewnego, wierząc, iż dzięki temu łatwiej zapomną o zmarłym, a zarazem zapobiegą jego odwiedzinom. Obok kanibalizmu rytualnego, spowodowanego, że tak powiem, motywami natury idealistycznej, spotykamy jednak w Australii inną jeszcze jego postać, mianowicie kanibalizm wypływający z braku pokarmu wogóle, lub z braku pokarmu zwierzęcego. Ludożerstwo z tych przyczyn szczególnie jest rozpowszechnione w pustynnych okolicach wnętrza i zachodu. Jak podaje Ratzel, w Queenslandzie w latach, gdy drzewo bunga-bunga (araucaria Bidwilli) urodzi tak obficie, że ilość owoców przewyższa potrzeby ludności miejscowej, szczepom sąsiednim dozwolone jest przybyć i korzystać z nadmiaru pokarmu. Wobec tego jednak, że przybyszom wzbronione jest polowanie na jakąkolwiek zwierzynę, muszą oni zadawać się przez cały czas pobytu wyłącznie pokarmem roślinnym; budzi to w nich podobno po upływie pewnego czasu tak silne pożądanie mięsa, że zabijają jednego lub kilku swoich i wyprawiają ucztę ludożerczą. W zakresie kanibalizmu rytualnego czyli pogrzebowego u rozmaitych szczepów rozmaite istnieją obyczaje. Niektóre z nich spożywają nie całe ciało, lecz tylko pewne jego części, np. oczy i policzki,

lub tłuszcz nerkowy i sercowy. U Djerjów z południowej Australii wycinają zmarłemu tłuszcz z policzków, ramion, ud i brzucha i rozdają rodzinie do spożycia. U szczepów z górnego biegu rzeki Marji w Queenslandzie, według Macdonalda, kanibalizm pogrzebowy ma postać nieco łagodniejszą. Po upieczeniu trupa pomiędzy dwoma stosami jeden z obecnych znaczy kredą na ciele jego szereg linii poprzecznych i podłużnych i według nich ówiartuje tułów i kończyny; obecni wydają tymczasem dzikie wrzaski i ranią się nawzajem toporkami; ostatecznie jednak kawałki mięsa nie zostają spożyte, lecz zakopane w ziemi. Z pośród innych metod pogrzebowych, będących w użyciu w Australii ciekawy jest obyczaj umieszczania zmarłego w spróchniałym drzewie, lub na drzewie zaszytego w skóry i zawieszonoego na gałęziach. W wielu okolicach drzewa takie są palone wraz z trupem, a to z obawy, by szczątki zmarłego nie zostały użyte przez kogokolwiek do zgubnych czarów. Zresztą podobne drzewa grobowe, wobec zwyczaju Australczyków omijania miejsc spoczynku zmarłych, częstokroć stanowiłyby przeszkodę w ustawicznych wędrówkach ludności. Z tego też względu u niektórych szczepów nadbrzeżnych zmarli zostają wprost wrzucani do morza. Niemniej wstrętny, jak kanibalizm, jest obyczaj wystawiania trupa na działanie słońca i wiatru w celu oddzielenia mięsa od szkieletu i następnego dopiero pogrzebania kości. Nie wszystkie jednak kości ulegają temu losowi; górna część czaszki zostaje przeważnie zachowana i użyta, jako naczynie do picia. U niektórych szczepów w razie śmierci męża, żona śpi z trupem aż do zupełnego rozkładu ciała; podobnie i matki nie rozstają się z ciałami zmarłych dzieci. W związku z obyczajem Australczyków unikania miejsc spoczynku zmarłych, na miejsca takie wybierane są zazwyczaj okolice ustrome wśród lasu. Na grobie wznosi się przeważnie niewielki pagórek z ziemi; u niektórych szczepów jest on posypany gliną czerwoną lub piaskiem; niekiedy ustawiony jest nadto rodzaj szałasów lub daszek słomiany. W innych okolicach grób zostaje przykryty chróstem lub przywalony kłodą drewnianą, co ma zapobiegać wydostaniu się zmarłego nazewnątrz. Drzewa, stojące w pobliżu grobu, częstokroć bywają pokryte nacięciami. U niektórych szczepów na grobie zostają złożone dary dla zmarłego. Peron widział w pobliżu Albany, w południowo-zachodniej Australii, grób, obsadzony dokoła dzidami, zabarwionymi na czerwono i zwróconymi ostrzami ku sobie. Ciekawy typ grobów spotkał parokrotnie Klaatsch na wyspie Melville u wybrzeży północno-zachodnich Australii. Były one obsadzone słupami drewnia-

nymi, ciosanymi rozmaicie i pokrytymi ornamentem czarnym, żółtym i czerwonym; w jednym przypadku na słupach umieszczone były koszyki z kory drzewnej, stanowiące dary grobowe dla zmarłego. Podobny typ grobów obserwowali Bremer i Campbell na wyspie Bathurst, położonej w pobliżu wyspy Melville. Czy jednak mamy tu do czynienia z typem grobów australskich lokalnych, czy też, być może, z typem zapożyczonym od sąsiadów-wyspowców, trudno jest w danej chwili orzekać, nie posiadamy bowiem jeszcze wystarczających danych po temu.

*

*

*

Ustrój wewnętrzny szczepów australskich wykazuje zaledwie słabe zaczątki państwowości. Najobszerniejszą jednostką państwową stanowi tu szczep, złożony z pewnej ilości grup rodzinnych. Każdy szczep ma w swem posiadaniu pewien obszar, stanowiący pod pewnemi względami własność ogólną, pod innymi zaś własność poszczególnych rodzin. Np. zbieranie owoców i zwykłe polowanie dozwolone jest na całym terytoryum szczepowem. W razie jednak zamierzonego spalenia stepu dla obsaczenia zwierzyny, musi być uzyskane pozwolenie poszczególnych rodzin. Własność osobista wyraża się również przez prawo pierwszeństwa w korzystaniu ze źródeł, strumieni, okolic leśnych i t. p. Granice terytoryalne poszczególnych szczepów są ściśle przestrzegane, tak że wędrówki peryodyczne odbywają się tylko w granicach własnego terytoryum. Niekiedy dwa lub kilka szczepów sąsiednich ma we wspólnem posiadaniu pewien obszar; są to przeważnie kamieniołomy lub źródłiska. Ktokolwiek wkracza na terytoryum sąsiedzkie, musi być do tego upoważniony, lub winien przedstawić pałeczkę poselską, jako świadectwo swoich zamiarów. Pomiędzy szczepami sąsiednimi zachodzi dość częsta styczność w związku z handlem zamiennym, bądź z powodu rozmaitych uroczystości, na które szczepy zapraszają się nawzajem. Wzajemne zwołanie odbywa się przez posłów, drogą wręczania pałeczek poselskich lub polecenia ustnego. Istnieje tu nawet rodzaj specjalnej instytucji poselskiej, t. zw. *Ngia-ngiampe*. Sznur pępkowy nowonarodzonego dziecka, związany wraz z pęczkiem pióremu, zostaje wręczony ojcu również niemowlęcia w szczepie ob-

cym. Dzieci takie stają się względem siebie „ngia-ngiampe,“ czyli że nie wolno im do pewnego wieku dotykać się, mówić do siebie, nawet się widywać; natomiast gdy dorosną, stają się pośrednikami w stosunkach międzyszczepowych. „Ngia-ngiampe“ uważane jest za rodzaj powinowactwa, braterstwa, tak, że nawet małżeństwo pomiędzy członkami rodzin związanych w ten sposób jest u wielu szczepów niedozwolone.

Odrębność szczepowa w zakresie kultury jest w Australii bardzo słabo wyrażona; różnice międzyszczepowe, dotyczące narzecza, poglądów, obyczajów, przemysłu, są stosunkowo nieznaczne, za wyjątkiem szczepów północnych, okazujących pod wielu względami wpływy obce: indonezyjskie i melanezyjskie. Pomimo tej jednak jednolitości kulturalnej specjalne środowisko australskie, warunki bytu, zmuszające ludność do rozproszenia, stanęły na przeszkodzie wytworzeniu się tu państwowości, sprzyjając natomiast separatyzmowi szczepowemu.

Na czele szczepu stoi naczelnik, czyli wódz, obierany z pośród mężczyzn najpoważniejszych, a zarazem ześrodkowujący w sobie wszystkie zalety cenne dla Australczyków: siłę, zręczność, zdolności łowieckie, częstokroć i umiejętność czarnoksiężką. Nad pojedynczemi gromadami, czyli hordami, przewodzą starsi i doświadczeńsi mężczyźni, stanowiący w razie potrzeby radę i instytucję karną. Na czele rodziny stoi mąż. U niektórych szczepów, jak podaje Schörmann, władzy naczelnej niema nawet wcale, a rządy sprawują wprost jednostki silniejsze, sprytniejsze, lub uważane za czarowników.

Dla rozstrzygnięcia zatargów międzyszczepowych zbierają się „starsi“ i wodzowie szczepów sąsiednich; częstokroć jednak nie dochodzi do porozumienia i sprawa kończy się bojem. Klaatsch był świadkiem takiego boju, prowadzonego o kobietę, i opisuje ciekawy przyrząd, używany przez walczących, jako przedmiot do wyładowania swej wściekłości. Jest to mianowicie rodzaj piłek lub kulek z miękkiego materiału: piór, sierści — które walczący noszą zawieszane na szyi i, chwytając w zapale walki zębami, gryzą i szarpią zaciekle. Podobną obserwację znajdujemy również u Stokego, który podaje, jakoby krajowcy z Beagle-Bay (Australia północno-zachodnia) gryźli własne brody w przystępie szału bojowego. Bardzo rozpowszechnionym obyczajem załatwiania obrachunków międzyszczepowych lub nawet wewnętrznych jest krwawa zemsta. Ohydny i wyszukany rodzaj zemsty spotykamy u Narinierów z Nowej połudn. Walii. Mściciel zanurza ostrze dzidy lub kawałek zaostrzonej kości w ciało rozkładającego się

trupa i pozostawia je tak przez ciąg dni kilku. Po upływie tego czasu, gdy ostrze nasiąkło jadem, obwija je w pęczek włókien lub włosów również napojonych ropą i czyni zadość swej zemście, zadając cios wrogowi i zakażając go trupim jadem.

Wogóle w stosunkach międzyszczepowych, a nawet i wewnętrznych, ujawnia się niedowierzanie; niewątpliwie przyczynia się do tego obawa czarów, urzeczeń, duchów i t. p. Nawet przy spotkaniu znajomych Australczyk nie objawia odrazu radości i dopiero po jakimś czasie rozpoczyna się swobodna gawęda. U Djerjów z południowej Australii na spotkanie obcego wychodzą mężczyźni uzbrojeni i ustawiają się, jak do boju; zbliżający się również trzyma broń w pogotowiu; następuje wzajemna wymiana i odparowanie ciosów, poczem dopiero przybysz zostaje powitany i wprowadzony do obozowiska. Sam ceremoniał powitania polega w Australii na pocieraniu piersi ręką; na pożegnanie wykonywane są specjalne poruszenia palcami, lub dłonie zostają rozkładane i podnoszone do góry. Zresztą pod tym względem istnieje wiele różnic lokalnych. Na wyspie Melville czarni witali Klaatcha, macając jego ciało i wyrażając grymasami twarzy i gestami radość z powodu dobrego stanu jego odżywienia. Podobny sposób powitania spotkał on na wysepkach w zatoce Karpentaryi.

Mówiąc o ustroju wewnętrznym szczepu i rodziny w Australii, muszę wspomnieć o *totemizmie*, a raczej *kobongizmie*, pomimo, że właściwe znaczenie i ustrój tej organizacyi jest nam dotychczas niedokładnie znany. Grey podaje następujące określenie „kobongu“ dla szczepów z okolic Albany w południowo-zachodniej Australii. Każda rodzina posiada jako godło zwierzę lub roślinę, stanowiące jej kobong. Pomiędzy kobongiem a grupą doń należącą zachodzi, według pojęć krajowców, pewien tajemniczy związek, coś w rodzaju powinowactwa, opartego na wspólnem pochodzeniu od mytycznego przodka. Zgodnie z takim poglądem, członkowie grup kobongicznych oszczędzają swoich kobongów, i np.: jeśli chodzi o roślinę, nie zrywają jej w pewnych okresach czasu i w pewnych okolicznościach, jeśli zaś idzie o zwierzę — nie zabijają go ani w stanie snu, ani też bez dania mu uprzednio możności ucieczki. Taki stosunek człowieka do kobonga przypomina stosunki totemistyczne, właściwe szczepom Indian z Ameryki północnej. Nie wszędzie jednak w Australii spotykamy kobongizm w formie opisanej wyżej; istnieje tu pod tym względem cały szereg różnic lokalnych. U niektórych szczepów kobongizmu dotychczas nie stwierdzono zupełnie, natomiast u innych wy-

stępuje on w postaci bardzo zawilej. U Niol-Niolów np. w północno-zachodniej Australii, Klaatsch, pomimo bardzo pomyślnych warunków badań, nie znalazł nic, coby wskazywało na kobongizm. Podobnie negatywny rezultat osiągnął on — a także Basedow, Stretlon, Spencer i Gillen — w północnem terytorium. Również i w Queenslandzie Tom Petrie, a następnie i Roth — doskonali znawcy życia i obyczajów krajowców — nie znaleźli zupełnie kobongizmu. Natomiast formę jego skomplikowaną spotykamy u niektórych szczepów wnętrza, np. u Arandów, Loritjów i innych, gdzie typ pierwotny—jak wykazuje P. W. Schmidt—uległ znacznym nawet przekształceniom lokalnym. U niektórych szczepów kobongizm wywiera wpływ na metodę zawierania małżeństw, ponieważ członkowie jednej grupy kobongicznej są uważani względem siebie za spowinowaconych, a co za tem idzie, małżeństwo pomiędzy nimi jest niedozwolone. Zazwyczaj też u szczepów takich grupy małżeńskie zbiegają się z grupami kobongicznymi, czyli, że ten sam kobong nie występuje u grup małżeńskich różnych. W miarę jednak komplikowania się pojęć kobongistycznych, zbieżność ta znika, i u Arandów np. lub Kaitiszów rozkład kobongów jest niezależny od grup małżeńskich, wskutek czego członkowie jednej grupy kobongicznej mogą żenić się z sobą. Kwestya dziedziczenia kobongu również przedstawia się rozmaicie: u szczepów o kobongizmie prostszym kobong dziedziczy się w linii męskiej, t. j. przechodzi z ojca na potomstwo; w miarę komplikowania się pojęć sprawa dziedziczenia kobongu staje się również bardziej zawiła; u Arandów i Loritjów np. — jak podaje Strehlow — każdy osobnik posiada dwa kobongi: swój własny, osobisty, zależny od okoliczności poczęcia lub urodzenia, oraz kobong macierzysty, z którym jednak łączą go słabsze związki. Wogóle w pojęciach wielu szczepów australskich daje się zauważyć wyraźna zależność pomiędzy kobongizmem a koncepcjonalizmem, t. j. poglądem na sprawę „poczęcia.“ Jest to całkiem zrozumiałe wobec tego, że w wyobrażeniu szczepów rzeczonych obie sprawy łączą się blisko ze sobą, jako wynikające obie z tajemniczego działania mytycznego protoplasty.

Wobec niechęci, jaką Australczycy okazują w ujawnianiu ludziom obcym swych pojęć i wierzeń, i tajemniczości, jaką okrywają swe obrzędy—to, co dotychczas wiemy o kobongizmie w Australii, jest w każdym razie w wielu przypadkach niejasne i niepewne. Zresztą, nawet w warunkach pomyślnych dla badacza, t. j. przy chętnem udzielaniu mu wyjaśnień i wskazówek, zostaje on częstokroć wprowadzony w błąd wskutek własnej nieostrożnej i nie-

umiejętnej metody zapytywania. Dzicy bowiem często przez grzeczność nie przeczą, lub nawet potakują na zadawane im pytania; zarazem skłonni są do kłamstwa, do ubarwiania i fałszowania rzeczywistości. W związku z tem, wiele nieraz z tego, co niewprawny lub niedość ostrożny badacz pisze o wierzeniach danego szczepu, zostało przezeń raczej nasunięte opowiadajacemu, lub poniekąd wmówione nawet, niż istotnie opowiedziane.

*

*

*

Pojęcia kosmogoniczne i religijne Australczyków są nietyle ubogie, ile niezmiernie chaotyczne. Zresztą, być może, iż wydają nam się one takimi wskutek trudności bliższego wniknięcia w te kwestye i należytego zanalizowania i porównania materiału. Nie siląc się przeto na ujęcie mytów i wierzeń australskich w jakikolwiek systemat, ograniczę się tylko do podania garści luźnych wiadomości z tego zakresu, oraz niektórych wniosków, będących rezultatem badań najnowszych w tej dziedzinie i rzucających ciekawe światło na kwestyę odrębności niektórych szczepów wnętrza.

Stworzenie świata i stworzenie człowieka przypisują Australczycy rozmaitym istotom wyższym: bogom, czy też duchom, przy czem metody stwarzania są tu niezmiernie różnorodne. Według niektórych szczepów zachodniej Australii ziemię stworzyć miał bóg Motogon głosem i tchnieniem swem; natomiast według plemion południowych bóg Barim miał ją namalować. Djerjowie opowiadają, że na rozkaz najwyższego boga Muramury księżyc stworzył świat, słońce zaś zostało stworzone przez Muramurę na prośby ludzi. U wielu szczepów księżyc uważany jest wogóle za potęgę dobroczynną, w przeciwieństwie do słońca, któremu przypisują złe wpływy. Krajowcy z okolic Encounter-Bay (Australia połudn.) wyobrażają sobie, iż księżyc chudnie po pełni wskutek zbyt długiego pobytu wśród ludzi; wówczas duch najwyższy wypędza go precz; księżyc kryje się i odkarmia nanowo korzonkami, by znów powrócić do ludzi. Inne szczepy południa przypisują peryodyczne znikanie księżyca słońcu, które, będąc jego żoną, zabija go co miesiąc. Stworzenie człowieka, podobnie

jak stworzenie świata, pojmowane bywa rozmaicie. Według niektórych szczepów południa bóg Bajamaj wyprowadzić miał istotę ludzką z wody, sam leżąc na skale, poczem przysłał córkę swą z kijem w celu wytopienia węży; złamany kij stworzył ogień. U wielu szczepów jaszczurka odgrywa doniosłą rolę w mytach antropogonicznych; według Djerjów np., bóg Tarrotare, sam w postaci jaszczurki, obciął jaszczurce ogon, by mogła chodzić na dwóch nogach, poczem zrobił z niej człowieka. Wogóle w mytach australskich element ludzki, roślinny i zwierzęcy splatają się częstokroć ze sobą, co pozostaje w związku z kobongizmem, z wiarą w łączność wzajemną. Gdy protoplaści Narinierów (Nowa połudn. Walia), tańcząc, wytworzyli pagórki i stawy Mutabaringi, zaprosili potężnego Kondola, który jednak ukrył przed nimi przyniesiony ze sobą ogień. Bóg Rilballe ranił go za to oszczepem w szyję, a obecni śmieli się. Wówczas zostali zamienieni w zwierzęta, a Rilballe dał ogień drzewu trawiastemu. Ciż sami Narinierowie opowiadają następujący męt o powstaniu deszczu. Stary człowiek żył w przyjaźni z dwoma młodymi. Razu pewnego, po pomyślnym połowie, młodzi zabrali sobie najlepsze ryby, zostawiając staremu wybiórki. Wówczas ten wszedł do szałasu i wnet zaczął padać ulewny deszcz; on pozostał suchy—oni zmokli za karę. Następnie wszyscy troje zostali zamienieni w ptaki i odtąd, gdy „stary“ krzyczy — jest to oznaka deszczu.

Oprócz bogów najwyższych, bogów twórczych, Australczycy wierzą w istnienie całego szeregu duchów dobrych i złych, jednak przy znacznej przewadze tych ostatnich. Według Niol-Niolów, pośród duchów dobrych, Banjebalki stanowią rodzaj istot opiekuńczych; mieszkają oni w niebie i tam mają swe tereny myśliwskie; dali czarnym muzykę, taniec i wiele umiejętności; czarownicy zyskują od nich magiczną swą siłę. Inny duch, Kalalon, również mieszkający w niebie, jest duchem mścicielem, baczącym, by młodzi nie kradli żon starszym. Rozmaite duchy zaludniają lasy, wody, pieczary, włączają się po nocy, unoszą w powietrzu; Bunjap straszyć ma po zaroślach, Kupir kradnie z jaskiń, Mani opala w nocy wąsy i brody i dusi. Każdy szczep posiada fantastyczne opowiadania o walkach stoczonych ze złymi duchami; niekiedy nawet — jak podaje Ratzel — krajowcy budzą Europejczyków, śpiących wraz z nimi, by czuwać w nocy przed napaścią duchów. Niektóre duchy posiadać mają postać zwierzęcą: takim jest olbrzymi wąż wodny, występujący w podaniach wielu bardzo szczepów i poczytywany za rodzaj złego bóstwa. Według Niol-Niolów miał on być inicjatorem obrzędu obrzezania;

odbłyskiem jego ciała jest tęcza. Podobne wytlómaczenie tęczy znalazł również Klaatsch i w północno-wschodnim Queenslandzie.

Wiara w egzystencję duszy po śmierci jest powszechna szczepom australskim. Niol-Niolowie zwań duchy pośmiertne „njerami“; zdaniem ich wędrują one po lesie, gdzie można je widzieć w nocy. Stosunek ich do żywych bywa rozmaity: przyjazny bądź wrogi. Gdy fala wyrzuci diugonia lub wieloryba na brzeg — ma to być dziełem dobroczynnem duchów przodków. Częstość jednak duchy zmarłych straszą, przeszkadzają lub psocą, a także dostarczają czarownikom szkodliwych kamieni do czarów. Niektóre szczepy zachodu opowiadają, iż dusze zmarłych siedzą na drzewach i skarżą się, a zawołane przez żywych, wstępują w nich. W związku z wiarą w możliwość udziału zmarłych w egzystencji żywych, pozostaje obawa, właściwa wszystkim szczepom australskim: imienia zmarłego nie wymawia się, a ci, którzy nosili to samo imię, zmieniają je na inne; niekiedy nawet miejscowości zostają przezwane dla dezoryentowania duszy i zapobieżenia jej odwiedzinom. Natomiast ceremoniał pogrzebowy, niekiedy bardzo złożony i uciążliwy, ma na celu przychylnie usposobienie ducha i zabezpieczenie się przed jego zemstą. U niektórych szczepów pojęcia o egzystencji pozagrobowej łączą się z mytami o gwiazdach. Szczepy z Encounterbay np. (Australia połudn.) wyobrażają sobie, że dusze zmarłych pędzą wśród gwiazd dalszy ciąg życia ziemskiego; droga mleczna przedstawia według nich strumień lub szereg szałasów i zapewniają nawet, jakoby spostrzegali kupy popiołu przed szałasami i dymy z nich się unoszące. Podobnie w Nowej połudn. Walii spotykamy wiarę w dalsze istnienie dusz w chmurach. Przeciwnie Arandowie z Australii środkowej sądzą, że zmarli odbywają wędrowkę pośmiertną na legendową wyspę „Laję“ i ulegają tam zniszczeniu przez błyskawicę.

Obok wiary w egzystencję duszy po śmierci, u niektórych szczepów znajdujemy wiarę w istnienie duszy przed urodzeniem; wyobrażenia takie spotykamy np. u Niol-Niolów i Arandów; u pierwszych dusza podobna zwie się „raja“, u drugich — „rata-pa.“ Dusze nienarodzone żyją w zaroślach, w lesie i podobnie jak dusze zmarłych ukazują się nieraz w nocy lub we śnie. Pojęcie takie nie stoi jednak w związku, jak można byłoby przypuszczać, z wiarą w reinkarnację, t. j. wcielanie się duchów zmarłych w istoty mające powstać. Wszelkie badania w tym względzie prowadzone przez Klaatscha i Strehlowa u Niol-Niolów i Arandów dawały wyniki negatywne i na wyraźne pytanie: „czy „njer“ (etana) przechodzi w „raję“ (ratapę) — dżicy odpowiadali przecząco.

Nic dziwnego, iż wobec tak silnie rozwiniętej wiary w istnienie całego szeregu istot nadprzyrodzonych: bogów, duchów, dusz zmarłych, wybitne stanowisko wśród szczepów zajmować muszą osobniki, posiadające znajomość tradycji, a zarazem umiejętność postępowania z bogami i duchami w celu uzyskania ich względów, lub zwrócenia ich przeciw wrogowi. Stanowisko takie zajmują czarownicy. Działają oni zapomocą użycia czarodziejskich formuł, zaklęć, amuletów, tajemnych obrzędów i t. p. Szczególniej doniosłą staje się ich rola w przypadkach śmierci i potrzeby wyszukania winnego, podczas ceremonii wtajemniczenia, w razie choroby lub w potrzebie wywarcia na kimkolwiek zemsty, bądź odwrócenia takowej. Największą siłą czarodziejską zawierają w sobie części ciała ludzkiego lub szczątki jada. Nie tylko czarownik, lecz każdy wogóle Australczyk stara się zdobyć te cenne substancje, bacząc zarazem, by nie dostały się one w ręce wroga, a nawet człowieka obcego. Tem się tłómaczy obyczaj skrzętnego palenia wszystkich szczątków jada, a także obyczaj niektórych szczepów palenia lub topienia zmarłych. Szczególniej potężne własności czarodziejskie posiadać ma tłuszcz nerkowy ludzki, który też w wielu okolicach zostaje wycinany zmarłym. Niemniej cenione są suszone ręce, noszone na piersiach, plecach, szyi, jako amulety. Ręka taka ma drapaniem, lub kurczeniem się oznajmiać zbliżenie wroga lub ostrzegać przed groźącym urokiem. Ma ona być zarazem amuletem bardzo pomocnym na polowaniu lub przy połowie ryb. W niektórych okolicach bardzo są poszukiwane dla swych właściwości czarodziejskich ogryzione kości pewnych ryb i ptaków, posiadanie ich bowiem ma dawać władzę nad życiem i śmiercią tego, kto spożył z nich mięso. Kostki takie zostają oblepione mieszaniną gliny, tłuszczu rybiego i kawałków ciała trupiego i spoczywać muszą przez czas pewien na piersiach trupa. W razie potrzeby użycia bryłka zostaje umieszczona w pobliżu ognia, a topienie się tłuszczu i gliny sprowadzać ma niezawodną chorobę lub nawet śmierć na osobnika, przeciw któremu czar był zwrócony. Bardzo rozpowszechnione wśród szczepów australskich są amulety z kamieni, przyczem użycie niektórych z nich stanowi przywilej wyłącznie tylko czarowników. Niektóre szczepy wyobrażają sobie, iż podobny kamień-amulet spoczywa w żołądku czarownika, który w sposób tajemny przenosi zeń okrzeski do żył osobnika czarowanego. Do jego własnego żołądka kamień zagadkowy ma się dostawać bądź z krainy duchów, w której przebywał w chwilach ekstazy, bądź z wnętrza świeżego grobu, na którym noc spędził.

Do zajęć czarownika oprócz wykonywania czarów należy zazwyczaj również wyrób narzędzi rytualnych z drzewa świętego. U Djerjów z Australii południowej jako drzewo takie uważany jest pewien gatunek akacyi; z niego wyrabiane są narzędzia do wybijania zębów, przedziurawiania przegrody nosowej, a także pałeczki magiczne, używane przy zażegnaniu chorób. Również tajemnicze „Churingi“ i „Warkotki“ wyrabiane są ze świętego drzewa.

Leczenie chorób niezawsze bywa wyłącznym przywilejem czarownika; na zachodzie leczą również i stare kobiety, gdzie-niegdzie spotykamy nawet specjalny zawód lekarzy. Przeważnie jednak obie funkcyje zbiegają się w jednym osobniku. U Narinjerów lekarz-czarownik obok zaklinania stosuje również i masaż części bolących. Używane są także zimne obmywania, nacięcia na ciele, puszczenie krwi; w tym wypadku krew nie powinna spływać na ziemię lecz na ciało innego osobnika, tworząc sieć przecinających się linii. Prawdopodobnie w związku z kobongizmem pozostaje stosowanie przez każdego lekarza pewnego specjalnego, jemu tylko właściwego środka, np. mrówek, jaszczurek, ptaków; chodzi tu, być może, o pewne współdziałanie tych istot, jako elementów przyjaznych, blizkich.

Jednem z najzawilszych zagadnień z dziedziny światopoglądu Australczyków jest kwestya, dotycząca istoty zagadkowych *Warkotek* i *Churing* — „drewienek dusz,“ jak je nazwał dr. Foy, oraz blisko związana z nią kwestya mytycznych protoplastów szczepowych i osobniczych. Postaram się przytoczyć w tym względzie nieco danych, oraz ciekawy pogląd Schmidta, rzucający pewne światło na tę, dotychczas tak ciemną dla nas dziedzinę. Warkotka jest to drewno płaskie, owalnie wydłużone, przedziurawione w jednym końcu i pokryte ornamentem. Zastosowanie jej bywa rozmaite. Najobszerniejsze i niemal powszechne jest zastosowanie podczas ceremonii wtajemniczenia; nawleczona na sznurki i puszczone w ruch wydaje ona warkliwy dźwięk, odstraszaający kobiety i dzieci, którym widok warkotki jest surowo wzbroniony. Kobietom i dzieciom mówią, iż jest to głos ducha, mordującego chłopców i przywracającego ich, wtajemniczonych, do życia; nowicyuszom natomiast wyjaśniają, iż warkotka przedstawia istotę legendarną, mytycznego protoplastę. Ciekawe jest, iż na południu Australii: w południowym Queenslandzie, Nowej południowej Walii, Wiktorji, Australii południowej — u wielu, być może nawet u większości szczepów, podczas ceremonii wtajemniczenia występuje nie jedna, lecz dwie warkotki. Podobne sto-

sunki istnieją dalej nawet na północy, u Arandów, Loritjów i Niol-Niolów północnego zachodu. W tych przypadkach, jak o tem świadczą liczne dane, warkotki reprezentują parę prarodzicielską: mężczyznę i kobietę — protoplastów szczepu.

Lecz obok tego zastosowania warkotki przy uroczystościach wtajemniczenia, spotykamy ją na gruncie Australii w innej jeszcze roli—w pojęciu ciaśniejszem, węższem, jako przedstawicielkę, jako symbol protoplasty kobongicznego osobniczego. W tej postaci jednak warkotki nie występują na całym obszarze Australii, lecz tylko na nieznacznej stosunkowo przestrzeni, mianowicie wśród szczepów północnego wnętrza i północnego zachodu. Tę postać warkotki nazwać możemy *Churingą*, używając nazwy, zaczerpniętej od Arandów, u których po raz pierwszy została ona opisana. Zarówno u Niol-Niolów, jak u Arandów i Waramungów każdy mężczyzna dostaje podczas inicjacji dwie warkotki-churingi na własność i trzyma je w ukryciu na drzewie; zresztą następnie może ich i więcej pozyskać. Churingi stanowią rodzaj łącznika pomiędzy człowiekiem, a jego duchem-kobongiem i w związku z tem bywają używane w niektórych obrzędach, mających na celu rozwój i pomnożenie zwierząt lub roślin kobongicznych.

Widzimy przeto, że zależnie od występowania warkotki, bądź warkotki-churingi, rozróżnić możemy wśród szczepów australickich dwie grupy: I-a, w której warkotka jest wyłącznie tylko wyobrażeniem wspólnego protoplasty szczepowego i II-a, w której ta sama warkotka, jako churinga, zyskuje zarazem charakter symbolu protoplasty kobongicznego klanowego lub osobniczego.

Schmidt uważa pierwszą grupę za socyologicznie pierwotniejszą.

Ślady ustroju pierwotnego znajdujemy najlepiej zachowane w kącie południowo-wschodnim Australii. Tu, u szczepów Wiktoryi, para warkotek inicjacyjnych zachowała najwyraźniej charakter pary protoplastów szczepowych, a brak churing, odpowiadających poszczególnym kobongom, wskazuje na ścisłą jednolitość szczepu, który poczuwa się do wspólnego pochodzenia i nie wie nic o jakiegokolwiek różnorodności początków. Jest to stadyum kobongizmu płciowego, opierającego się wyłącznie tylko na różnicy płci, wytworzonej przez naturę — stadyum, w którym szczep posiada dwa tylko kobongi: jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet, w związku z czem i małżeństwo regulowane jest tylko stopniem pokrewieństwa i wypływającą stąd egzogamią lokalną. Wyraźne ślady kobongizmu płciowego spotykamy również u niektórych

szczepów z nad Pennefather-river i z przylądka Bedford w północnym Queenslandzie. Według wyobrażeń tych szczepów związek każdego chłopca wstępuje w ciało matki pod postacią węża, a zaś każdej dziewczynki pod postacią bekasa. W związku z kobongizmem płciowym u niektórych szczepów południowego wschodu dają się zauważyć ślady pewnej równości społecznej mężczyzny i kobiety. Howitt ma dane przypuszczać, iż w pewnych obrzędach, w których użyte są obie warkotki, oprócz mężczyzn biorą udział i kobiety; również obyczaj Kurnajów pozostawiania dziewczęciu zupełnej swobody w wyborze męża, świadczy o niegdyś wyższem stanowisku kobiety; pewną wskazówką w tym względzie jest, być może, i rzadsze występowanie poligamii u szczepów południo-wschodu. Totemizm płciowy i związane z nim wyobrażenia pierwotne uległy, zdaniem Schmidta, u rozmaitych szczepów australskich rozmaitemu przekształceniu i zróżnicowaniu, odbiegając nieraz daleko od tego, czem były na razie.

Zasadniczą różnicę wprowadziła tu idea kobongizmu klanowego i kobongizmu osobniczego. W pierwszym przypadku idea szczepu jako jednostki, jako całości zamkniętej w sobie ustępuje miejsca idei ciaśniejszej, idei jednostki klanowej. Każdy klan taki wyprowadza się od jednego wspólnego protoplasty kobongicznego, od jednego pra-rodzica. Z tego jednak monogenicznego poglądu wynika niedopuszczalność małżeństw wewnątrz klanu, jako kazirodczych i podział na grupy małżeńskie o kobongach rozmaitych, na grupy stałe, gdyż posiadające kobongizm dziedziczny.

Jeszcze silniejszy stopień odrębności zyskują pojęcia tan, gdzie nawet idea klanu kobongicznego ulega osłabieniu, rozdrobieniu, t. j. gdzie zanika poczucie jedności klanowej, jako wspólnoty pochodzenia od jednego protoplasty-kobonga, i grupa każda wyprowadza się od kilku zarazem mytycznych przodków. W związku z tem kobongizm staje się tu niedziedzicznym, osobniczym. Stosunki podobne spotykamy u tylekroć wspomnianych Arandów i niektórych sąsiadujących z nimi szczepów. Jednakże chaotyczny i niezmiernie skomplikowany światopogląd Arandów nie daje się, zdaniem Schmidta, wytłómaczyć li tylko jako rezultat zróżnicowania się i przekształcenia pojęć pierwotniejszych; mamy tu niewątpliwie do czynienia z wynikiem, spowodowanym zlaniem się elementów miejscowych z jakimiś elementami obcymi. Wskazuje na to zresztą szereg faktów, zaczerpniętych z dziedziny wierzeń samych Arandów. Takimi są chociażby: wprowadzanie

przodków kobongicznych z północy — mnogość tych przodków u grup poszczególnych, co wskazuje na wtórny, pochodny już charakter tych postaci — występowanie w mytach oprócz protoplastów-kobongów jeszcze t. zw. „rella-manjerinja,“ jakichś postaci nieskończonych, łożonych (być może elementu tubylczego, niższego socyologicznie), które zostają obdarzone przez istotę wyższą, Mangarkunjerkunję, postacią doskonałą, ludzką i churingami (być może symbol wprowadzenia na wyższy poziom socyologiczny)... Domieszka elementów obcych w grupie Arandów i pokrewnych im szczepów tłumaczy nam te właściwości ich ustroju społeczno-religijnego, które nie dają się połączyć z ustrojem pozostałej znacznej większości szczepów australskich. Takim jest np. ustrój małżeński cztero- lub ośmiogrupowy, lecz niezależny od kobongizmu, tak, iż jednakowe kobongi występują w grupach małżeńskich różnych i wskutek tego członkowie tej samej grupy kobongicznej mogą się żenić ze sobą. Takiemi są również churingi, nie spotykane nigdzie w Australii po za obrębem kultury Arandów i niektórych szczepów północo-zachodu (Niol-Niolów), zbliżających się do nich pod wielu względami. Natomiast jako ślad światopoglądu pierwotnego, właściwego ogółowi plemion australskich, zachowało się u Arandów użycie podczas obrzędów wtajemniczenia dwóch warkotek — owej symbolicznej pary protoplastów szczepowych.

Ciekawy pogląd Schmidta, uznający kulturę Arandów za późniejszą, złożoną, ujawniającą wpływy elementów obcych, napływowych z północy, jest jednym więcej przyczynkiem, wskazującym na niezupełną jednolitość etniczną i somatyczną ludności Australii. Czy stosunki rasowe i kulturalne na gruncie Australii ulegną kiedykolwiek całkowitemu wyjaśnieniu? — nie możemy przesądzać wobec trudności, jaką nastęrcza wogóle badanie i analizowanie tych zagadnień, a także wobec szybkiego wymierania Australczyków. Tem też cenniejsze są wszelkie prace naukowe, poświęcone tym kwestyom.

Niewątpliwie do rzędu takich należeć będzie praca Schmidta, ukazać się mająca w najbliższej przyszłości, a poświęcona wyśledzeniu i zbadaniu momentów wewnętrznych i zewnętrznych, pod których wpływem ukształtował się ustrój społeczny poszczególnych grup szczepowych australskich.

PIŚMIENNICTWO.

MARIUS-ARY LEBLOND. *La Pologne vivante*. Paris, 1910. Librairie academique. Perrin & C-ie. Str. 475 w zwykłym 8-o, z mapą.

Blizko pięćsetstronnicowa, zwarteo, ściśłego druku o Polsce, książka, o której dużo mówi prasa francuska, która zaletami swemi zwraca uwagę Francyi intelektualnej na siebie i na Polskę. Zjawisko dość niezwykle, aby się nad niem zastanowić, aby zrozumieć podłoże, na jakim powstało.

Po okresie tułactwa, gdy pełno było naszych we Francyi, nastąpił okres ciszy; wymarli ci, którzy pamiętali braterstwo broni na wszystkich polach walki o wolność. Rozgromiona przed laty czterdziestu na polach Gravelotte i Sedanu Francya musiała wejść w siebie, szukać wzmocnienia, sojuszników; okres romantyzmu politycznego został zamknięty. Jako najlepszy sojusznik przeciw pogranicznemu wrogowi nasuwała się Rosya; a za sprawą aliansu umyślnie cieniem pokrywana była sprawa polska. Mukden i Laojan zawiodły nadzieje potęgi militarnej alianta; miliony, w pożyczkach zaangażowane, uczyły rachować na wewnętrzne jego odrodzenie i wzimocnienie. Tą drogą rozumowania doszła i Francya do sprawy polskiej. Rzecz stawia się tak: do zupełnej potęgi Rosyi potrzebna jest zupełna jednolitość interesów wszystkich prowincyj i ludów, w skład olbrzymiego państwa wchodzących; a że Polska właśnie w stosunku do Niemiec kresowe zajmuje stanowisko, więc przedewszystkiem chodzi o to, aby najistotniejsze jej pragnienia zadowolić. W tym sensie ze wszelkiemi względami dla państwa zaprzyjaźnionego i jego rządu traktuje sprawę polską prasa francuska, mniej lub więcej do ministryun spraw zagranicznych zbliżona.

Ale jest i inny prąd opinii, mocniejszy i sympatyczniejszy. Po czterdziestu latach rządów niemieckich w Alzacyi i Lotaryngii,

dochodzi on do zrozumienia sprawy polskiej przez dzieje tych dwóch prowincyj. Tą drogą zdobyliśmy sympatyę takich pisarzy, jak Barrès, Lichtenberger, takich wiernych przyjaciół, jak por. Bernardin, który w narodowym miesięczniku, „Les Marches de l'Est,“ stale kronikę, sprawom naszym poświęconą, prowadzi. W komitecie franko-polskim w Paryżu mamy takich znakomitych pisarzy, jak J. H. Rosny (starszy), takich artystów, jak Bourdelle, żeby zacytować ich tylko. W Paryżu uroczystości polskie (Grunwald i inne) święciła część publiczności francuskiej, która się około tego ogniska skupia. Coraz częściej na ziemi naszej witamy gości francuskich (Dauchot, autor „Immortelle Pologne,“ Leblondowie, por. Bernardin, Henri de Noussanne, dyrektor „Gil Blasa“); na przyjęciach dla nich słyszymy urzędowych przedstawicieli narodu francuskiego (konsul), nawołujących do ściślejszego zespolenia intelektualnego Polski z Francją.

Nie trzeba tych faktów przeceniać, ale nie trzeba też wpaść w ostateczność przeciwną. Wyleczyliśmy się już z budowania zamków na lodzie sympatyj ludów europejskich; ale żaden naród nie może lekceważyć sobie sympatyi innego narodu, zwłaszcza tak wielkiego, jakim jest francuski. Odżywają w pokoju piękne tradycje, wspomnienia i sympatyę ojców, dziadów, pradziadów naszych. Niech odżywają, niech się święcą na obu krańcach Europy w imię wspólnej pracy dla swobody i cywilizacji.

*

*

*

A teraz do książki Leblondów. Ci autorowie stanowią właśnie wyjątek od tych ogólnych, wyżej postawionych. Nie reprezentują opinii urzędowej, nie pochodzą z krajów, prowincyj zabranych pobliskich. Gdzieś daleko pod tropikami, wśród bogatej i bujnej roślinności, pod palącymi promieniami słońca, pokochali kraj i naród na antypodach położony, kraj chłodny, skromnie od natury uposażony, naród gorący, do walk bohaterskich zdolny. Pokochali go, czytając poetów naszych, wielkich wieszczów dobra nie tylko dla swego narodu, ale i dla narodów wszystkich. A kiedy szlaki życiowe zaprowadziły ich do świata stolicy, tej właśnie, gdzie wieszczowie natchnione słowa głosili, część duszy swojej sprawom naszym oddali, stając na każdym posterunku, na jakim w imię

Polski stanąć należało. Dwa razy po wszystkich ziemiach polskich odbyli podróż; specjalne studia nad Polską czynili. A owocem tego książka, której sam tytuł ilustruje już tezę, jakiej dowieść ma, tezę, że mimo podziału na trzy części, mimo pewnych zewnętrznych przez ten podział wytworzonych różnic, Polska żyje w jedności intelektualnej i ideowej, zwłaszcza żyje!

Co uderza przedewszystkiem w omawianej pracy, to olbrzymia ilość faktów, zebranych przez autorów, by na nich swoje oprzeć wnioski. Jest ich tak dużo, że nawet czytelnik polski musi przywołać często pamięć do pomocy; może dlatego, że fakty są czasem przejaszkrawione, drobne zbyt uwypuklone, choć każdy poparty odsyłaczem na końcu książki. Z przejaszkrawienia nie róbmy autorom zarzutu; do innych przemawiają czytelników; słońce gorące, pod którym wyrosli, wyolbrzymia kształty; co dla nas ważniejsza gorąca miłość Polski i sprawy naszej jest tu z pewnością także czynnikiem wybitnym. Styl piękny, malarski. Leblondowie myślą obrazami i te obrazy suto, kwieciście dekorowane na papier przenoszą. Może za dużo podnoszenia zalet polskich: wytrwałości w patryotyzmie, cnót domowych, stałości. Za dużo dla nas, którzy spostrzegamy, że wytrwałość jest bierna, a nie czynna, zachowawczą, a zbyt mało twórczą. Może dlatego, że chcielibyśmy daleko wyższego rozkwitu życia w tych jego dziedzinach, gdzie to możliwe przy hartownej woli i pracy. Tem lepiej, gdy cudzoziemcy gloryfikują i to, co nam po przeszłości jeszcze pozostało; a szczerości Leblondów kwestyonować nie mamy prawa, ni przypuszczać, że tylko komplementy grzeczne Polsce chcą prawić. Na to dzieło ich zbyt poważne.

Streszczać olbrzymiej książki niepodobna; wypisywać jedynie spisu rzeczy — nie wypada. Zadanie nasze jest inne: raczej z powodu książki, jak o niej, wypowiedzieć kilka uwag.

Polska pozostała jedna, mimo zmian zewnętrznych w każdym zaborze. To autorowie rozumieją. Mniej zrozumienia znajdujemy w stosunkach do mocarstw rozbiorczych i ich aparatów rządowych. Chociaż charakterystyka różnic systemu policyjnego w Prusach i Królestwie jest trafna: „W Warszawie anarchia w represyi, zależna od samowoli, od zmiennego humoru... W Prusach policyjant ma w rękę nie gołą szablę, lecz kodeks; zna doskonale prawo“ i niem zamecza. Stąd i typ oporu inny, bardziej dorywczy, też nieco anarchiczny u nas, systematyczny, na ścisłej znajomości prawa oparty — pód Prusakiem; i typ Polaka inny: bardziej ekspansywny, weselszy u nas, swobodniejszy, bo miasto jest zewnętrznie polskie, bardziej skupiony, zamknięty w sobie tam.

Mimo tej charakterystyki trafnej, autorowie w sympatyj swej i rozumieniu inaczej traktują trzy części Polski. Razi ich nieco lojalizm i „kwietyzm“ galicyjski. Z naszego stanowiska niesłusznie—w Galicyi rzeczy istotnych robi się znacznie więcej, niż się zdaje nawet nam tutaj, w Królestwie—ze stanowiska Leblondów słusznie. Bo oni są romantycy i jako tacy kochają w Polsce przedewszystkiem krzyż męczeński, przedewszystkiem niezrealizowane pragnienie, dążenie; częściowa realizacya w Galicyi nie zadawała ich; chcieliby większej, chcieliby widzieć tam jakąś stałą szkołę patryotyzmu ofiarnego, na użytek obu części poprzednich.

Pojmują doskonale nasz stosunek do rządu pruskiego — nic dziwnego, wszak to Francuzi, więc wróg wspólny, wspólny sojusz niechęci. Obarczają rządy w Warszawie; ale robią tu *distinguo*, nam znane i z lat dawnych, coraz bardziej wychodzące z użycia: między rządem a narodem. Znowu powtórzymy — dystynkcya zupełnie dla Francuzów zrozumiała, w części — mimo wszystko — polityczna, w części literacka. Bo Leblondowie są wielbicielami młodej literatury rosyjskiej. Nie wiedzą, że ta literatura anarchiczna zatruwa dusze naszej młodzieży, rusefikuje jej umysły; nie wiedzą, że dla nas pozostaje na drodze kultury tyle do osiągnięcia, że objawy rozkładu, jakby zmęczenia nią, zmęczenia przedewszystkiem formami współżycia, przed ich osiągnięciem, nie mogą nas zachwycać; nie pamiętają też — boć zapewne wiedzą — o przepaści niezglębionej, jaka dzieli literaturę od życia przedewszystkiem w Rosyi. Nie pamiętają, że to naród przez swoich przedstawicieli uchwałał samorząd dla Litwy i Rusi, a jutro uchwali wyodrębnienie ziemi Chełmskiej. Więc u nas ta różnica zaciera się. Zaciera się tembardziej, że tu stoją naprzeciw siebie nie — jak chcą Leblondowie — rząd i społeczeństwo polskie, lecz dwie sprzeczne kultury: zachodnia, podległa, nasza i wschodnia, zwycięzka; a jest wschodnią nawet w świetnych przedstawicielach literatury. To jest u nas zdanie przeważne. I dlatego nie bez przykrości przeczyta Polak przedmowę do książki o „żywej Polsce,“ datowaną z Moskwy, zawierającą kilka uwag o obu stolicach państwa rosyjskiego — bez potrzeby, bez związku z przedmiotem.

I jeszcze jedno zastrzeżenie — ostatnie. Czytelnika polskiego razi zestawianie częste wypadków 1905 — 1906 r. z powstaniami poprzednimi, które bez względu na poglądy, są dla nas pamiętkami bohaterstwa narodowego. Pomijamy znane różnice między walkami narodowymi o wolność, a ruchami klasowymi, społecznymi, w których uczestniczyła mała część zaledwie ludności tylko miejskiej. Pragniemy umyślnie użyć analogii z dziejów Francyi.

Robi to takie wrażenie, jakby ktoś zestawiał Wielką Rewolucję z jej wielkiem hasłem: „La patrie est en danger,“ z jej bohaterскими wojskami, których krew rozlewana na granicach pod wodzą Westermannów, Kellermannów, Hoche'ów mazała czyny ścinających się wzajemnie tchórzów, pozostałych w domu — jakby tę Rewolucję porównywał z Komuną, z bratobójczą walką wobec nieprzyjaciela, którego wyzwać z kraju brak siły. I pozwalamy sobie mniemać, że takie zestawienie uraziłoby wielu Francuzów.

Mimo tych uwag i zastrzeżeń dzieło Leblondów posiada wielką wartość. Odznacza się bowiem możliwą ścisłością informacji i możliwie dobrą orientacją polityczną; zrywa z tradycją pobieżnych wrażeń z podróży i daje cudzoziemcowi gruntowne wiadomości o stanie rzeczy polskich. Za to należy im się od społeczeństwa polskiego uznanie.

Taką jest odpowiedź polska na pytanie, zawarte w przedmowie: „co będą myśleli Polacy o tej książce?“ Z pewnością nie będą narzekali na stronność, jak to przeczuwać się zdają autorowie. Przeciwnie—choćby znającym stosunki łatwo poznać, w których obozach byli najbardziej dokumentowani — można im przyznać śmiało i możliwą bezstronność i wielką, upartą pracę, z których dobre dzieło powstało.

LUDWIK WŁODEK.

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO *Nieznane poezye*, wydał z rękopisów d-r Aleksander Łucki. Kraków. Nakł. Ak. Umiej., 1910.

D-R ALEKSANDER ŁUCKI. *Młodość Kazimierza Brodzińskiego*. Kraków. Nakł. Ak. Um., 1910 (odbitka z 47 tomu Rozpr. Wydziału filolog.).

Przed laty P. Chmielowski uskarżał się na ubóstwo naszej krytyki i historii literatury. Pomimo, że od lat 10-ciu „Pamięt. liter.“ w bibliografii krytyki przytacza olbrzymią ilość pozycji, wyrok Chmielowskiego może być nieznacznie tylko złagodzony. Zaledwie ostatnie chwile pozwalają żywić nadzieję, że dotychczasowy stan rzeczy zmienić się może na lepsze. Pracy przecież dużo, i nie jedno pole badania można uznać za nietknięte dotychczas przez umiętną rękę. Za ilustrację powyższych twierdzeń może posłużyć dotychczasowy stan badań o Brodzińskim; wszak miał on być Janem Chrzcicielem romantyzmu. Dotychczas przecież nie posiadamy żadnej monografii, obejmującej całokształt jego poetyckiej i naukowej działalności i wyjaśniającej istotną rolę pisarza

w naszej umysłowości. Nic zresztą dziwnego; bo przecież nasz wielki ruch romantyczny nie jest dotychczas umiejętnie zbadany w związku z prądami umysłowymi Zachodu. O Brodzińskim przed kilkunastu laty napisał monografię cudzoziemiec Arabażyn. Praca ta jednak luki nie wypełnia nietylko z tych względów, które podnosi d-r Al. Łucki, a mianowicie, że pisana dla obcych, wydatnia przedewszystkiem tło historyczne. Pomijając okoliczność, iż dziś badacz, dzięki zabiegom właśnie d-ra Łuckiego, może rozporządzać nieznanym dawniej materiałem, praca Arabażyna odznacza się brakiem perspektywy historycznej, posiada zbyt wyraźne cechy publicystyczne i przesiąknięta jest zbędną troską o „demokratyzm“ w utworach Brodzińskiego i w sądach o nim historyków, a że za miernik służy autorowi ludowcowa literatura rosyjska z drugiej połowy XIX w., ostateczny wynik rozważań jest dość pesymistyczny.

Do chwili bieżącej badania nad twórczością i działalnością naukową Brodzińskiego były utrudnione przez luki w materiale. Zbiorowe wydanie pism autora, dokonane przez Kraszewskiego, jest wadliwe i niezupełne. Dużo utworów prozaicznych i wierszowanych ukrywało się w rękopisach, rękopisy zaś te były w rozsypcie. Nie o wiele łatwiej było dotrzeć do utworów i prac, drukowanych wprawdzie niegdyś, lecz dziś rozproszonych i znanych badaczom zaledwie z wieści. D-r Aleksander Łucki przedsięwziął zaradzić złemu, zgromadzić materiał i dopiero na takiej podstawie opracować monografię o śpiewaku „Wiesława.“ W przedmowie do „Nieznanych poezyj“ Brodzińskiego autor opowiada dzieje niedrukowanych dotąd poezyj i prac poety. Nie mało zabiegów kosztowało go, by rękopisy zebrać i tekst ustalić. Zbiorek omawiany zawiera utwory poetyckie, dotychczas niedrukowane; prace prozaiczne i materiały życiorysowe znajdują miejsce w „Archiwum do dziejów oświaty i literatury.“ Należy przypuszczać, że to drugie oczekiwane wydawnictwo będzie miało większe znaczenie do wyjaśnienia stopniowego rozwoju poglądów Brodzińskiego, niż wydane dotychczas nieznanne jego poezye, które zresztą mogą nas interesować wyłącznie jako materiał historyczno-literacki. Nie wiemy jakie względy kierowały wydawcą, iż zadanie swe zamknął w granicach ogłoszenia drukiem rzeczy, jeszcze nie drukowanych. Bądź co bądź zasłużył na szczerą wdzięczność swą sumienną i żmudną pracą. Jednocześnie wszakże wolno wyrazić żal, iż względy owe kazały mu wstrzymać się jakby w połowie drogi, pomijając utwory, umieszczone w pismach z początku XIX w. lub w parukartkowych nawet wydawnictwach. Wyjątek d-r Łucki

uczynił dla paru wierszy, umieszczonych zresztą, jako dodatek na końcu monografii o „Młodości Brodzińskiego.“ Wyjął on je, jak można wyrozumieć z jego słów, z rękopisu, gdyż druki były niedostępne lub zaginęły, a co do jednego z nich istniała zupełnie błędna wskazówka bibliograficzna.

Nie umiem sobie wytłómaczyć, dlaczego wydawca nie podał kilku wierszy z r. 1807 i 1808, o których znajdujemy wiadomość w jego pracy (zob. str. 50), jak: „Nagrobek Maćkowi,“ „Do modnej“ i in. A zdać sobie sprawę nie tak łatwo, jeżeli człowiek, specjalnie zajmujący się Brodzińskim, wyznaje, iż „zbadanie autentyczności poezyj,“ zawartych w rękopisie, dostarczonym mu z Warszawy, „oraz kwestyi, czy nie były one kiedykolwiek drukowane, wymaga dłuższego czasu.“ (Przedmowa do „Niezn. poezyj,“ str. XI).

Widzimy stąd, że ktokolwiek chciałby poznać Brodzińskiego źródłowo, i dziś musiałby nabiedzić się nie mało i stracić wiele czasu nie na pracę samą, lecz na przygotowanie do niej. Jeszcze drobiazg. W pracy swojej i w spisie utworów Brodzińskiego do r. 1814, wspomina d-r Łucki o wierszu „Do Elizy.“ Tymczasem w rozprawie Fr. S. Dmochowskiego (odbitka z „Bibl. Warsz.,“ r. 1871) znajduję natomiast „Do Elwiry.“

*

*

*

O książce autora „Młodość Kazimierza Brodzińskiego“ na razie nie wiele da się powiedzieć. Jest to bezwątpienia owoc studyów poważnych i sumiennych, książka pożyteczna i niezbędna. Najcenniejsza zdobycz, jaką z monografii możemy uzyskać, jest to znajomość najwcześniejszych stadyów rozwoju umysłowego pisarza, który wprawdzie Chrzcicielem romantyzmu polskiego nie był, choć za takiego był uznany, ale który niemniej w ruchu umysłowości naszej wielkie posiada znaczenie. Już na podstawie obrazu, rozwiniętego w książce, można uczynić wniosek (przez autora, jak się zdaje, nieprzewidziany), iż w pierwszych chwilach ścierania się nowych prądów z klasycznymi nawyknięciami, Brodziński nie mógł odgrywać czynnej roli, którą mu wczoraj jeszcze niektórzy historycy wyznaczyć byli gotowi. Odwrotnie, te pierwsze spory wpłynąć nań musiały podniecająco i uświadamiająco. Ale wkroczyliśmy na pole, jeszcze przez autora nie tknięte.

Część życiorysowa książki, traktującej o młodości poety, oparta częściowo na materyale dotąd nie drukowanym, jest najważniejszą i najbardziej zadawalającą. Różne okresy życia poety zostały wycieniowane z dokładnością, nic nie pozostawiającą do życzenia, jak dodatni wpływ na młodzieniaszka pobytu jego w Wojniczu w r. 1806, stosunek z domem Parczewskich, zgrupowanie się wokół Kazimierza w Tarnowie „szkoły“ młodocianych poetów w r. 1808 i t. p. Niepotrzebnie też autor, zamiast dążyć do tego, by uczynić obraz życia poety możliwie pełniejszym, krępował się względami na to, iż różne szczegóły były już dawniej podane (jak np. tyle charakterystyczne wybieranie się dziecka w świat, szczegóły spotkania z Reklewskim i t. p.). Dzięki troskliwym poszukiwaniom autora nie jedna błędna data uległa sprostowaniu, niejeden mniej znany szczegół został ustalony. Natomiast znaczenie pobytu w Krakowie (1809—11) dla ogólnego rozwoju poety niedostatecznie zostało podkreślone.

Część historyczno-krytyczna książki jest—co samo przez się rozumie—zaledwie drobnym ułamkiem całości, mającej jeszcze powstać, gdyż w okresie, przez pracę objętym, działalność poetycka i pisarska Brodzińskiego jest jeszcze *in spe*. Poszczególne ustępy pracy dają jednak powód do paru uwag. Autorowi być może należałoby skupić bardziej rozważania, dotyczące twórczości lub atmosfery umysłowej, gdyż przy zachowywaniu dotychczasowego systemu w dalszych częściach monografii wyrazistość obrazu mogłaby ucierpieć. Otóż co do wspomnianej atmosfery i wpływów na dojrzewający umysł pisarza, autor zupełnie słusznie kładzie nacisk na oddziaływanie niemieckiego piśmiennictwa zarówno na nauczycieli Kazimierza, jego brata Andrzeja i W. Reklewskiego, jak i na ich ucznia. Znaczenie jednak tych wpływów dla omawianego okresu przecenia. Zakwestyonować przedewszystkiem wypadnie „tyranię“ klasycyzmu warszawskiego, której mieli unikać wspomniani poeci. „Zabawki wierszem“ Andrzeja ukazują się w końcu 1807 r., „Pienia“ Reklewskiego w r. 1811. Tymczasem koterya literacka poczyna ścisnąć swe szeregi i bronić swego stanowiska dopiero od chwili, gdy sączące się powoli nowe nurty usiłują znaleźć dla siebie bodaj częściowy teoretyczny wyraz. U progu takiej konsolidacji spotykamy fakt odrzucenia rozprawy Wężyka w r. 1811. Przed tą chwilą zarówno pisarze, skupiający się w Tow. Przyj. Nauk, jak poeci galicyjscy—szukają dla siebie wzorów w dziełach, które wydał wiek XVIII. Autor powinien byłby podkreślić nie „tyranię“ kółka literackiego, lecz raczej wpływ szkoły niemieckiej, nie znającej Dmochowskiego i Golań-

skiego, jak szkoła polska, natomiast otwierający dostęp do źródeł literatury niemieckiej, i nie tyle przez celowe usiłowania, ile przez naukę języka. Błędny punkt wyjścia autora uwidoczni się również w uwadze, że Karpińskiego i Książnina, których pilnie studyowali sielankopisarze galicyjscy, nie można „stawiać na czele owego zwrotu od pseudoklasycyzmu z tej prostej przyczyny, iż reprezentują tę swobodę, jaka panowała w pseudoklasycyzmie naszym XVIII w., a więc jeszcze przed ustaleniem się bezwzględniego panowania reguł pseudoklasycznych“ (str. 31-2). Otóż reguły ustalały się właśnie w w. XVIII, w rozprawach „Monitora,“ w Dmochowskiego „Sztuce rymotwórczej“ (1788), książce Golańskiego (1786) i in. A gdy sielankopisarze nasi zgoła nie myślą o jakimś *przeciwstawieniu się* w swych dziełach panującemu smakowi, wbrew twierdzeniu autora, który sądzi, że „Reklewski próbował... wyzwolić poezję z więzów konwencyonalizmu... i w tym duchu reformował idyllę XVIII w.,“ natomiast Karpiński, jako *heretyk*, już w r. 1782 posuwa się do *świadomego*, jakkolwiek nieśmiałego protestu, podkreślając znaczenie wyobraźni i uczucia w twórczości. To samo zresztą czyni w r. 1805 jeden z *klasyków warszawskich* — Woronicz!

Pomijając wysnuwane przez autora względy *formalne*, t. j. większy lub mniejszy stopień *odwagi* w stosunku do panującej teorii, należy wszakże przyznać sielance Reklewskiego wyższość nad tworam i poetów w. XVIII. Na czem jednak ta wyższość polega, tego autor szerzej nie rozwinął. A jest to niezbędne dla zrozumienia zarówno wpływu Reklewskiego na późniejszą twórczość Brodzińskiego, jak i znaczenia dokonanej przez ostatniego reformy w sposobie malowania życia ludowego. Pomiął też charakterystyczne cechy sielanki naszej z początku w. XIX — połączenie nuty sielskiej i nuty bojowo-patriotycznej, wbrew zasadzie Dmochowskiego, iż gdzie poeta „porzuca proste fletnie i wiejskie bardony“ i zabrzmie „w głos trąby hukliwy,“ tam „Pan nie rad takim pieśniom, uchodzi zdaleka, a strwożone nimf grono w głąb lasu ucieka.“ Zaznaczenie wspomnianej cechy ułatwiłoby i zrozumienie genezy tej twórczości i uczyniłoby zbyt cennym uciekanie się do szeregu: „musimy przypuścić,“ „choć dowodu nie mamy,“ „mógł dać,“ „zaważyło tu może“ — by na tak pozytywnych danych osnuć wreszcie wniosek: „pod takimi to więc wpływami zreformowali u nas sielankę...“ (str. 107). Jeszcze uwaga. Wśród poetów niemieckich mistrzem Reklewskiego i An. Brodzińskiego był przedewszystkiem Gessner. A więc ten sam, którego

ślądami iść pragnął... Naruszewicz! Nie mogę zrozumieć w czym widzi autor dodatnie wpływy oddziaływać tego poety.

W stosunku do Kazimierza, autor, zdaniem mojem, ze zbytnią skwapliwością dopatrzeć się pragnie świadomej krystalizacji dążeń reformatorskich już w tym młodzieńczym okresie. Każe nam wierzyć, że w r. 1807 przyznawał *wyższość* literaturze niemieckiej „nad francuską i wogóle pseudoklasyczną“; a więc, konkluduje autor, „już wtedy, *nie wiedząc jeszcze nic o walce klasyków z romantykami* (!), zajął stanowisko, z jakim miał wystąpić w kilkanaście lat później w swych rozprawach krytycznych“ (40-1). O jakiej to „walce klasyków z romantykami“ mówi tu autor? Chyba nie o tej, do której dała powód rozprawa Kazimierza z r. 1818? Ani może tu być mowa o tem ścieraniu się pojęć, które się datuje od r. 1814? Ani też o kampanii, rozpoczętej około r. 1830 przez W. Hugo we Francyi? Więc może autor ma na myśli walkę *klaszyka* Goethego z romantykami niemieckimi? Czy też może wojnę, przez Lessinga wydaną (ale to nie romantyk!) wpływom francuskim? Nie wiem.

A tymczasem Brodziński zachwyca się po prostu tworam Kotzebue, zalecając jednocześnie swej stryjecznej siostrze „Ogrody“ Delilla, no i Gessnera również... Nic też dziwnego, że autor, tak optymistycznie oceniając wynurzenia poety, dopatruje się w młodzieńczych idyllach jego, wzorowanych na sielankach Reklewskiego, objawów „walki z konwencyonalizmem poezyi pseudoklasyczej“ (str. 108). Sielanka „Stanisław,“ o której mowa w powyższym ustępie, pochodząca najprawdopodobniej z r. 1814, jako utwór młodzieńczy, nie była umieszczona w wydaniu z r. 1821. Natomiast znajdujemy tam sielankę „O Filonie,“ urzeczywistniająca, z zachowaniem wszelkich przyborów klasycznych, przepis Dmochowskiego, iż zadaniem idylli jest „do walk o wyższość w śpiewie skotaczów zagrzewać.“ Okoliczność ta dowodzi, jak mało uświadomione były pierwsze poruszenia Brodzińskiego. Wielce charakterystycznym dla stanowiska autora jest inny przykład. Wspominając o wierszu „Na odejście do Saksonii“ (8 marca 1813 r.), autor widzi tu objawy takiej dojrzałości pod względem formy i treści, jakich nieuprzedzone oko dojrzeć nie będzie mogło. Co do treści—sądzi autor, iż Brodziński wyraził w wierszu tym taki sam pogląd na losy Polski, jak w „Mowie o narodowości“ z roku 1831; pod względem formy zaś dostrzega cechy romantyczne, i sądzi, iż „jest to elegia patryotyczna, od wzorów pseudoklasycznych *zupełnie niezależna*.“ Dotykamy tu punktów, oświetlających w sposób stanowczy stopnie rozwoju poety, i dlatego pozwolimy

sobie nad analizą omawianego wiersza, analizą, jak sądzę, całkiem błędną, zatrzymać się dłużej nieco. Co do formy tedy—na czem polega jej niezależność i jej romantyczne cechy? Czytamy:

Nad brzegami Wisły

I nad górą Wawelu *czarne mgły obwisły,*
Milczenie, jak las głuche, cały brzeg dziedziczy,
Posępne—nasze klęski, nasze trupy liczy,
 Gdy się jakowaś postać wśród czarnej mgły łona
 Unosi, *szata na niej zdarta, krewią zbroczona,*
 Krew morzami niezmyta... i t. d.

Ta postać, z białym orłem u stóp, poszarpanym srodze i innymi emblematami, to duch Polski. Jest to bardzo dobrze znane teorii i praktyce klasycznej uosobienie. Wiersz Brodzińskiego, jak słusznie zaznacza autor, wzorowany jest na „Sybilli“ Woronicza. Otóż dość przypomnieć tego autora postać piekielnej Jędzdy, która „gdzie tylko pojrzała, albo odetchnęła, bladło słońce i cała natura wędnęła,“ albo burzę, wypadającą z głębi Erebu, która „błyskawicą, gromami, gradem nasrożona, lasy, domy i góry przed sobą wywraca,“ albo inne t. p. ustępy, żeby przyjść do przekonania, że i u klasyka możnaby znaleźć nieraz zabarwienie fantastyczne. Podkreślone w wierszu Brodzińskiego ustępy mają być „iście romantyczną dekoracją.“ Świadczyłyby ona mogła o niejakiem oddziaływaniu nowych wzorów, ale do wniosku o „zupełnej niezależności“ jeszcze daleko. Nadto—owo Milczenie, które brzeg *dziedziczy*, a które zwłaszcza *liczy* klęski i trupy, przestaje być obrazem fizycznym, spokrewnia się zaś bardzo blisko z uosobieniem pojęcia oderwanego. Cały ten tok wiersza, retoryczne prorocstwa, budowa zresztą, polegająca na tem, iż poeta zwraca się do ojczyzny z zapytaniem o jej przyszłe losy, zjawiająca się zaś postać rozstrzyga nasuwające się wątpliwości, sama frazeologia nawet nasuwa bardzo wyraźnie nie przypomnienie pierwotnego, t. j. utworu Woronicza, ledwie gdzieniegdzie mignie coś, niby lekki, złudny odblask kolorytu romantycznego. Również nie wystarczającą a nawet błędną jest analiza wiersza pod względem treści. „Wiarę w przyszłość Polski przejął Brodziński, jak łatwo odgadnąć, przedewszystkiem od Woronicza,“ powiada autor. Na to zgoda. Ale—ciągnął dalej—„Woronicz upadek Polski pojmował jako karę Boga za nasze winy i zmartwychwstanie Ojczyzny czynił zależnym od naszej pokuty i poprawy,“ gdy tymczasem według Brodzińskiego Polska cierpi niewinnie, a „dobro całej ludzkości, oraz sprawiedliwość Boża domagają się pomszczenia

jej krzywd i zmartwychwstania,“ od ziomków zaś poeta żąda „tylko wytrwałości i silnej wiary w przyszłość“ (str. 87). I Wronicz kazał wierzyć w opiekę i sprawiedliwość Boską; i on mówił, iż „ta powódź nieoschła, z waszych łez wezbrana, budzi zemstę uśpioną i łuk naciągniony na zagładę zagładców waszych wymierzony.“ Co do winy nie wspomina o niej ani autor „Barda polskiego,“ ani autor „Wiersza do Legiów.“ W okoliczności tej niepodobna więc upatrywać szczególnej oryginalności poglądów Brodzińskiego. A wreszcie „dobro całej ludzkości,“ zależne od istnienia Polski... „Los jej ma wpłynąć na losy całej Europy, jej zguba stałaby się klęską dla całej ludzkości“—w ten sposób przedstawia autor myśl Brodzińskiego. Istotnie, ten moment jest nadzwyczaj ważny, decydujący o zabarwieniu mesyanicznem pewnego poglądu. Lecz jakże to u naszego poety wygląda?

Kraje, strasznie wam będzie pamiętną ma strata,
Mym mordem roki znaczne będą schodzić z świata.

.

Duch mój w pośród Rad waszych będzie stać zbroczony,
Wizerunek mej śmierci wasze zdobić będzie trony,
Me jęki nie przestaną przerażać was wszędzie
I każdych waszych nieszczęść śmierć ma posłem będzie.

Widzimy zatem, że tu chodzi o obrażoną sprawiedliwość Boską i ludzką, lecz najdrobniejszej aluzji nawet nie znajdziemy co do tego, *jaką rolę* Polska odgrywała wśród innych ludów, i wobec tego *dlaczego* istnienie jej jest niezbędne *dla ludzkości*... Nie można zatem utrzymywać, iżby w wierszu z r. 1813 został wyrażony *taki sam* pogląd, jak w r. 1831. Co do genezy pojęcia Brodzińskiego o sprawie Polski autor wyraża przypuszczenie, iż zaczerpnął je poeta „przedewszystkiem *zapewne* z nastroju całego ówczesnego społeczeństwa“ (str. 87). Znowu nie ściśle. Powiedzieć raczej należało o mocno zaszczerpionej w wojsku polskiem wierze w gwiazdę Napoleona, czemu daje wyraz rozkaz dzienny wodza armii, ks. Poniatowskiego, z d. 6 maja: „Zbliżamy się do tego, który już raz wydarłszy Ojczyznę naszą z rąk nieprzyjaciół, *teraz nam ją przez nowe zwycięstwo wrócić potrafi*“ (str. 89). Słowa te zanotował poeta w swym dzienniczku, jak się dowiadujemy z informacyj autora; z tego dzienniczka dowiadujemy się również o entuzjazmie, wzbudzonym w wojsku przez gen. Sokolnickiego, zwiastującego „o pamięci na nas cesarza, który przez niego oświadcza, że jedzie *do Polski dla Polski*“ (str. 91). Takiemu nastrojowi wojska składa Brodziński świadectwo nie tylko w swym

dzienniczku, jak to podkreślił autor (str. 95), ale i w swoim wierszu:

Jest bohater, dłoń jego cały glob objęła,
On i piekiel złość zniszczy i dokona dzieła.

Co do nastroju społeczeństwa, dowiadujemy się, iż „opinia publiczna parła go (t. j. ks. Józefa) *do opuszczenia sprawy Napoleona*“ (str. 88). Tak tedy autor ma w rękę wszystkie fakty, ale nie wyciąga stąd należytych wniosków.

Poświęciliśmy tyle miejsca rozbirowi wiersza poety z roku 1813 dlatego, że nie chodzi tu zgoła o rzecz błahą. W naszym ogólnym ruchu umysłowo-literackim, który się zwie romantycznym, obok pierwiastków związanych ściśle z naszą przeszłością i losami porozbiorowymi, istnieją również czynniki, które nadają swoistą formę tendencyjom polskiego romantyzmu i czynią zeń część ogólnie-europejskiego ruchu cywilizacyjnego. To samo da się powiedzieć i o działalności teoretycznej i praktycznej Brodzińskiego, zarówno jako śpiewaka „Wiesława“ i jako romantyka-autora „Mowy o narodowości.“ Otóż, jeżeli już teraz zechcemy dopatrywać się objawów myśli mesyanicznych w niedojrzałych twórcach młodzieńca, przesądzamy sprawę i zrzekamy się ustalenia związku między tą ideą a filozoficzną myślą Zachodu. Tymczasem idea ta zgoła nie była owocem czyjegoś osobistego dowcipu, a związek jej z patryotycznym nastrojem ogółu nie jest tak prosty, jak nam dotychczas mówiono, i nie opiera się zgoła na pojęciach katechizmowych... Podobne uwagi można również powziąć co do poglądów autora na reformatorskie dążności Brodzińskiego w jego najwcześniejszych sielankach.

.

Z dotychczasowego charakteru pracy d-ra Łuckiego można przyjść do wniosku, iż monografia autora, obejmująca dojrzały okres życia i twórczości Brodzińskiego będzie pracą niezmiernie pożyteczną, o ile chodzić będzie o zebranie, o ugrupowanie materiału, o krytyczne jego sprawdzenie, wreszcie o rozjaśnienie ciemnych dotychczas szczegółów, zwłaszcza życiorysowych. Czy również część historyczno-krytyczna odznaczać się będzie takimi zaletami, przewidzieć tego dziś nie możemy.

A. DROGOSZEWSKI.

Kronika miesięczna.

W *wirach* polemiki.—„Spór z p. Grońskim.“—Spór z p. Szarapowem.—Nie pogarda, lecz przeciwstawność.—Przeгляд sił.

Każde wielkie dzieło wzbudza zawsze równie mocne zachwyty, jak potępienia wśród współczesnych; dopiero daleka i chłodna potomność każdemu miejsce właściwe wyznacza. Wzbudzało zachwyty i potępienia każde dzieło Sienkiewicza; wzbudza je tembardziej ostatnie—„Wiry“—bo dotyka ran jeszcze świeżych, niezabliźnionych, przeżyć głęboko tkwiących na dnie duszy każdego z nas. Jak przed laty jeden, tak dziś drugi młody pisarz zbiera laury łatwego rozgłosu, rzucając się w niezwykle jaskrawy sposób na mistrza powieści polskiej. Sławie jego nie zaszkodzi, sobie pomoże — inaczej bowiem niktby nazwiska jego nie pamiętał, jak starego Herostrata, oświetlonego jedynie krwawem światłem płomieni podpalonej świątyni. Mniejsza więc o niego, mniejsza nawet o krytyki literackie wogóle, na które nie tu miejsce. Ważniejsza, że dzieło znakomitego pisarza posłużyło za temat do poważnej polemiki ideowej. Sprzyjało jej i to, że w świecie nic się nie dzieje — więc pora najspodobniejsza do porachunków, biorąc rzecz astronomicznie. Bo — społecznie — wątpliwe wydaje się odgrzebywanie waśni w chwili, która bardziej, niż jakakolwiek inna, wymaga skupienia, zogniskowania wszystkich dobrych poczynań; przy ich obszernym warsztacie nie zbraknie miejsca dla nikogo, byle była chęć do pracy, o co u nas najtrudniej.

O cóż chodzi w polemice? O „realistów“, zwanych dawniej „ugodowcami“, niepotrzebnie, jak zbytuczne są wszystkie ukąśliwe miana, nadawane przez przeciwników; niepotrzebne—bo jątrzące. O to, że pisarz, który niegdyś stał na czele ich organu, w ostat-

niej swej powieści, przez usta głównego rezonera, Grońskiego, tak ich charakteryzuje: „Realisci wychodzą orać pod wiosenne zasiewy w grudniu, to jest wówczas, gdy leziesz nie chwyta zmarzniętej ziemi. Albo jeśli ktoś woli inne porównanie: kupują sobie letnie ubranie w czasie najcieplejszej zimy.—Nie wiem... może słońce kiedyś zaświeci i zrobi się ciepło, gdyż wszystko na świecie jest możliwe, ale tymczasem podmrażają sobie uszy, a ubranie mole zjedzą.“

Nie chcemy wchodzić w słuszność tej oceny; zaznaczamy tylko, że z kompetentnej pada strony. I przejdziemy do dalszych wniosków. Rzucono w polemice zarzut, że społeczeństwo o realistach wyrabiało sobie zdanie nie z tego, co pisało „Słowo“ lub „Kraj“, lecz z oskarżeń przeciwników, umieszczanych w wydawnictwach zagranicznych. Być może, że tak było. Ale realisci nie pozostali przecież dłużni w odpowiedzi. Wydawnictwo Scriptori, także zagraniczne, nie obchodziło się przecież zbyt łagodnie z przeciwnikami głównymi, narodowymi demokratami. Tak mało łagodnie, że sympaty autorów tej pracy były nawet raczej po stronie innego odłamu pracy nielegalnej, daleko niebezpieczniejszego, socjalistycznego. Że niebezpieczniejszego, pokazały dowodnie wypadki z przed lat parę, te wiry właśnie, z których nasza nawa ojczyzna nie wyszła bynajmniej bez szwanku.

Wiele oczywiście dziś, po latach, zrozumieć można, wybaczyć i zapomnieć trzeba, wiele tłumaczy się zaślepieniem partyjnym, walką o wpływ w społeczeństwie, okrzykiem bojowym *voilà l'ennemi!* — ale fakty sporne ustalić trzeba. Dlatego trzeba było przypomnieć niedawne walki partyjne.

Wywołano w polemice olbrzymi cień margrabiego. Ile razy to się zdarza, ile razy prócz tego wskazywany jest przykład Galicyi, uderza zawsze różnorodność warunków. Wielopolski miał wpływ na czynniki decydujące taki, jakiego nie miał nikt po nim; ci, którzy niejako w imieniu jego potem występowali, byli zaprawdę zbyt często na miarę krawca skrajani. Miał głowę i zdolności męża stanu, których potem nie miał nikt. Niepodobna tu uzasadniać, dlaczego upadł; zapewne chwila i warunki były nieodpowiednie, może też brakło znajomości psychologii własnego społeczeństwa a zbyt wielkie było, choć uzasadnione, mniemanie o sobie. Inne także zupełnie były warunki działalności stronnictwa krakowskiego w państwie Austryackiem. Reformy, wywołane przez klęski wojny włoskiej i pruskiej, były szczerze, nieodwołalne, stanowcze; nie wznoszono tam budowli na piaskach ruchomych, które znieść może lada wzbierająca fala reakcyi. Oparto

przytem pracę o jeden z czynników, zawsze jeszcze najbardziej decydujących w państwach monarchicznych—o koronę. Jakże inaczej było u nas. W położeniu o wiele trudniejszym nie mieliśmy dość sił, aby sprostać zadaniom. Ostateczny wynik był taki, że w burzliwej epoce, opisywanej w powieści Sienkiewicza, przegrywali wszyscy, przegrało całe nasze społeczeństwo, wszyscy więc, całe społeczeństwo ponosi za to odpowiedzialność.

Co do winy tych lub owych czynników, nie czas jeszcze na porachunki. Czasy zbyt blizkie są, trzeba dotykać strun, zbyt ostry dźwięk wydających, ran zadawanych i odbieranych w kurzu walk powszednich, dotąd niezabliźnionych. A porachunki nie będą miały nawet jedynie usprawiedliwiających następstw praktycznych. Bo historia nie będzie tu mistrzynią życia; zbyt mało podobieństwa, zbyt wielką przepaść wykopały tylko te lat parę między niedawną przeszłością a teraźniejszością. Nie jątrzymy. Pamiętajmy o Horacyuszowskiem *carpe diem*, nie w znaczeniu wesołego używania życia, lecz w znaczeniu zużytkowywania, korzystania z każdego dnia w wykonywaniu wspólnych, dobrych prac; niech nie będzie dnia bez czynu. Byśmy mogli, stojąc przed wielkim Sędzią sumień, pochwalić się, rachować nie blizny z bezpłodnych walk, lecz obliczać suty plon rzeczy dokonanych naprawdę, nie zamierzonych tylko, dla dobra narodu.

*

*

*

Jeżeli *inter arma—silent togae*, co znaczy, że w chwili walki, w chwili dokonywanych czynów milkną ci, którzy słowem tylko bronić się mogą, to na odwrót słowa zaczynają przeważać wtedy, kiedy nic uczynić nie można. Taką jest właśnie chwila obecna, chwila sposobna do wszelkiego rodzaju rozważań, polemik, które są najczęściej grą słów—bezowocnych, ale nieraz ciekawych, nieraz uświadamiających, pogłębiających nasze poglądy na najważniejsze sprawy życiowe.

Cóż może być zawsze ważniejszego, bardziej palącego u nas, jak stosunki rosyjsko-polskie, ich dalszy przebieg i rozwiązanie kwestyi współżycia? I to pomimo uzasadnionego sceptycyzmu, braku wszelkiej wiary w jakiegokolwiek porozumienie. Dlatego ciekawy jest list w sprawie polskiej, wybitnego agronoma i publi-

cysty rosyjskiego, uczciwego nacjonalisty, redaktora pisma „Swidietiel,” p. Szarapowa. I ważny nie sam przez się, lecz dlatego właśnie, że daje nam sposobność sięgnięcia do głębi, do rdzenia antagonizmu, najważniejszego i ze stanowiska historycznego i ze współczesnego.

Publicysta rosyjski z żalem stwierdza, że Polacy żywią dla Rosyan pogardę. Myli się w wyrażeniu, źle określa uczucie, które płynie z przeciwstawności dwóch kultur. Korzenie naszego życia dzisiejszego tkwią bardzo głęboko w przeszłości. Szukać ich trzeba aż w rozłamie państwa rzymskiego na zachodnie i wschodnie, w rozłamie kościołów na modłę tych państw ukształtowanych. Z założenia powszechności państwa rzymskiego, przejął Kościół katolicki swój charakter, broniący go po wsze czasy od tego, aby stał się religią państwową do celów państwowości zaprzęzoną. W cesarstwie wschodniem władcy bizantyjscy, idąc śladami poprzedników, wielkich mocarstw starego Wschodu, Egiptu, Assyryi, Persyi, uczynili z religii narzędzie państwowości, z siebie najwyższych władców, nie tylko rozdających nagrody w życiu przyszłem, ale także i doczesnych, czuwających przy pomocy religii nad życiem i czynnościami ostatniego z poddanych. Różnica to kapitalna: z jednej strony jednostka poddana tylko dyscyplinie duchowej, z pojęciem jedynie życia pozagrobowego związanej (katolicyzm), zaś zupełnie wolna w inicjatywie i regulacji swoich interesów doczesnych, publicznych, zbiorowych, podlegająca najróżnorodniejszym rządóm, ustrojóm współczesnym, które wszystkie godzą się z zasadą naczelną katolicyzmu. Z drugiej strony jednostka, a więc i społeczeństwo, które jest tylko zbiorem jednostek, pod dyscypliną podwójną, religii i państwowości, pozbawiona zatem wszelkiej inicjatywy, skazana zawsze na wyglądanie jedynie interwencji z góry, zarówno pod względem życia duchowego, jak i doczesnego, materialnego. Te dwa kościoły, te dwie cywilizacje kształciły wszystkie narody europejskie. Jak kształciły i wykształciły — widzimy po rezultatach. Sądzimy, że niewielu jest dziś ludzi w Rosyi, którzyby szczerze podzielali pogląd z przed lat kilkadziesiąt o Zachodzie, jako „zgniłym.”

Polacy są prawymi dziećmi kultury Zachodu i tej spuścizny czujnie strzedz muszą, pod grozą zagłady narodowej. Państwo rosyjskie jest prawym spadkobiercą cesarstwa wschodniego; przez wiekowe oddziaływanie urobiło odpowiednio społeczeństwo rosyjskie. Ta przeciwstawność kultur sprawia, że chociaż ucisk narodowości naszej jest po obu stronach granicy jednaki, ale po tamtej Polak korzysta ze wszelkich dobrodziejstw wyższej kultury

i doskonałej organizacyi, które obraca na swoją samoobronę legalną i ekonomiczną, gdy po tej widzi kraj swój grzęznący w coraz większem barbarzyństwie. Każdemu znane jest głębokie odechnięcie, które towarzyszy ruszeniu pociągu z Granicy, Aleksandrowa, czy Sosnowca; jest w niem często nieuświadomiona radość potomka kultury zachodniej, że znajduje się w atmosferze ładu i porządku, pewność zupełna, płynąca z poczucia przebywania w ustroju, na legalności opartym.

Przypatrzmy się stosunkowi do szkoły przymusowej w obcym języku po obu stronach granicy. Ze szkoły niemieckiej wychodzą Polacy, umiejący doskonale po niemiecku; w Dumie pierwszej zasiadali przeważnie przedstawiciele pokolenia, które przeszło przez najśrodszy okres rusyfikacyi w szkole: bez uśmiechu nie można było słuchać akcentów i konstrukcyi zdań w mowach. Dlaczego tak jest? Pomińmy różnicę systemu nauczania. W Prusach i rodzice i dzieci wiedzą, że znajomość języka niemieckiego jest ważnym środkiem w walce o byt; u nas kto nie szedł na drogę urzędniczą, a ta karyera była prawie szczelnie zamknięta, po skończeniu szkół ciskał czempredziej w kął nieużyteczny balast ruszczyzny; wielu rozpoczynało prawie na nowo swoje wykształcenie zagranicą, u źródeł kultury zachodniej. Dlatego liczni Polacy z wdzięcznością myślą zawsze o tych źródłach, o zagranicznych uniwersytetach, w których się kształcili, a ze zrozumiałą niechęcią o szkołach, gdzie tracili czas na ślęczenie nad nauką, zgoła potem bezowocną.

Przejdźmy z kolei do wrażeń intelektualnych wyższego rzędu. Języki zachodnio-europejskie otwierają drogę do obcowania z największymi geniuszami świata. W szkole rosyjskiej uczono nas tylko rzeczy ze świata duchowego rosyjskiego najgorszych; a nie każdy miał potem czas i możność zaznajomienia się sameu z tą literaturą. Jeżeli zaś znalazł tę możność—do ducha Polaka przemawiali najbardziej, najmocniej ci pisarze, którzy sami reprezentowali prąd zachodnio-europejski w literaturze rosyjskiej: Puszkina w niektórych utworach, zwłaszcza Turgeniew i Czechow, Tołstoj z pierwszego okresu swej twórczości. Dlaczego? Dlatego, że w nas tkwią głęboko, w duszach bardziej, niż w życiu, kanony zasadnicze cywilizacyi łacińskiej, kanony porządku i ładu. Nie może więc przemawiać do duszy naszej anarchizm społeczny, czy mistyczno-religijny, czy obyczajowy Gorkijów, Tołstojów, Andrejewów, Arcybaszewych. W anarchii i bezładzie, cechującym cywilizację bizantyjską, pozorna tkwi tylko sprzeczność z potężną budową religijno-państwową. Wspominaliśmy już

o upośledzeniu w niej jednostki; ta, która traci jakikolwiek element wiary, czuje, jak załamuje się w jej duszy cały światopogląd duchowy i najprostsza droga zmierza do przepaści anarchii. Z drugiej strony, w założeniu państwa bizantyjskiego czynnikiem wszechmocnym całego życia, a więc i jego ładu, jest tylko organ tego państwa — rząd; obojętnym jest zupełnie bezład w duszach i w samym ustroju społeczeństwa.

Ta przeciwstawność dwóch kultur jest także źródłem wewnętrznej tragedii inteligencji rosyjskiej. Nie może nie widzieć i widzi istotnie nieskończoną wyższość zachodu nad swoją ojczyzną; nie zdaje sobie sprawy, jak długą drogą, pod oddziaływaniem jakiej cywilizacji rezultaty bogate zostały osiągnięte; pragnie je odrazu w ostatecznych wynikach przeszczepić. A ze źródła ich dusz, nieświadome instynkty, spadkobierstwo duchowe licznych pokoleń przodków tkwią w bizantynizmie, czyli w zasadzie oddziaływania przemocą, regulowania życia z góry, więc chcą te wyniki siłą narzucić. Tak tworzy się anarchia, w czynach nihilizm, propaganda przy pomocy zamachów, oparta także na błędnym przekonaniu, że usunięcie tej lub innej osoby kierowniczej może wpłynąć na zmianę biegu życia. A reszta inteligencji, która tych wniosków bezpośrednich nie wyciąga, szamoce się między dziedzicznymi cechami kultury wschodniej, narodowej, do której jest naturalnie przywiązana szczerze i gorąco, a między dążeniami kultury nabytej, tej, która tak świetnymi wystrzela w górę owocami, tuż, o miedzę. Część wreszcie, nie mogąc sobie inaczej dać rady, często w najlepszej wierze, wraca do starego nawoływania na pomoc policji...

Nawet nacjonalizm rosyjski ma inne cechy, niż zachodnioeuropejski. Anglik-nacjonalista widzi przedewszystkiem ekspansję swego narodu w pracy cywilizacyjnej, w szerzeniu dorobku wolności obywatelskich, które są udziałem jego wielkiego narodu; świetny tego przykład widzieliśmy niedawno w Transwaalu. Rosjanin-nacjonalista, wychodząc ciągle z fałszywego założenia bizantyjskiego wszechtroski państwa o obywateli, żąda od tegoż państwa przedewszystkiem zabezpieczenia interesów Rosyan, nieustannej pomocy szczególnych praw i przywilejów, widząc błędnie w tej opiece rozwój potęgi państwa, gdy przeciwnie takie zabijanie inicjatywy indywidualnej zmierza raczej do jego zguby. Z tej przesłanki — nawet w najlepszym razie, najszczerzym — płyną wszelkie ograniczenia dla narodowości nierosyjskich, olbrzymie państwo zamieszkujących.

Zatem nie pogarda w stosunku do Rosyan, ale niemożliwość wzajemnego pojmowania dusz cechuje stosunki polsko-rosyjskie. Ta niemożliwość wpływała, bo wpływać musiała, na taktykę naszej reprezentacji w Izbie. P. Szarapow mówi o pierwszej Dumie, że był to „dom waryatów,“ w którym „wy jedni (Polacy) byliście rozumni i spokojni,“ prawdę tego określenia mieliśmy możność sprawdzić *de visu et auditu*. Ale zarzuty jego, że Polacy „dezinfekowali się starannie,“ by się rosyjską chorobą nie zarazić, że „starali się o to, aby wyłączyć swą sprawę prywatną ze sprawy ogólnej,“ krytyki nie wytrzymują. Cóż robić mieli? Uczestniczyć w czynach „domu waryatów,“ jechać do Wyborga? Spotkaliby się także z potępieniem autora. A kiedy w drugiej Izbie nie odseparowywali się, owszem, przeważyli szalę w kilku sprawach ogólnopństwowych, ze strony urzędowego nacjonalizmu spotkała ich za to kara w postaci ograniczenia ilości mandatów.

Jakież tedy będą wskazania autora rosyjskiego? Abyśmy urządzali się we wspólnym domu słowiańskim? Ależ czynimy to z konieczności, czyniliśmy zawsze w warunkach jeszcze cięższych; wszakże żyć chcemy i musimy. Abyśmy „spełnili obowiązek,“ dołożyli „wszelkich usiłowań do wyleczenia Rosyi“? Ależ czynilibyśmy to chętnie, tylko jak? Wszak w państwie tem jest jeden tylko, jedyny wielki lekarz, odwieczny lekarz—rząd, a na tego lekarza ani my, ani nawet p. Szarapow—wpływu nie wywieramy. Więc jakże? Cóż pomogą najbardziej nawet bratnie uczucia, bez możności realizowania ich w życiu? Skazani historycznie na współżycie, oddzieleni przepaścią dwóch przeciwstawnych kultur, miotamy się nieraz obustronnie w poszukiwaniu nowych form, lepszych, łagodzących, nie jątrzących stosunki. Nasze normy, na naszej cywilizacji oparte, na zasadzie rozwoju wszelkich indywidualności narodowych, autonomiczne, zostały odrzucone. Nie zastąpiono ich ze strony rosyjskiej innymi, lepszymi, lecz owszem zastępują je coraz gorsze. Zarazem sprawa stosunku obu społeczeństw pozostaje w tem samym stadyum...

*

*

*

Wspominaliśmy wyżej o dziełach samoobrony, wnoszonych przez rodaków naszych z Prus. W ciężkiej walce o byt zwrócono baczną uwagę na wzmocnienie żywiołu polskiego, przede wszystkim ekonomiczne. I dopięto celu. Właśnie w Poznaniu odbył się przegląd sił, sejmik związku spółek zarobkowych, tej podwaliny, którą tak głośno reklamował — czytaj denuncyował — urzędowy doradca ekonomiczny rządu pruskiego w rzeczach polityki antypolskiej, p. Bernhard, za te zasługi profesurą nagrodzony. A przewodniczył mu ten, który całemu życiu spółek przewodniczy, ten, któremu sam p. Bernhard wystawił świadectwo, że, gdyby był Niemcem, byłby dawno ministrem skarbu pruskiego, słowem, znany wszędzie, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, patron spółek, ks. prałat Wawrzyniak. Mimo wszystkie ograniczenia, ustroj państwowy Prus jest praworządny. Ze więc spółki trzymają się w granicach ściśle legalnych, że pilnują bacznie, by najdrobniejszą szczeliną nie wcisnęła się polityka do ich działalności, rozwijać się mogą w spokoju, przyczyniając sił Polakom w Prusach.

Spółek w związku jest 248, liczących ogółem 116,849 członków (w tej liczbie 1,468 większych właścicieli ziemskich, 58,663 włościan, 17,098 mieszczan). Suma kapitałów własnych spółek wynosi 32,801,976 marek; depozytów — 117 mil.; kredytu udzielały spółki na sunę 177 mil. marek. Bank Związku spółek podniósł kapitał zakładowy z 3 na 6 milionów; 3,000 akcji nowej 5-ej emisji po tysiąc marek rozebrano w ciągu trzech tygodni. Obrót ogólny banku podniósł się z 484 mil. w r. 1908 na 607 mil. mk. Depozyty wynoszą 29,174,314 mk. Takie są rezultaty pracy 49 lat, pierwsza bowiem spółka w Poznaniu „Towarzystwo przemysłowców“ powstała w r. 1861; Związek założony został w dziesięć lat później.

Zestawmy te dane najpierw z Galicyą. Związek stowarzyszeń kredytowych w Galicyi istnieje od r. 1878. W r. 1908 ogarniały one półtora miliona ludności, a kapitał udziałowy przynosił 33 mil. koron. W r. 1909 pod patronatem Wydziału Krajowego było w Galicyi 1,029 spółek oszczędnościowo-pożyczkowych, ogarniających 3,220 gmin z ludnością 3,355,154 osób, czyli niemal połowę całej ludności w kraju. U nas ruch współdzielczy jest jeszcze w powijakach, ale piękne rokuje nadzieje. Bo, jak mówi organ specjalny, *Spółcm.* z 670 spółek spożywczych w Królestwie, 500 powstało w dwóch latach ostatnich; istnieje prócz tego około dwustu spółek kredytowych. Związku niema, Bank współdzielczy pierwsze dopiero stawia kroki, ale niewątpliwie spółkom znaczne korzyści przyniesie. I gdybyśmy żyli w atmo-

sferze pewności i spokoju o przyszłość, możnaby ruchowi współdzielczemu u nas wróżyć rozwój nie mniejszy, niż w Prusach i Galicyi.

Idźmy dalej śladami przemówienia inauguracyjnego dzielnego i zasłużonego patrona. Brak w nim tonów optymizmu. I nie dziw. To, co dla nas jest dziełem wielkiem, w porównaniu z naszym, dla nich, tam, za kordonem, błędnie w porównaniu ze spółkami niemieckimi. Tych było w całej Rzeszy 29,497 z liczbą członków 4,171,710, z kapitałami własnymi w sumie 573 milionów marek, z depozytami 3,806 mil. mk. i udzielonym kredytem 20 miliardów mk. Więc ks. Wawrzyniak konkluduje, że chociaż rozwój spółek jest bardzo pomyślny, jednakże wobec niemieckich przedstawiają się bardzo skromnie. Na podniesienie zasługuje porządek i dobre prowadzenie interesów przez spółki, o czem świadczy, że każda z nich przysłała sprawozdanie i że protokoły rewizyj patronackich są coraz krótsze, bo coraz mniej można spółkom postawić zarzutów.

Dyskusye były na sejmiku ściśle rzeczowe, wzorowo prowadzone i bardzo ciekawe. Dla nas na pierwszy plan zainteresowania wysuwa się sprawa stosunku spółek spożywczych do kredytowych. U nas przeważają pierwsze; drugich jest zbyt dużo, zbyt wiele pochłaniają pieniędzy koszty własne, koszty administracyi, skutkiem czego ten typ spółek nieznacznie tylko obniżył stopę procentową, która jest w nich ciągle jeszcze zbyt wysoka. W Prusach najświetniej rozwijają się właśnie spółki kredytowe, jak do niedawna jeszcze ziemskie. Wyzwalają one kupca i rzemieślnika polskiego z pod przewagi kapitału niemieckiego; szczególnie to bardzo ważny, jeżeli zważymy, że odmowa lub otwarcie w danej chwili kredytu Polakowi mogłoby być przez spółki niemieckie warunkowane odpowiedniem zachowaniem się np. przy wyborach. Inaczej ze spółkami spożywcami i rolniczemi, czyli, jak je nazywają w Prusach „Kupcami“ i „Rolnikami.“ U nas spółki spożywcze i rolnicze mają w tej chwili wielkie zadanie do spełnienia: unarodowienie handlu, uniezależnienie kupującego od Żydów. Inaczej zgoda w społeczeństwie polskiem w Prusach; tam Żydów jest mało, a ci, co są, stają wyraźnie po stronie niemieckiej; ziemia kurczy się, natomiast widzimy wzmocnienie stanu średniego polskiego po miastach, zjawisko bardzo pomyślne i pożądane. Tymczasem zakładanie po miastach i miasteczkach „Kupców“ i „Rolników“ mogłoby przez konkurencyę poderwać istnienie kupiectwa polskiego. Więc trzeba być z tem bardzo ostrożnym, aby — jak to często bywa — lepsze nie było wrogiem

dobrego, a zasady współdzielcze nie stanęły przeciw interesom narodowym. To też na sejmiku słuszna zupełnie zapadła uchwała, aby tego typu spółki zakładać tam jedynie, gdzie z tych czy innych względów nie będą robiły konkurencyi odpowiednim sklepom polskim.

Z innych szczegółów na zaznaczenie zasługują rozprawy nad wzmocnieniem kapitałów własnych spółek, których stosunek do obcych jest coraz mniejszy z każdym rokiem i wynosił w roku zeszłym 1 : 6, 14, dalej nad ściśłem stosowaniem zasady współdzielczej, żeby spółki zdążyły nie do wydawania wysokich dywidend, lecz do obniżania stopy procentowej, rozszerzania operacyj kredytowych, wzmacniania kapitałów rezerwowych i zapasowych. Działalności spółek ziemskich w dziedzinie parcelacji położyła pewną tamę ustawa osadnicza z roku 1904; pomimo to Sejmik uznał istnienie spółek takich za konieczne, owszem, wyraził nawet życzenie, aby spółki powstawały we wszystkich powiatach, mianowicie w celu regulowania i kierowania handlem ziemią, uczciwego pośrednictwa, zwalczania lichwy oraz regulowania hipotek mniejszych właścicieli ziemskich.

Jak widzimy ze streszczenia powyższego, plon działalności Związku i plon pracy Spółek jest bardzo znaczny. Umyślnie poświęciliśmy mu dużo miejsca, ze względu na wielką wagę dla naszych rodaków w Prusach, na płynący stamtąd dla nas przykład.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

ś. p. Józef Grajner.

Ubył z pośród nas w sędziwym wieku zasłużony pionier oświaty ludowej, założyciel pierwszego pisma, specjalnie dla ludu wydawanego, istniejącej do dziś dnia bardzo pożytecznej „Zorzy.“

Ś. p. Józef Grajner urodził się w Kowalach, pow. wieluńskiego, ziemi kaliskiej w r. 1831-ym. Zaczął pisać już jako kilkunastoletni chłopak, a po ukończeniu szkół postanowił wyłącznie poświęcić się piśmiennictwu. Pierwszą większą pracę ogłosił właśnie w naszej „Bibliotece“ (r. 1859); była to rozprawa p. t. „Studia nad podaniami ludu naszego.“

W cztery lata potem wraz z innymi wędrował na Syberję, ale, od innych szczęśliwszy, powrócił już po latach trzech, aby poświęcić się umiłowanej pracy dla ludu, bowiem w r. 1866-ym założył „Zorzę,“ którą bez przerwy prowadził przez lat dwadzieścia.

Trzeba pamiętać, że to było pierwsze pismo dla ludu przeznaczone, aby zrozumieć z ilu trudnościami walczyć musiał ile przeszkód przezwyciężyć, aby pismo rozpowszechnić. Celu dopiął. A ciężka praca redaktorska nie wyczerpywała jego twórczości. Szerzej pojmował oświatę ludową, miewał o niej odczyty, pisywał do wielu innych pism, wydawał popularne „Skarbczyki,“ „Opowiadania,“ poezye; był też autorem dramatu wierszem „Wanda,“ krotchwil ludowych „Pan Łapcewicz“ i „Natura wilka ciągnie do lasu,“ a jego prace etnograficzne zyskały uznanie sfer kompetentnych, czego wyrazem było mianowanie ś. p. Grajnera członkiem-korespondentem Akademii Umiejętności w Krakowie.

Zdobył wśród ludu popularność zasłużoną, a wszyscy późniejsi działacze ludowi nie zapomną tego, który im pierwszą drogę

na gruncie dziewiczym torował. Przed dwudziestu kilku laty usunął się z widowni życia publicznego, ale nie zaznał spokoju, ponosił bowiem ciężkie straty, między innymi tragiczną śmierć syna. Zmarł u córki, w Kozubkach, pod Łęczycą, pozostawiając po sobie dobre imię, pamięć człowieka zasłużonego, który z zapałem pracował dla ukochanej sprawy oświecania szerokich mas.

ś. p. Jan Gebethner.

Stratę po stracie ponosi największa oficyna księgarska na ziemiach polskich. Po założycielu, ś. p. Robercie Wolffie, w pełni sił zeszedł ze świata przedstawiciel drugiego pokolenia ś. p. Jan Gebethner. Był to człowiek szeroko w Warszawie znany, popularny, ceniony. Odpowiedniemi wykształceniem doskonale przygotowany do zawodu księgarskiego, wnosił do niego gruntowną znajomość fachu, szeroką inicjatywę, życzliwość dla ludzi pióra i pędzla. Przez czas jakiś był kierownikiem artystycznym *Tygodnika Ilustrowanego*; sam bardzo w kierunku rysunkowym uzdolniony, żył chętnie w otoczeniu malarzy i rysowników najwybitniejszych, a wybitne znawstwo i gorące ukochanie sztuki zapewniało pracy jego w tym kierunku wielkie powodzenie.

Niepospolita energia i rozlewność życia sprawiały, że nie ograniczał się tylko do księgarstwa. W tym wychowawcu politechniki ryskiej głęboko na całe życie utkwily uczucia przyjaźni koleżeńskiej, którym dawał wyraz, przewodnicząc do końca życia stowarzyszeniu b. członków (t. zw. „filistrów“) „Arkonii.“ Prócz tego był sędzią handlowym, podstarszym Zgromadzenia kupców. A kiedy nadeszła możliwość zakładania szkół polskich, z gorącym umiłowaniem uczestniczył w tej pracy, uczestnicząc w radach opiekuńczych szkół kilku. Dar stu tysięcy elementarzy dla „Macierzy“ także w części był jego pięknem dziełem, jako współwłaściciela księgarni.

Tłumy stwierdziły, jak powszechną cieszył się sympatją. Wśród tysięcy uczestników pogrzebu byli literaci, artyści, księgarze, kupcy, przemysłowcy. Szli za trumną ze szczerym żalem, że zbrakło człowieka dobrego, prawego, który mógł jeszcze wiele lat wiernie służyć swemu społeczeństwu.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO PIELĘGNOWANIA NAUK SPOŁECZNYCH W KRAKOWIE wydało sprawozdanie z pięcioletniej swej działalności, 1903—1908 r. Celem Towarzystwa jest działać na społeczeństwo w kierunku wykształcenia społecznego i politycznego; ma ono „prostować błędne pojęcia, odsłaniać prawdziwe krzywdy, a ostrzegać przed mrzonkami, wskazać miejsce przynależne tradycji narodowej i stać się łącznikiem między nią a prawdziwą wiedzą i prawdziwym rozwojem i postępem, w miarę sił przyczynić się do dźwignięcia dobrobytu i stworzenia korzystnych warunków rozwoju. Dostarczenie warstwom wykształconym fachowych wiadomości w dziedzinie tak pożądanej musi wywołać obudzenie zdolności drzemiących w narodzie, a skutkiem zawistnych losów nie mających dotąd sposobności do szerszego rozwoju. Naród, który wydał Łaskich i Tomickich, Zamoyskich i Ignacych Potockich, Lubeckich i Stasziców, potrzebuje tylko użyczenia tych zdolności fachową wiedzą, by doczekać się na tem polu chwały i pożytku ze swych synów.“

Staraniem Towarzystwa odbyły się w latach ubiegłych wykłady: ś. p. K. Potkańskiego: „O pochodzeniu wsi polskiej,“ Fr. Bujaka: „Wieś zachodniogaliczyjska u schyłku XIX w.,“ St. Grabskiego: „Rozwój kwestyi agrarnej w Polsce XIX w.,“ St. Zakrzewskiego: „Średniowieczna polityka społeczna w Polsce,“ St. Grabskiego: „Polityka społeczna w Polsce XVIII i XIX w.,“ Z. Gargasa: „Polscy wychodźcy w Stanach Zjednoczonych,“ K. Krzetuskiego: „O przesileniu ekonomicznem w Stanach Zjednoczonych w r. 1907,“ L. Głabisza: „Pierwsze miesiące robotnika polskiego w Stanach Zjednoczonych,“ J. Polaka: „Sprawa pokoju powszechnego ze stanowiska aktualnego,“ E. Strasburgera: „Kooperacya i jej rozwój w Królestwie Polskiem,“ A. Krzyżanowskiego: „O drożźnie“ i in.

— ARCHIWUM CZERWONODWORSKIE. W Czerwonym Dworze pod Kownem Benedykt hr. Tyszkiewicz gromadzi cenne zbiory rękopiśmienne, Litwy przeważnie dotyczące. W ostatnich czasach hr. T. nabył wielce ciekawe i bogate archiwum, liczące około 20 tysięcy zabytków piśmiennych z XVIII i XIX wieku, głównie z zakresu spraw politycznych i ekonomicznych.

P. M. Federowski podaje w „Kur. warsz.“ następujące szczegóły o rzezonem archiwum:

„Oprócz mnóstwa dokumentów, dotyczących sejmu, kościoła, wojska, skarbowości, znajdują się w niem całe teki gazetek pisanych, dyaryuszów, pamiętników i t. p. nieoszacowanych rękopisów. Nie małej są również wagi własnoręczne skrypta kasztelana brzeskiego, znanego pamiętnikarza, M. Matuszewicza, oraz głośnego statysty i posła, zwięzłe a jasno poruszającego najrozmaitsze sprawy publiczne, Michała Zaleskiego.

„Największe bogactwo tego zbioru stanowią listy (osiem tysięcy z wieku XVIII i bezmała cztery z pierwszej ćwierci wieku XIX n. p.), kreślone przez dostojników świeckich i duchownych, senatorów koronnych i litewskich, dworzan, posłów, ambasadorów, słowem ludzi, którzy w epoce saskiej i Stanisława Augusta o dwór się ocierali i nieustannie z polityką mieli do czynienia; częstokroć natrafia się w nich na fakty nieznanne lub przez piszącego przedstawiane całkowicie w innym oświetleniu.

„W dziale tym całe są pliki listów własnoręcznie skreślonych przez: Brzostowskich, Branickich, Czartoryskich, Chodkiewiczów, Jabłonowskich, Lubomirskich, Massalskich, Mniszchów, Ogińskich, Paców, Pocięjów, Poniatowskich, Potockich, Radziwiłłów, Rzewuskich, Sapiechów, Sołtyków, Sołohubów i t. d. Teki zawierające listy: np. „ambadorskie“ „militarne,“ ojca jezuity, światłego Idzella (pseudonim Znajomski, nadsyłał Zabiellom wiadomości z dworu drezdeńskiego), podskarbiego Tyzenhauza, Marcina Matuszewicza, Michała Zaleskiego, Kołłątaja, J. Kontryma (sekretarza Kossakowskiego, biskupa inflanckiego), oraz tysiącne z epoki sejmu wielkiego relacye, kreślone najczęściej sekretnym piśmem (klucz dokładny znajduje się w tece), wprawną ręką bystrego obserwatora, jakim bezsprzecznie był szambelan i ulubieniec króla, Jerzy Zabiello, bodaj, że dla historyka będą najciekawsze.

„A i dla badacza literatury ojczystej poszukiwania w tej bogatej kopalni nie byłyby całkiem bezowocne. Są tu bowiem pełne teki kazań, przemówień, anegdot, są całe traktaty filozoficzne, a już to najwięcej wierszy i wierszyków okolicznościowych, znanych i nieznanych poetów. Do tej ostatniej kategorii śmiało zaliczyć można tryskające francuskim dowcipem listy sekretarza Stanisława Augusta, Antoniego Kossakowskiego, mogącego iść w zawody z duchowo mu pokrewnym Kajetanem Węgierskim...

„Mimochoodem nie zawadzi jeszcze nadmienić i o tych kolejach, przez jakie archiwum to w ciągu wieku przeszło.

„Wywiezione około roku 1815 przez Zabiellów z Czerwonego Dworu, w chwili przejścia tej majątności we władanie Tyszkiewiczów, wkrótce było wniesione do domu ministra, Stanisława Grabowskiego, przez jego małżonkę, z domu Zabiellową, w połowie zaś wieku zeszłego dostało się w posiadanie dziedzica Warki i Pilicy w Grójeckiem, Prozora, żonatego ze słynną z urody

swjej córka ministra, Maryą. Po rozbiciu materyalnem Prozorów, nabył je zamiłowany zbieracz zabytków tego rodzaju, z powołania medyk, który przez długie lata wszystkie wolniejsze od zajęć fachowych chwile poświęcając na uporządkowanie tego olbrzymiego zbioru, na szczęście przed zgonem dopiął swego celu. Owocem zmuśnej a wytrwałej pracy skromnego lekarza jest katalog wzorowo sporządzony, tudzież 50 jaknajszczegółowszych skorowidzów.“

Pożądanem jest w interesie nauki, aby archiwum czerwonodworskie jaknajrychlej było dostępne dla badaczy dziejów naszych.

N O W E K S I A Ź K I.

— LUDWIK JENIKE. *Ze wspomnień.* Część I i II. Warszawa r. b. (1909). „Biblioteka dzieł wyborowych“ №№ 622 i 623.

Pamiętniki Ludwika Jenikego zawierają wspomnienia z czasów powstania 1863 r. oraz obfitą wiązanek wiadomości do charakterystyki ówczesnych stosunków literackich. Autor opowiada między innymi szczegółowo o Narcyzie Żmichowskiej, Kraszewskim, Ancycu, Bartoszewiczu, Sobieszczańskim, Kaszewskim i innych. Przeważną część swych wspomnień poświęca Jenike „Tygodnikowi Ilustrowanemu,“ którego przez długie lata był redaktorem. Rzecz napisana zajmująco, posiada wartość materiału historyczno-literackiego z pierwszej ręki, wszakże charakteru przeważnie anegdotycznego.

— *Katalog wydawnictw Akademii Umiejętności w Krakowie.* Kraków, 1910. Nakładem Akademii Umiejętności.

Ukazujący się obecnie Katalog wydawnictw Akademii jest właściwie podręcznikiem księgarsko-naukowym. Obejmuje działalność Akademii od roku założenia (1873) do 1 lipca 1909 r., podając w szczegółowym zestawieniu wszystkie dzieła, czasopisma i t. d. wydane przez Akademię lub pod jej egidą. Korzystanie z cennej tej publikacji bibliograficznej ułatwia starannie opracowany indeks nazwisk autorów.

— JULIUSZ SŁOWACKI. *Lilla Weneda, tragedia u pet činova.* Preveo Julije Benešić. U Zagrebu, 1910. Izdala „Matica Hrvatska.“

W przekładzie na język chorwacki ukazała się „Lilla Weneda“ Słowackiego. Tłómaczenie poprzedza życiorys poety, opracowany na podstawie dzieł Chmielowskiego, Brücknera, Żelziechowskiego i Feldmana. Przekład dokonany został wierszem; książka wyszła w bibliotece popularnej, wydawanej przez „Macierz“ chorwacką w Zagrzebiu.

— ADAM BONIECKI. *Herbarz polski*. Tom XIII, zeszyt 6-ty.

Zeszyt niniejszy zawiera wiadomości historyczno-genealogiczne o rodzinach szlacheckich od książąt *Kurcewiczów* herbu własnego do *Kurowieckich* herbu Nowina; obszerniej opisane zostały rody: Kurców, Kurdwanowskich, Kurnatowskich, Kuropatnickich. „Herbarz“ redaguje obecnie dawny współpracownik ś. p. Bonieckiego, baron Artur Rejski.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, pod kierunkiem J. K. Kochanowskiego. Rok 10. № 9. Wrzesień, 1910. Treść: „Pan Balcer“ Konopnickiej.—Krytyka: Arrhenius Svante: Jak powstają światy;—Belmont Leo: Dla honoru, dramat;—Boy: Nowe piosenki (serya trzecia);—Budzińska-Tylicka J., D-r med.: Hygiena kobiety i kwestye społeczne z nią związane;—Bukowiecka Zofia: Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza;—Chrzęszczewska i Warnkówna: Moja pierwsza książeczka;—Ciemniewski Jan, Ks. D-r: U źródeł modernizmu;—Dąbrowski Tomasz, Ks.: Szesnaście kazań o Najświętszym Sakramencie;—d'Ezerville F. J., Ks.: Nowenna do Matki Boskiej z Lourdes;—Fonek L. S., D-r fil. i teol.: Praca naukowa, przyczynek do metodyki studyów uniwersyteckich;—Gerstman Adam, Ks. D-r: Miscellanea pastoralne;—K. Stanisława: Kwiateczki Maryi ku czci Niepokalanej Dziewicy;—Kajdas Józef Ks.: Pamiątka pierwszej Komunii św. dla dzieci szkolnych;—Kallas A.: Odszczepieńczy, dramat;—Tenże: Ona i oni;—Kodisowa J., D-r fil.: Kwestya rodziny w sprawie kobiecej;—Kurnatowski Jerzy: Pomoc wzajemna;—Maciejowski Adam, Ks.: Literatura i życie; o wpływie literatury pięknej na społeczeństwo;—Maurus O.: Moderniści;—Morawski Kazimierz Marian: Dwie rozmowy Stanisława Augusta z Ksawerym Branickim;—Mossoczowa M. (Koliszkówna M.): Arcydzieło Juliusza Słowackiego „Król Duch“;—Nalepiński Tadeusz: Chrzest, fantazyja polska;—Niewiadomska C.: O czem Zosia nie wiedziała;—Pożaryska W., Sulicka M. i Weychertówna Wł.: Zbliżka i zdaleka. Cz. II. Człowiek i wszechświat;—Przyborowski Walery: Przyczyny upadku Polski;—Skalski St., D-r: Alkoholizm i sprawa robotnicza;—Sobieski Marek: Tragedya dziecka, dramat;—Szerer Mieczysław: Kara, szkic socyologiczny;—Szydelski Stefan, Ks. D-r: Konstanty Zieliński, arcyb. lwowski;—Tetmajer Przerwa Kazimierz: Maryna z Hrubego (Na Skalnym Podhalu);—Tenże: Na Skalnym Podhalu. V.;—Wąsik Wiktor: Kategoria Arystotelesa pod względem historycznym;—Wątróbski L.: W pogoni za słońcem;—Zimmermann K., Ks. D-r: O społecznych zadaniach i potrzebie organizacji nauczycielek;—Pod prasą;—Nekrologia;—Kronika;—Czasopisma;—Bibliografia;—Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

BERSOHN MATHIAS: Dyplomatarysz, dotyczący Żydów w dawnej Polsce, na źródłach archiwalnych osnuty (1388—1782). Dzieło pośmiertne, wydane staraniem Rodziny. Warszawa, księgarnia Gebethnera i Wolffa, 1911.

BROWNING ROBERT: Pippa przechodzi. Poemat dramatyczny. Z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz. Rok 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka. Kijów, I. Idzikowski.

BRZozowski STANISŁAW: Idee. Wstęp do filozofii dojrzałości dziejowej. Lwów, 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

CHAMFORT: Maksymy i myśli. Charaktery i anegdoty. Przełożył Konrad Drzewiecki, ze studyum Essweina, z portretem M. Chamforta. Lwów, 1910. Nakładem Księgarni Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

CHARSZEWSKI KS.: Moderniści. Modernizanci. Antymoderniści nasi i obcy. Przedruk rozszerzony i poprawiony z wileńskiego „Słowa i Czynu.“ Nakładem Księdza Bolesława Skarżyńskiego, 1910. Warszawa, księg. E. Wende i S-ka.

DYBOSKI ROMAN, D-R, docent Uniwersytetu Jagiellońskiego: William Ewart Gladstone (1809—1898). Kraków, 1910.

DZIERZKOWSKI JÓZEF: Król dziadów. Powieść obyczajowa w 2 tomach. Tom I z 6 ilustracjami. Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa. Miesięcznik „Ciekawe powieści.“ Bezpłatny dodatek do „Tygodnika Ilustrowanego.“

GLINKA KSAWERY: Po drodze. Poezye. Serya II. Kijów, 1911. Nakładem spółki wydawniczej „Nasza przyszłość.“ Warszawa, księgarnia E. Wende i S-ka.

GŁOGER ZYGMUNT: Sen ziemianina. Łomża, 1910. Nakładem tygodnika „Wspólna Praca.“

GRABOWSKI IGNACY: Grunwald. Wydawnictwo Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

JANKOWSKI JÓZEF: Poczye. Serya liryczna. Z portretem autora. Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

JAROSZYŃSKI TADEUSZ, D-R: W sprawie psychoterapii. Odbitka z prac Zjazdu Neurologów 1910 r. Warszawa, 1910. Skład główny w księg. E. Wende i S-ka.

JELSKA ORY: Panta Rej. Powieść. Warszawa, 1910. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“

KRAKAU IM XIV JAHRHUNDERT: Eine Beitrag zur Geschichte des Magdeburger Rechts in Polen. Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde des hohen Philosophischen Fakultät der Universität Marburg vorgelegt von Eugen v. Sokołowski aus Warschau. Marburg, 1910.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea archiwalne. I. Notatki do dziejów politycznych, dyplomatycznych, wojskowych, ekonomicznych, handlowych i obyczajowych dawnej Polski od XVI do XVIII w., z ksiąg kanclerskich, metrycznych i asesorskich Archiwum Głównego Warszawskiego zacierpnięte. Warszawa i Kraków, 1910.

— Miscellanea Historyczne. XLVI. Sprawa studenta Benedykta Kalinowskiego. Przyczynek do historii Stowarzyszeń tajnych w Polsce (1821—1825). Warszawa. Nakład „Przeglądu Narodowego,” 1910.

— Zarysy literacko-historyczne. I. Krytyka literacka i jej dzieje w literaturze polskiej. II. Naukowość polska w trzydziestoleciu 1831—1861. Warszawa, 1911. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

KRECHOWIECKI ADAM: Prawdy i Bajki, z portretem autora. „Nowości Literackie.” Warszawa, 1911. Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

KRZYŻANOWSKI ANATOL: Za winy niepopelnione. Nowele. Za winy niepopelnione; — Rubikon; — Zwycięzca; — Spotkanie; — Wykolejeni; — Anielska Dusza; — Poeta i parasol; — Zuchwalec; — Myśl. Warszawa, 1911. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

LASKOWSKI K. (El): Litwaki. Powieść społeczna. Nakładem redakcyi „Przeglądu Rzemieślniczego.” Warszawa, 1911. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

LEMAŃSKI JAN: Baśni o prawdzie. Nowy zbiór piosnek, bajek, poematów, baśni satyrycznych, melodyj i pieśni. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. (T. Hiż i A. Turkuł).

MAKUSZYŃSKI KORNEL: Romantyczne Historye. Lwów, 1910. Nakładem księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

ORKAN WŁADYSŁAW: W Roztokach. Powieść. Tom I i II. Wydanie drugie. Lwów, 1910. Nakład Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Michalik z P. P. S. Powieść. Warszawa, 1910. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka. (T. Hiż i A. Turkuł).

RENA: Wieczór już był, a jutro bzy zakwitną... Nowele. Warszawa, 1911. Księgarnia St. Sadowskiego.

STRZELECKI ADOLF: Powieść polska 1908—9. Z portretem autora. Warszawa, 1910. „Nowości Literackie.” Wydawnictwo księgarni St. Sadowskiego.

SWETT MARDEN O.: Życ—nie umierać!... Pogoda umysłu, jako dźwignia siły. Ważny przyczynek do istoty szczęścia ludzkiego. „Ściel, bracie kwiaty,

gdy idziesz swą drogą:—Wszak ci, co przeszli, powrócić nie mogą!¹⁴ Według popularnej broszury amerykańskiej napisał Mieczysław Rościszewski. Warszawa, 1911. Księgarnia E. Wende i S-ka.

WASIŁEWSKI ZYGMUNT: O sztuce i człowieku wiecznym. Lwów, 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

WIERZBICKI STANISŁAW JÓZEF: Atlantyda. Poezye. Lwów, 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka.

WINDAKIEWICZ S.: Badania źródłowe nad twórczością Słowackiego. Kraków, 1910. Drukarnia Uniwer. Jagiellońskiego.

ZALESKA-SARYUSZ KRYSZYNA: Poezye. Kraków, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka w Warszawie i Spółki Wydawniczej Polskiej w Krakowie.

ZARZĄD CENTRALNY I LOKALNY w Anglii, Francji, Prusiech i Stanach Zjednoczonych. Studium porównawcze, napisał Percy Ashley M. A. Lincoln College Oxford, Profesor szkoły nauk politycznych i ekonomicznych w uniwersytecie londyńskim. Tłómaczył za zezwoleniem autora Jerzy Gościcki. Lwów, 1910. Nakładem Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

ŻYWOT BENVENUTA CELLINI'EGO. Własnoręcznie opisany we Florencji, z oryginału przłożył i przepisami opatrzył Stanisław Machniewicz Część IV i V. Wydawnictwo „Biblioteki Dzieł Wyborowych.“ Warszawa, 1910.

ŻYŻKOWSKI STANISŁAW: Nędza. Studium powieściowe. Warszawa, 1910. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

